

RADOMIANKA

48

RADOMIANIN

PISMO ZBIOROWE

TOM PIERWSZY.

..... A jako kto może
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.

JAN KOCHANOWSKI.

Nie od razu Kraków zbudowali.

PRZYSŁOWIE.

WARSZAWA.

w Drukarni S. Orgelbranda

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

1848.

WYDAWCA

PIŚMIO KSIĘGOWE



Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po
wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 4/18 Czerwca 1847 r.

Cenzor **L. T. Tripplin.**



P. I. 670

W Urzędni... Cenzury

1847

LISTA PRENUMERATORÓW.

- JW. Białoskurski Edward Rzeczywisty Radca Stanu,
Gubernator Cywilny Gubernii Radomskiej.
- W. Baczyńska Albertyna.
- W. Bierzyński Teodor, Radca Dyrekcji Towarzystwa
Kredytowego w Kielcach.
- W. Billewicz Ludwik Rachm. Rz. Gub. Rad.
- W. Borecki właściciel apteki w N. M. Korczynie.
- W. Boski Ignacy dziedzic dóbr Boże, egzempl. 2.
- W. Brzozowski Jakob Nadz. Więź. Radom.
- W. Chmielowski Ludwik Rach. R. G. R.
- W. Chudzyński Aleksander Ref. R. G. W.
- W. Chrzanowski Juljan Urz. Rz. Gub. Rad.
- W. Ks. Ciechanowski Juljan Wikarjusz Kielecki.
- W. Ks. Ćwikliński Józef Wikarjusz Kielecki.
- W. Czeluściński Konstanty.
- W. Dąbrowski Karol Rad. Rz. Gub. Rad.
- W. Dobrowolski Juljan N. U. P. w N. M. Korczynie.
- W. Domagalski Jan Lekarz M. Kielce.
- W. Domański Leopold Radca Rz. Gub. Rad.
- W. Drozdowski Bronisław S. P. N. K. R. G. W.
- W. Falkowski Franciszek Rach. Dyr. Ub.
- W. Frankowski Felicjan Prezes w Komit. bud. górnicz.
- W. Gebhard Jan R. W. S. R. G. W.
- W. Glogier Kiljan Ass. praw. w Rz. Gub. Rad.
- W. Glezmer Obyw. z Sandomierskiego.
- W. Grell Józef Urz. w Kielcach.
- W. Grejber Franciszek Nacz. straży granicznej.

- W. Gronkiewicz Roman Adjunkt Rz. Gub. Rad.
 W. Grochowski Wojciech Kandydat U. M. A. S.
 W. Ks. Gruszczyński Józef Wikarjusz Kielecki.
 W. Hadziewicz Stanisław Sędzia Pokoju.
 W. Jasiński Adjunkt Sekcyi Pr. w K. R. S. W. i D.
 W. Jagmiński Wincenty Obyw. z Opatowskiego.
 W. Januszewski Józefat Obyw.
 W. Januszkiewicz Wincenty Pom. Nacz. Kan. R. G. R.
 W. Jarzębiński Konstanty
 W. Jasiński Jan Adj. praw. Rz. Gub. Rad.
 W. Kalinka Juljan Doktor Medycyny.
 W. Kałużyński Jan Radca w R. G. L.
 W. Kłokocki Kazimierz Urz. Górn.
 W. Konkowska Lucyna
 W. Kostrzębski Ludwik Sekr. Rz. Gub. Rad.
 W. Krzycki Kazimierz.
 JW. Kurys Michał, General Lejtenant Prezes Audit.
 P. C. Armii.
 W. Kwapiszewski Antoni.
 W. Kwaskowski Stanisław Pis. Sąd. Pok. w Kiele.
 W. Koziorowski Obyw. z Buska.
 W. Kwaśniewski Stanisław Ass. far. Gub. Rad.
 W. Lechowski Antoni Pis. Sąd. Pok. w Kiele.
 W. Ks. Leski Jan Wikarjusz Kielecki.
 W. Leskiewicz Aleksander Urz. do szczeg. por. przy
 Gub. Cyw. Rad.
 W. Lewandowski Józef Rach. Rz. Gub. Rad.
 W. Lewkowicz Walery.
 W. Łaski Korol Sędzia Tryb. Rad.
 W. Majewski Obyw. z Miechowskiego.
 W. Mikułowski Seweryn.

- W. Mejer Gustaw P. N. K. R. G. Lub.
 W. Mistakiewicz Franciszek Dz. Rz. Gub. Rad.
 W. Mrozowski Ignacy U. przy N. W. G. R.
 W. Nowicka Obyw. m. Warszawy.
 W. Niwiński Artur
 W. Okęcki Ludwik dziedzic dóbr Boskiej Woli.
 W. Ks. Ochocki Aleksander z Szezebakowa.
 W. Olszewski Antoni Radca Rz. Gub. Rad.
 W. Ostrzeniewski Konstanty Urz. Dyr. Ub.
 W. Pajewski Jan Sekr. Rz. Gub. Rad.
 W. Pawlikowski Tadeusz Nacz. Sek. w Rz. Gub. Rad.
 W. Piątkowski Aleksander Obyw.
 W. Pieniążek Bonawentura Obyw.
 W. Pisulewski Aleksander.
 W. Plewiński Antoni Adj. Rz. Gub. Rad.
 W. Płaziński Julian Urz. w Warszawie.
 W. Przyłęcki Ludwik Adj. praw. Rz. Gub. Rad.
 W. Rakowski Tadeusz Urz. przy. Gub. Cyw.
 W. Rakowski Władysław U. Z. K. L. i W.
 W. Rauszer Teofil Patron Tryb. Rad.
 Resursa Radomska.
 W. Rupniewski Roman Obyw. z Stopnickiego.
 W. Rusiecki Wawrzeniec Nacz. Sek. w Rz. Gub. Rad.
 W. Rusocki Józef Adj. Rz. Gub. Rad.
 W. Rylski Onufry.
 W. Sadkowski Szymon Kom. Tryb. Rad.
 W. Sędzimirski Wincenty K. K. E. M. Buska.
 W. Sienicki Bolesław Rach. Rz. Gub. Rad.
 W. Siekierski Assesor Starszy w K. R. S. W. i D.
 W. Skalski Józef Inżynier Gub. Rad.
 W. Skierski Henryk Nacz. Kanc. Rz. Gub. Rad.

- W. Słaski Aleksander Obyw.
 W. Słabowski Wojciech Podsekr. Rz. Gub. Rad.
 W. Smaczniński August Rach. Rz. Gub. Rad.
 W. Smolichowski Sylwester Tł. R. G. W.
 W. Świętochowski Ignacy Tł. R. G. W.
 W. Sokołowski młodszy Assesor w K. R. S. W. i D.
 W. Sołtyk Franciszek dziedzic dóbr Piastowa.
 W. Stobiecki Prosper.
 W. Strożycki Kazimierz Nacz. Kanc. Rz. Gub. War.
 JW. Suchecki Andrzej Prezes Dyr. Tow. Kr. w Kielcach.
 W. Sulikowski Kanut U. Z. K. L. i W.
 W. Swirski Michał Tłumacz pism Ross. w R. G. R.
 W. Szeffler U. Z. K. L. i W.
 W. Sztec Walenty Kontr. Kas. Rz. Gub. Rad.
 W. Szrednicki Jan Obywatel
 W. Szymakowski Ludwik Rachm. Rz. Gub. Rad.
 W. Szule Anna Obyw. z Olkuskiego, egzemplarzy 10.
 W. Walchnowski Ludwik.
 W. Walner Roman.
 W. Wierzbicki Obyw. z Sandomierskiego.
 W. Włodarski Jan Ref. Dyr. Ub.
 W. Wojciechowski Wincenty Exped. Rz. Gub. Rad.
 W. Wojniewicz Jan.
 W. Wołowicz Ignacy Obywatel.
 W. Wrotnowski Szymon Dzien. Rz. Gub. Rad.
 W. Wyszynski Jan Podsekr. Rz. Gub. Rad.
 W. Zbrożek Józef Sekr. Rz. Gub. Rad.
 W. Zembrzusi Aleksander Rachm. Rz. Gub. Rad.
 W. Zieliński Tomasz Nacz. P. Kieleckiego.
 W. Ziemiecki Jan Inżynier Gub. Radomskiej.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

①

MIĘŚCIE RADOMIU.

(przez K. K.)

Losy ludzkości zwykle wyciskają swe piętno na zamieszkiwanych przez nich krainach, a ślady zasłanych kolei najwybitniej tkwią na miejscach, gdzie się jednoczą siły narodu — na miastach. Dla tego też badawczy umysł, co z cieniów odległej przeszłości umie wskrzeszać niejako minione wieki, wnikając w historią miast, rzuca światło na dzieje całego kraju — na losy całego narodu.

Tą kierowany myślą, przedsięwzięłem skreślić opis miasta Radomia, a jeżeli nie odpowiem zamierzonemu celowi, to zostanie mi chociaż nadzieja, że ci przynajmniej, co tu poczęli swoje istnienie, z przyjemnością te kilka kart przerzucą.

Nie zapuszczając się w badania dawnego bardzo istnienia Radomia i źródeł jego nazwy, *) nadmienimy jednak, że miasto to odległej sięga przeszłości; — jest ślad, że jeszcze Kazimierz II Sprawiedliwy w r. 1187 założył tu do dziś istniejący kościół farny Śgo Jana Chrzciciela, z początku z drzewa, później, wspierałomyślnością Monarchów i Obywateli z muru wzniesiony.

Szczegóły następnych lat historii Radomia nie są z pewnością wiadome; musiał on jednak znacznie wzrastać; na początku bowiem XIV wieku, może z ogólnej potrzeby kraju, wstrząsanego z jednej strony wewnętrznymi rozterkami udzielnych Książąt dobijających się tronu, z drugiej najazdami zewnętrznych nieprzyjaciół — miał już gród, czyli zamek obronny na górze Piotrówka zwanój, zbudowany.

Niedoszły do nas piśmienne tego dowody, ale głos podania, nazwisko *Stare miasto*, kształt góry, widoczny ślad wałów i fossy, tudzież niewątpliwe istnie-

*) O początku istnienia Radomia i źródeł jego nazwy w historii nie ma wzmianki, a podania tak są sprzeczne i niepewne, że trudno ich brać za zasadę. Jedni wywodzą istnienie Radomia od Rady mieszczan, niegdyś w tych okolicach mieszkać mających; drudzy twierdzą, że nawet początek miasta tutejszego pochodzi od Domu, w którym miały się odbywać jakieś narady, zwanego *Rad-dom* (zapewne Zamek obronny, o którym będzie niżej); inni nakoniec mówią, że gdy osada tu istniejąca prosiła Kazimierza Sprawiedliwego o nadanie miastu przywileju, tenże wyrzekł: „*Rad-dam*” (chętnie dam ten przywilej). Stąd miało powstać nazwanie *Rad-dom* lub *Rad-dam*, później na *Radom* przerobione.

nie na niej kościoła, studni a wewnątrz lochu przekonywają nas, że na tem miejscu stał zamek, który później, może dla zniszczenia, albo też dla słabości obrony, zniesiony został.

Przemieszkiwał w nim chętnie Kazimierz Wielki, używając w polowaniu po przyległych borach, rozrywki w chwilach wolnych od trudów zarządu, a upodobawszy sobie tutejsze okolice, ustalił prawie był miasta Radomia. Przeszło ono prawda w 1340 roku w ręce Konrada Warszawskiego, a niedługo potem, jak podanie niesie, przez pożar, czy też inny jakiś wypadek zniszczone zostało; jednak nieupadło zupełnie, owszem, świetniejszy je los oczekiwał.

— Zobaczmy —

Pierwiastkowy czyli Stary Radom, na wzgórzu leżący, dziś Starem Miastem zwany, obejmował w sobie zamek, o którym wyżej była mowa z kościołem drewnianym ŚŚ. Piotra i Pawła w środku; Kościół farny S. Wacława, obecnie opustoszały i na magazyn użyty, dom Wojtowski i pewną liczbę domków drewnianych. Okolice zaś i samo to miejsce, w którym dziś miasto istnieje w czasie jego założenia, były prawie nieprzebytymi błotami i zaroślami, które otaczały gęste bory pełne grubego zwierza. — Ale po zniszczeniu starego miasta, przy stałych chęciach i szczodrych nakładach odkryto i osuszono *)

*) Potrzykroć Radom wykładany był brukiem, który zawsze się w gruncie błotnistym zapadał, aż wreszcie postanowiono: aby każdy przybywający na targ, zamiast grosza targo-

trzęsawy i na ich powierzchni, w drugiej połowie XIV wieku, stanął w okazalszej postaci, nowy, — z muru odbudowany Radom.

Do tak powstałego, w roku 1360, przeniósł Kazimierz Wielki wojtostwo ze starego miasta ze wszystkimi przywilejami i uposażeniami, a po wzniesieniu do dziś istniejącego zamku i opasaniu murem, w roku 1364 w liczbie innych miast i jemu nadał swobodę obywatelską, sąd grodzki i prawo Magdeburskie.

Niewielki był zapewne ten Radom w owych czasach; jednak pod opieką następnych Monarchów, niedługo doszedł do tego stanu, iż obrębem swym, zajmował dzisiejsze ulice: Grodzką, Krakowską, na końcu której stała brama tegoż nazwiska, Żytnią, Szpitalną, wiodącą do bramy Piotrkowskiej, — Szewską i Rwańską zamkniętą trzecią bramą, która nie wiadomo, czy Lubelską, czy też od przedmieścia Jedlińskiego (dziś ulica Lubelska), Jedlińską była nazywaną. — Wkoło broniły go baszty, z których dwóch tylko ślady pozostały: — jednej od strony Starego miasta, dziś na kamienicę przerobionej, a drugiej przy ulicy Spacerowej, z której ledwo połowa i to w gruzach istnieje. — Zamek, którego część dolna

wego, przynosił po kilka kamieni na nowe odbrukowanie miasta, które mimo to, do dziś dnia należycie nie jest osuszone.

W bieżącym jednak roku, pod zarządem Gubernatora Cywilnego, i według jego planu rozpoczęto roboty około stanowczego osuszenia Radomia, przez kopanie podziemnych kanałów, spuszczenie stawów, otworzenie nowych ulic i rynku.

mieści w sobie teraz Kancellaryą Hypoteki Ziemiańskiej, w owych czasach miał piętro, na dole obszerne komnaty, a pod niemi piwnice czyli podziemia, a może też lochy. W koło obwiedziony był wałem i murem powtórnym, tworzącym obszerny dziedzińiec, pośród którego stał dworek o 4ch izdebkach; w prawym rogu ogródek, a w lewym kamienica o piętrze, dziś na szkółkę elementarną przerobiona. Od frontu, to jest od strony kościoła farnego, wiodła doń brama główna, a od strony podwala (Ulicy Wałowej) druga, połączona mostem na fossie, za którą stał śpichlerz zamkowy o piętrze, około trzech sadzawek. — Z prawego boku tegoż zamku wznosiły się dwie wieże więzienne czyli turny; do jednej z nich przez kratę żelazną nad lochem spuszczano zbrodniarzy i złoczyńców, a w drugiej, w małej izdebce, osadzano szlachtę.

Chociaż najwięcej prawie winien Radom Kazimierzowi W. chociaż wiele stracił przez zawczesną dla całego kraju śmierć tego Monarchy, przecież nie był zapomnianym przez Jego następców. Władysław Jagiełło i dalsi Królowie w różnych czasach od różnych ciężarów uwalniając to miasto, przywilejami swemi coraz większą swobodę i powagę mu nadawali. Musiał już nawet Radom w tych czasach prowadzić i handel, Kazimierz bowiem Jagiellończyk na zjeździe ogólnym Łęczyckim 1454 r. oznaczył kupcom tutejszym trakt do wolnego przewożenia towarów w Ziemię Belzką, Wrocław i Wielkopolskę. W r. 1469, Radom był świadkiem, jak ościenne narody umiały cenić męstwo ówczesnych Monar-

chów Polskich. Stany Czeskie, zważywszy zniedo-
 łążnienie króla swego Jerzego, chcąc sobie i jemu
 zjednać obrońcę, wyprawili swych posłów do Ka-
 zimierza Jagiellończyka podówczas tu w Radomiu
 przebywającego; którzy, przybywszy do tutejszego
 miasta w r. 1469, ofiarowali koronę Czeską starsze-
 mu synowi tego Monarchy Władysławowi. Wpraw-
 dzie, dla uciążliwości niektórych warunków, przyję-
 cie tej korony nie nastąpiło zaraz, jednak po śmierci
 Jerzego, w r. 1471 otrzymał ją Władysław z rąk
 Czechów a w 1490 i Węgierską się ozdobił.

Pod krótkim panowaniem Aleksandra Jagielloń-
 czyka, Radom zajął pamiętną kartę w dziejach pra-
 wodawstwa narodowego. Monarcha ten, poruczy-
 wszy Wielkiemu Kanclerzowi Koronnemu Janowi
 Łaskiemu zebrać wszystkie statuty, prawa i przywi-
 leje, począwszy od Kazimierza W^o Polsce nadane,
 po dokonaniu tego i przyjęciu przez sejm tu w Ra-
 domiu w r. 1505 zebrany, sam je zatwierdził. *)

Na tymże sejmie Szach Ahmet, Han Nadwołżańskich
 Tatarów, który na mocy przymierza zawartego je-
 szcze z Kazimierzem Jagiellończykiem, a z jego na-
 stępcami ponawianego, miał mieć udzielane od Pol-

*) Potwierdzając te ustawy, wyrzekł owo pamiętne zda-
 nie: —ani my, ani następcy nasi nie postanowimy nic nowego bez
 zezwolenia Senatorów i Posłów ziemskich; co w następstwie
 źle zrozumiane, było źródłem szkodliwego nieraz dla kraju *li-*
berum veto.

Według podania, sejm ten miał się odbyć w kościele PP Be-
 nedyktynek

ski posiłki, gdy nieotrzymując takowych, a naciera-
ny od Mengli Gireja, w niewolę się dostał, wprowa-
dzony do Senatu, wymówił królowi i jego radzie nie
dotrzymanie sojuszu i złe się z nim obchodzenie.

Pod Zygmuntem Augustem powiększyły się po-
siadłości Radomia: Monarcha ten w r. 1549 przywi-
lejem na Sejmie Piotrkowskim nadanym, przema-
rzył na wieczne posiadanie i użytek miasta, wsie:
Dzierzków, Gołębiów i Wolę Gołębiowską.

W 1550 r. zaszczycony był Radom czasowym po-
bytem żony tegoż króla, nieszczęśliwej Barbary Ra-
dziwiłówniej. O ile podanie niesie, mieszkała ona
w umyślnie dla siebie zbudowanym pałacu, który te-
raz mieści w sobie Biuro Dyrekcji Szczegółowej To-
warzystwa Kredytowego Ziemińskiego. — W dwana-
ście lat potem, 1562 r. przybyła tu z małym dwo-
rem, znienawidzona przez Zygmunta z powodu cier-
pień wielkiej choroby i wysłana na tutejszy zamek,
druga jego małżonka, Katarzyna córka Cesarza Fer-
dynanda I^o i przez lat trzy tu przemieszkiwała.

Radom w owych czasach, licząc z przedmieściami,
miał 120 domów mieszkalnych, ośm kościołów, *)

*) Kościoły te były: w obrębie murów, Farny Śgo Jana
Chrzeciela i Śgo Ducha, przy którym był szpital miejski (na
prawym boku ulicy Szpitalnej) Śgo Piotra i Pawła pozostały
po dawnym zamku i Farny Śgo Wacława, o których wyżej by-
ła wzmianka, Śgo Leonarda już nie istniejący (obok Bernadyń-
skiego); Bernardyński na przedmieściu Jedlińskim w r. 1468
przez Kazanowskich założony, P. Maryi przy baszcie od strony
ulicy Spacerowej, Benedyktów Siciechowskich (dziś Ewange-
licki) i Benedyktunek, teraz na Grekorossyjski przerobiony.

szpital, ratusz, komorę i wiele innych pożytecznych zakładów i budynków, a co główniejsza: należycie uorganizowaną władzę miejską, zamożnych kupców i rzemieślników, ustalony pobór cła i podatków. Słowem, pomyślny był ówczesny stan naszego miasta: bo też świetne i błogie było panowanie obudwu Zygmunatów, pomyślny i kwitnący byt całej Polski.

Lecz upadło szczęście Królestwa, gdy ze śmiercią bezdzietnego Zygmunta Augusta wygasł dom Jagiellonów i nastąpiły nieszczęsne zawsze dla naszego kraju bezkrólewia i wolne Monarchów wybory. Wprawdzie dzielny Batory nie zawiódł oczekiwania Polaków, ale znów pod Zygmuntem III, w całej sile dały się uczuć zgubne następstwa elekcji, — potęga narodu znikać zaczęła, a prześladowania religijne, intrygi, współzawodnictwo nienawistnych sobie magnatów i samowolność połączona z osobistością, kraj w zupełnym nieładzie, miasto w zniszczeniu a Skarb w ubóstwie pograżony.

Trzeba było koniecznie obmyślić środek do przywrócenia znów porządku i zasilenia Skarbu. — Tym celem ustanowiony został Trybunał Skarbowy czyli fiskalny, któremu poruczono ściągnąć do Skarbu zaległe u cywilnych i wojskowych poborców i innych wierzycieli długi i podatki, nie uiszczających się zaś pociągać do Sądowej odpowiedzialności.

Pijarskiego jeszcze nie było, bo dopiero w roku 1685 Marcin Wąsowicz Stolnik Zakroczymski założył tu gmach dla konwiktów XX. Pijarów, którzy pod sterem swym otworzyli Szkoły.

Trybunał ten pod nazwą Kommissyi Radomskiej, w Radomiu w r. 1613 *) działania swe rozpoczął. — Odbywał się on przez 6 tygodni corocznie, pod prezydencją Biskupa i Marszałka z Senatu, lub Stanu rycerskiego; członkami zaś jego było kilku Senatorów przez Króla wyznaczanych, 30^{tych} Kommissarzy obranych na sejmikach obywatelskich, 2 od siły narodowej zbrojnej i jeden od cudzoziemskiego trybucyli autoramentu. — Nabral wspomniony Trybunał znacznej powagi, otrzymawszy zlecenie rozsądzenia kilku spraw wojennych, a w r. 1764 uchwałą Sejmu zamknięty został.

Ustanowienie tak ważnego Trybunału, a przez to obecność tylu dygnitarzy i ich dworów, rokowały wzniesienie się miasta, — lecz przeciwnie. — Spustoszony przez powietrze, przechody wojsk i rabunki; w r. 1629 po 30^{tych} letniej prawie wojnie, pełen gruzów i zniszczenia, miał Radom tylko 84 domy, a zamek bardzo zrujnowany i słabo obronny. — Podupadł on jeszcze więcej podczas bezkrólewia po Władysławie IV i pod nieszczęśliwem panowaniem Jana Kazimierza, — bo kiedyż Polska wolna była od Tatarów i Szwedów, religijnych rozsterek i własnych ziomków niezgody? — W roku 1660 było w mieście tutejszem tylko 37 domów, zamek zaś tak zniszczony, że aż na odbudowanie jego ze Skarbu 720 ówczesnych złotych przeznaczono.

Nie mniej ucierpiał Radom na samym wstępie

*) Niektórzy utrzymują, że dopiero w r. 1648 rozpoczął się w Radomiu ten Trybunał.

XVIII wieku, od Szwedów Karola XII ścigającego Saskiego Augusta. — Jeszcze za naszych czasów, przed ostatnią restauracją, wskazywano w tutejszym kościele farnym ślady spustoszeń przez żołnierzy tych zdziałanych, którzy wkroczywszy do miasta, w kościele tym magazyn i konie swe umieścić mieli.

Ostatnie czasy Radomia upamiętniły się jeszcze jednym historycznym faktem. Z zawiązanych w Toruniu, Krakowie, Wilnie i innych miejscach konfederacyj popierających prawa Dyssydentów, w r. 1767 powstała jedna główna w Radomiu pod laską Księcia Karola Radziwiłła, a przeniósłszy się ztąd na sejm do Warszawy, pomimo oporu katolickich magnatów, dopięła swego celu.

Po ostatnim rozbiórce kraju, przeszedł Radom pod panowanie Dworu Wiedeńskiego, i otrzymawszy wraz z innymi miastami jurysdykcyą Austryacką; cyrkulowem miastem mianowany został. Za Księstwa Warszawskiego stał się stolicą Radomskiego Departamentu, a na ostatek w r. 1815, wraz z całą *Wskrzeszoną Polską*, przeszedłszy pod błogosławionego Aleksandra opiekę, zaczął się wznosić i zaludniać, i odtąd wzrastać nie przestaje.

Ale koniec XVIII i początek XIX wieku nie są tak odległemi, aby nie miały być znane prawie każdemu; — zaszły w nich wypadki, zbyt są jeszcze świeże, aby krytyka potomności zdołała określić ich wpływy, a dla nas zanadto pamiętne, abyśmy sami nie mogli ocenić ich następstw. — Jesteśmy świadkami, jak pomyślność w kraju naszym byt swój ustala, a wszystkie bez wyjątku miasta, szybkim ku świe-

tności postępują krokiem; — nie ustępuje w tym względzie i nasz Radom, a szczególnie obecnie, po złączeniu b. Gubernii Kieleckiej z Sandomierską, pod zarządem teraźniejszego Gubernatora, ukształca się, upiększa, zaludnia i wzrasta.

OBWIESZCZENIE

Z NAD DUNAJU ZA RĘK

GENERAŁA BUREAU

W TOKU 1796.

tancerz polski, — nie ustępuje w tym
 względzie i nasz krajowi, a szczególnie obecnie, po
 złożeniu D. Guberni Riebskiej z Sandonnerskiej
 pod zarządem tenżejszego gubernatora, okazała

się, większa, zdolność i wzrost

ODWRÓT

Z NAD DUNAJU ZA REN

GENERALA MOREAU

w roku 1,796.

(przez Wojciecha z Boguchwałowic).

Czem były dla nauk i sztuk pięknych wieki Medyceuszów we Włoszech, Luwdwika XIV we Francyi, Zygmunatów u nas: tem dla dzieł wojennych, okazały się być czasy wojen rewolucyjnych we Francyi; — jak tamte zajaśniały liczbą jenjuszów na raz jeden zjawionych, i stały się podstawą, jeżeli nie wątkiem, tak daleko dzisiaj udoskanolonych wiadomości ludzkich: tak te będą na zawsze obfitem źródłem, z którego następnych wieków i wszystkich narodów wodzowie, czerpać nie przestaną.

Ale przyrodzenie uposażając umysł człowieka tak hojnie, że częstokroć zdaje się sięgać rzeczy niedostępnych, odmówiło mu przecież zupełnej do-

skonałości. Postęp tylko, raz umiarkowany, znowu szybki i gwałtowny, a zawsze prawie niedojrzany, jest dla niego od przeznaczenia wskazany; i dla tego też, kiedy Narody zajdą tak daleko, że zdaje się jeden tylko krok dzielić je od szczytu potęgi i doskonałości; niespodzianie zjawia się obłok zniszczenia, który silnie zaciera ślady znakomitego już postępu: płyną czasy ogólnego odrętwienia, wśród których przesypia kilka pokoleń; nareszcie przebudza się z nich jedno, chwytą chciwie pozostałe dawniej świetności szczątki, z których wyczytuje i dochodzi jedynie konieczności dalszego postępu!

Abyśmy dali podstawę temu zdaniu, przypomnijmy sobie, że Leona Xgo poprzedził Grzegorz VIImy, Ludwika XIVgo Henryk IVty i Franciszek Iszy, u nas przed Zygmuntem uczył się już Kopernik; w rodzaju zaś rzemiosła wojennego; przed czasami, o których wspominamy, jaśnieli już wielcy mistrzowie: Turen, Sobieski, Karol XII, Fryderyk Wielki i inni. — Na tych wzorach się kształcili, ich przykładami karmili ducha swojego: Hoche, Jourdan, Moreau, Kleber, Desaix, i cały szereg Marszałków Cesarstwa; równie jak ich przeciwnicy: Arcy-Książę Karol, Barklai de Tolli, i inni.

Ale, oprócz tego szeregu znakomitych wodzów, widziała jeszcze jednocześnie Europa, na zakrąwionym podówczas horyzoncie Francji, dwie, bardzo świetne komety, które zesłane od przeznaczenia, jakoby dla zmienienia dotychczasowego porządku rzeczy na świecie, i utrwalenia wieczystej chwały i chwilowej potęgi kraju, w którym się zjawily;

działały początkowo wspólnie; następnie siła rzutu jednej, zaczęła osłabiać potężny już bieg drugiej, wskutku czego, w miarę o ile bieg i światło jednej się wzmagalo i rosło, drugiej, w tym samym gasło stosunku; aż wreszcie jedna uderzywszy gwałtownie zdruzgotala drugą zupełnie, a to, na małą tylko chwilę pierwej, nim jej bieg własny miał także ustać na zawsze. — Temi pamiętnemi kometami Francji byli Moreau i Bonaparte; dzieła ostatniego, znane są wszystkim dokładnie, o znakomitym zaś i słynnym odwrocie pierwszego, mamy mówić obecnie.

Urok jaki w nas wzbudza wspomnienie czynów sławnych u klassycznych, czyli starożytnych narodów, działa tak silnie, że jakkolwiek czyn znakomitszy chociażby graniczył z miernością, byle jednak porównany z dziełem głośnem w starożytności, już przez to samo uważany zostanie powszechnie za wielki i nieporównany; nie rozbieramy jego natury, nie oceniamy towarzyszących mu okoliczności, ale umieszczamy go w zenicie sławy, skoro znalazł się głos odnoszący go do dzieł Aten, albo Rzymu.

Ale, czy w każdym rodzaju sztuki, starożytni tak wysoko zaszli, aby rzecz dla nich niepospolita, była tem samem dla nas przedmiotem podziwu i uwielbienia? Czy czasy ostatnie nie jaśnieją dziełami, których pozazdrościłyby ludom tegoczesnym najświetniejsze epoki starożytności? — są to pytania do obszernych bardzo prowadzące rozpraw, które zostawiam rozbiorowi innych, przystępując tutaj do opowiedzenia słynnego odwrotu Generała Moreau, porównywanego z odwrotem dziesięciu tysięcy Greków,

pod wodzą Ksenofonta, i dla tego jedynie uważanego w swoim czasie, za najznakomitsze dzieło wojenne tego sławnego Generała; kiedy tymczasem odwrót ten, nietylko jest najmniej może świetnym jego czynem, ale owszem dziełem, w którym Moreau najwięcej błędów ze zbytnej ostrożności powstałych popełnił. — Że jednakże jest nader głośnym w historii wojen zeszłego stulecia, zasługuje na wzmiankę i rozbiór ciekawych, i znawców.

Przedewszystkiem, poznajmy ówczasowy stan Europy, jej usposobienia i chęci, następnie siły Mocarstw wojujących, i ich względem siebie stanowiska.

W połowie 1796 roku upłynęło już lat trzy miesiące sześć, od męczeńskiej śmierci Ludwika XVIgo; już zatem wszystkie Mocarstwa, jawnie okazywały stronę, jakiej po tym pamiętnym wypadku chwycić się zamierzały.

Hiszpanja i Neapol pod niedoleżnemi Monarchami, były tylko odgłosem cudzej polityki, naprzemian więc zagrażały albo trzymały się Francji, na którą oczy całego świata bacznie były zwrócone.

W tej właśnie chwili, ziemia Włoska, bliżej poznała wojska Republikanów, które niedługo cudami prawie waleczności i szczęścia, miały ją oswobodzić, zdobyć i własnymi obdarzyć prawami.

W Anglii pierwszym Ministrem był Pitt sławny; a znane wysilenia do jakich wówczas kraj Ojczysty przyprowadził zawziętem przeciwko Francji postępowaniem, świadczą dostatecznie o polityce gabinetu St. James; — oprócz tego Nelson już się sposo-

bił do dzieł przyszych, w ustawicznych zaborach i potyczkach z marynarką francuzką.

Szwecja i Danja były neutralnemi.

Prussy spoczywały na laurach siedmioletniej wojny i skarbach przez następców Fryderyka Wielkiego zebranych; poznawszy dostatecznie w krótkiej pod Księciem Brunświckim w r. 1792 przeciwko Francji wyprawie, że nic dla nich nie było do nabycia, a wiele do stracenia w tych krwawych z Jakobinami zatargach.

Rossja pod sławnem panowaniem Katarzyny Wielkiej, przyprowadzała do ostatniej niemocy państwo Ottomańskie, orężem Rumiancowa i Suwarowa.

Sama tyllko Austria występowała obecnie na lądzie, przeciw rozhukanym wyobrażeniom i niezwy- cieżonym wojskom Francyi — Wytrwała!

Po krwawym tryumwiracie Robespiera, St. Justa i Couttona, zamknięto trybunał Fouquier-Tinvilla, spoczęła trochę gilotyna, a prowincye nawet Wandej- skie nie tyle mordów i pożóg widziały; ale za to krew obrońców Rzeczypospolitej Francuzkiej, płynęła ustawicznie i prawie coraz obficie w licznych i co- raz zawziętszych bojach. Wyliczmy armije ówczesne:

Hoche! nieśmiertelny młodzieniec, którego ja- sność chwały jest bez najmniejszej skazy, jak Klebe- ra i Desaix, na czele 100 tysięcy wojska, równie sławnym orężem, jak świetnym genjuszem i najle- pszem sercem, goił blizny i uśmierzał domową woj- nę Wandei.

Armja Włoska, liczyła 36,000 ludu, i pod nowym

bożkiem zwycięstwa (Bonapartem), zajmowała Lombardją, śpiesznie posuwając się do posiadłości Wenecyjskich.

Trzecia armja 40,000 licząca, pod naczelnictwem Generała Bournonville, strzegła Hollandji od napaści angielskiej.

Armją Mozy i Sambry, dowodził odważny i prawy Jourdan, i teraz się posunął ku ujściom Renu, zajmawszy dwa ważne miejsca, Düsseldorf i Neüwieden.

Armja Renu, po zdraycy Pichegru oddaną została pod dowództwo roztropnego Moreau.

Takie były podówczas wojska czynne Rzeczypospolitej Francuzkiej. Ale ponieważ w tem opowiadaniu, ostatnie tylko dwie armje, wspólnie nad Renem działające, wspominanemi będą; dla tego też ich tylko stanowiska, starać się będziemy poznać, ile być może najdokładniej.

Armje te z woli owczesnego Rządu, Dyrektoryatem zwanego, którego główną podporą co do spraw wojennych był Carnot, nieśmiertelny planista — powierzone zostały oddzielnym i niezależnym od siebie wodzom, i przybrały obecnie nazwę Armij Reńskich; dodatek tylko, niższego albo wyższego Renu, odróżniał je od siebie. — Armją Renu wyższego dowodził Moreau, zajmując przestrzeń od Strasburga aż do Manheimu. — Wojska niższego Renu prowadził Jourdan, dotykając krańcem prawego skrzydła, krańcem lewego Generała Moreau.

Jakkolwiek w r. 1794, Carnot podobnem zupełnie powierzeniem dwóch armij oddzielnym dwóm wo-

dzom i zaleceniem takiego działania na skrzydła nieprzyjaciela, aby przez silne na nie parcie i obejście, zmusić środek do cofania, dokazał prawie cudów; bo nieprzyjaciel okopany w lesie Mormale widząc zagrożone komunikacye, musiał przedsięwziąć odwrót ogólny i otworzyć bezwzbroną drogę Jourdanowi i Pichegru do zajęcia całego biegu Renu aż do jego ujścia. Carnot, mówię, z tego wypadku ułożył sobie pewnik na przyszłość; doświadczenie jednak terażniejsze przekonało: że sposób ten nie tylko zawsze zastosować się nie daje, ale owszem nastęrczając przeciwnikowi możność, szybkiego a nieprzewidzianego łączenia sił i uderzenia massami, na pojedynczo i oddzielnie działające korpusa, nastęrcza łatwość zniszczenia każdego z nich osobno; jak też zobaczymy wkrótce, że Jourdan padł ofiarą tego planu; Moreau zaś unikając tylko zguby, zasłużył nieśmiertelne wieńce i laury.

Na przeciw tym zastępom Francji, Austria przygotowała także, najpiękniejsze wojska jakie kiedykolwiek tam widziano; angielska broń i złoto, a prztem kawalerja wiernych jej zawsze Węgrów, mnoga, bitna i piękna, postawiły armję austryacką w stanie, nic do życzenia nie zostawiającym; ta którą widzimy przed sobą, wynosiła przeszło 180 tysięcy ludzi, i zostawała pod sprawą starego, ale zuchwałego Wurmsera, którego jeszcze skrzydeł wojennych, nie podciął Bonaparte.

Zamiarem było początkowo gabinetu Wiedeńskiego, armję tę w całości wprowadzić prosto w granice Francji, i przytłumić w zarodzie, tak gwałto-

wnie rozżarzony żywioł nowych wyobrażeń i nieograniczonej wolności; ale nieprzewidziana wiadomość o nadzwyczajnych pomysłnościach i postępach Bonapartego we Włoszech, a mianowicie o zupełnem rozbiciu przez niego korpusu Beauliego, przymusiła radę gabinetową, do zaniechania zaczepnego działania; polecono więc Wurmserowi, aby wybrawszy 30 tysięcy co najlepszego żołnierza, śpieszył przez Tyrol dla ratowania niedobitków Beauliego; reszta zaś wojska austriackiego, 150 tysięcy przeszło wynosząca, oddaną została pod dowództwo młodego wprawdzie, ale pełnego energii i talentów wojskowych wodza, Arcy-Księcia Austriackiego Karola.

Tak więc, widzimy teraz, na dwóch przeciwnych brzegach Renu, w przestrzeni przeszło 60 mil niemieckich, rozłożone dwie potężne armije nieprzyjacielskie. — Obydwie w długich zaprawne bojach, obydwie powierzone wodzom biegłym, czujnym i utalentowanym. One to wkrótce mają rozwiązać orędzem, wielkie pytanie: czyli Ren będzie stanowił granice Francji?

O ile było zamiarem Austrii, wkroczenie w granice kraju nieprzyjacielskiego, o tyle znowu Francja, wycieńczona długoletnim bojem, wewnątrzniemi rozterkami i mordami, miała konieczny cel wysłania jak najdalej od własnych granic swych armij, aby tem łatwiej i pewniej żyć one mogły kosztem nieprzyjaciela; dla obu więc wojsk teraz, przejście Renu było tą wielką zagadką, od rozwiązania której zależały dalsze wypadki.

Panował podówczas w armjach europejskich zwy-

czaj; bo zwyczaj ma zawsze i wszędzie przywileje chociaż zgubne częstokroć; że generałowie naczelnie dowodzący, odbierali główne plany postępowania od gabinetów rządowych; gdzie takowe rada wojenna ciągle układała i nad wypełnieniem czuwała, tak dalece: że pod karą śmierci nie wolno było dowódcy w niczem ich zmieniać, ale o najdokładniejsze tylko wykonanie się starać; zgubne tego skutki z każdej strony częstokroć spostrzegać się dawały, — zobaczymy najprzód w tej kampanji najpierwsze rozporządzenie Carnota.

Polecił on, aby Jourdan, mając w swem posiadaniu dwa klucze Renu, to jest: Düsseldorf i Neuwieden, aby wszystkimi siłami (66 tysięcy ludzi wynoszącymi) rzekę przeszedł, nieprzyjaciela na siebie ściągnął, potem korpus 26 tysięczny pod sprawą młodego Marceau, nazad za Ren przerzucił; który to korpus, po za stojącym wzdłuż Renu korpusem Generała Moreau miał w największej tajemnicy dojść do Strasburga, i tam przeprawę swoją na prawy brzeg uskutecznić. Szczęściem było jeszcze dość czasu, aby wykazać niestosowność takiego postępowania. Obadwaj Generałowie Moreau i Jourdan, zniósłszy się z sobą, złączyli swoje uwagi, przedstawiając Dyrektoryatowi niebezpieczeństwo Jourdana, pozostawionego w 40 tysięcy w obec całej potęgi nieprzyjaciela. Moreau zobowiązał się uskutecznić przeprawę w Strasburgu, i na jego rachunek cały plan zmieniono; ale zdaje się, że Jourdanowi w tej całej sprawie klęska po klęsce od przeznaczenia naznaczone już były.

Dzień 30 Maja 1796 roku był ostatnim, w którym upływało zawieszenie broni; wszystkie więc straże przednie, obchodziły go wielkiem rozpoznaniem stanowisk (rekonesanssem); był to mały wstęp tylko, nic nie znacząca zabawka wojenna; niestety! ileż częstokroć krwi wypłynię, i pasm najinteresowniejszych żywotów przeciętemi zostaje w tych niestanowczych początkach!...

Jak to już mówiliśmy, armja Jourdana rozciągała się od Moguncji, aż do Düsseldorf, gdzie posiadając most z czołem obwarowanym, każdej chwili przeprowadzić zamierzać mogła; następnie zaś, pomiędzy krajami Prus neutralnych i Renem przebywszy rzekę Lhan stanąć nad Menem, i ztamtąd posuwać marsz zwycięzki na Dunaj. Na przeciwnym czyli na prawym brzegu Renu od Düsseldorf ku Moguncji stał z korpusem 20 tysięcznym Generał Książę Wirtembergski; w Moguncji Arcy-Książęca główna kwatera i najcelniejsze siły Austrjaków; dalej okopany obóz pod Manheimem, pod rozkazami Generała Latour, namiestnika Arcy-Książęca Karola; coraz dalej inne pomniejsze korpusa, i kontyngensa kończył korpus Książęca Kondeusza w Brissac, 3,800 ludzi wynoszący.

Rozpoczynając kroki zaczepne, Jourdan polecił Generałowi Kleber, przejście Renu w Düsseldorf na czele korpusu 25 tysięcy wynoszącego.

Z duszą bohatera, generał ten wykonał rozkaz swojego dowódcy, i pobiwszy pod Altenkirchen Austrjaków śpiesznie uchodzących, 4 Czerwca zajął pozycje między krajami neutralnemi nad Menem; a skoro tylko zasłonił przejście w Neüwieden, Jourdan

złączył się z nim na prawym brzegu we 20 tysięcy, zostawiając korpus około 30 tysięcy pod Generałem Marceau, strzegący Arcy-Księcia w Moguncji; tak więc w dniu 5 Czerwca Jourdan w 45 tysięcy wojska postępował już w kraje niemieckie za Renem. — Arcy-Książę dowiedziawszy się o tych poruszeniach, opuszcza twierdzę Moguncką z znaczną częścią sił swoich i śpieszy zmierzyć się z nieprzyjacielem.

Miał Jourdan i czas, i zamiar nawet uderzyć na Księcia Wirtembergskiego, nie przygotowanego i nie wzmocnionego; ale się spóźnił, i 7 Czerwca sam został atakowany pod Wetzlar, gdzie sięgał lewym skrzydłem, prawie o Ren opierając. — Silne natarcie Austriaków zmieściło dywizję Lefevra, i zmusiło ją do cofnięcia; Jourdan porażony na lewym skrzydle, mógł jeszcze prawem, stawić dzielny opór; lecz aby przyjąć niem bitwę, potrzeba było stawić czoło nieprzyjacielowi mając Ren w tyle. Tym sposobem w razie porażki, dać się wrzucić w rzekę, i stracić możność pożądanego odwrotu. Rozważywszy wszystko dokładnie, nadewszystko oceniwszy nieużyteczność niepewnej bitwy, w razie kiedy cel jego przeprawy po największej części już osiągniętym został, bo znaczne siły nieprzyjacielskie już były na przeciw niego, inne zaś śpieszyły na gwałt z ponad Renu górnego, a tem samem podawały Generałowi Moreau sposobność łatwiejszej w tamtej stronie przeprawy; zgłębiwszy to wszystko Jourdan polecił odwrot, ale odwrot wzbudzający uszanowanie, i w którym co chwila stawiano czoło nieprzyjacielowi. Sam osiągnął lewego brzegu pod Neüwieden; korpus zaś pod

sprawą Klebera z wolna postępował ku Düsseldorf; pod Ukerat Kleber party gwałtownie, rozwinął swoje pułki i genjusz wojenny, który go zwykle w godzinach walki ożywia, silnie dał uczuć nieprzyjacielowi zbyteczne do siebie zbliżenie; ale krok ten waleczny, nie wywarł stanowczego skutku, i wojska wróciły na dawne stanowiska, jakby po odbytej tylko paradzie.

Ale zobaczmy co się dzieje z Generałem Moreau? Już nie w jednym dziele wojennem Moreau odznaczył się osobliwą roztropnością, która nawet weszła w przysłowie: „roztropny jak Moreau“ przezornością, odwagą, krwią zimną i wszystkim co zaleca biegłego wodza; teraz przymioty te, zajaśnieć miały w wyższym nie równie stopniu.

Obrał on Strasburg, jako punkt główny swojej przeprawy; oczywiście, twierdza ta znakomita, mogła być miejscem najstosowniejszem do tego zadania; ale jakiej potrzeba było ostrożności!? jakiej ścisłości tajemnicy? jakiego taktu w poruszeniach, aby odwrócić baczność nieprzyjaciela czujnego i posiadającego wielkie ułatwienia do przeszkodzenia temu zamiarowi w tem miejscu!

Najpierwej więc, puszczono wieść, że korpus oddzielony od wojska Generała Moreau, śpieszy do Włoch, dla wzmocnienia Bonapartego przeciw Wurmserowi; dla tem pewniejszego przekonania o tej prawdzie nieprzyjaciela, przygotowano magazyny i miejsca przechodu i spoczynku przez całą franche-Comté; korpus zmierzający od Huningi, był przekonany, że przeznaczeniem jego, będzie stanowić załogę

w Worms; takimi przygotowaniem złudziwszy nieprzyjaciela, kiedy zbliżał się dzień, w którym Desaix według przepisane go mu postępowania, miał przybyć do Strasburga; żywy atak przypuszczono na obóz nieprzyjaciela pod Manheimem. Atak ten, zręcznie kierowany, upewniał Austrjaków, że tam jest obrany punkt przeprawy, gdy tymczasem Moreau zostawiwszy korpus St. Cyra, sam zwrócił się ku Strasburgowi.

Nadeszła wreszcie noc do przeprawy oznaczona; przed wieczorem zamknięto bramy twierdzy, aby uspić czujność nieprzyjaciela zajmującego i wyspę Erlen-Rhin w środku Renu będącą, i twierdzę małą Kehl zaraz na przeciwnym brzegu. Ni ztąd, ni zowąd, pełno wojska wszędzie; tak były dokładne rozporządzenia; jedni wychodzą próbować przeprawy wyżej, inni wsiadają w statki w odnogę Mabil wprowadzone; nad wszystkimi czuwa, wszystkimi kieruje Desaix z polecenia Moreau!

Dwa tysiące sześćset wyborowych grenadyerów, wśród milczenia nocy przybiegło na statkach do wyspy Erlen-Rhin zajętej posterunkiem nieprzyjacielskim, który cofając się śpiesznie na prawy brzeg rzeki po moście wiszącym na pontonach, nie zdołał go odciąć, mimo największych usiłowań; bo grenadyerzy francuzcy bez najmniejszego okrzyku, zdmuchnąwszy nawet proch z panewek; aby wystrzałem nie zbudzić nieprzyjaciela, postępowali krok w krok za nimi na drugi brzeg Renu.

Tak w mgnieniu prawie oka oddział ten bez żadnej armaty, bez kawalerji, z widocznem poświęce-

niem puścił się za uchodzącym do Kehl nieprzyjacielem; wkrótce statki obróciły raz drugi, a wzmocniony oddział, z bagnetem tylko rzucił się na twierdzę Kehl, zdobył ją, używając natychmiast artylllerji tam znalezionej, przeciw ściągającemu się zewsząd nieprzyjacielowi; ale już też i most rzucono wzdłuż całej rzeki, i na drugi dzień to jest 25 Czerwca 28 tysięczny korpus Desaix'a cały postąpił naprzód; wkrótce przybył Moreau, i sam tylko St. Cyr, w spieszonych pochodach wracał z pod Manheimu, gdzie zwodnicze wykonywał ataki; lecz 30go już cały blisko 80cio tysięczny korpus Generała Moreau zajmował prawy brzeg Renu.

Powiedzieliśmy na wstępie, że w tej jednej kampanji tyle przynoszącej sławy Generałowi Moreau, tenże więcej błędów popełnił, niż we wszystkich innych; wypada nam więc częściowo dowodzić, i tak:

Przebywszy Ren jak widzimy, nim jeszcze nadciągnął Generał St. Cyr, Moreau miał już pod ręką 53 tysiące wojska pełnego zapалу; zastał zaś porozrzucone tu i owdzie oddziały nieprzyjacielskie 20 tysięcy nie przenoszące jak na przykład; Księcia Kondusza w Brissac w 3,800 ludzi; kontyngens Szwabski w Wilstedt 7,500 dochodzący, ośmiotysięczny korpus pod Generałem Starrai, był rozłożony od Strasburga aż ku Manheimowi; cóż więc mogło być łatwiejszego, a razem konieczniejszego jak w dniu jednym, w dzień samej przeprawy, korpusa te otoczyć, zabrać, lub zniweczyć? następnie bez straty jednej chwili postąpić przeciw nadciągającemu od Manheimu Latourowi, który w 36 tysięcy ledwie

nadchodził, oczekując przybycia dopiero Arcy Księcia Karola, mocno zajętego jeszcze przeparciem Jourdana i Klebera! — Ale był to oddzielny sposób prowadzenia wojny tego generała; nigdy on nie zrobił jednego kroku, dopóki nie przekonał się że stąpi bez szwanku! i nigdy jednej kropli krwi swojego żołnierza nie wylewał próżno! Doprowadziwszy do skutku wielkie zadanie przebycia z całą armiją Renu, Moreau dał najprzód wypoczynek wojsku, ścigał i urządził korpusa, dokładnie obznajmiając się z miejscowością, która wówczas nie była tak dokładnie znaną, jak to miało miejsce po tych i późniejszych jeszcze wielkich wyprawach; — przekonywał się o obrotach nieprzyjaciela którego wypuścił, słowem zrobił wszystko co nakazywała przezorność wodza; nie zrobił nic coby podyktował genjusz jego wojenny! —

W tem miejscu, wypada znowu przedstawić czytelnikowi obraz położenia, w którym się wojska znajdują; czyli mówiąc językiem właściwym, okazać teatr wojny za Renem.

Wiadomo: że Ren i Dunaj dwie najznakomitsze rzeki Europy mają swe źródła w Alpach; pierwsza w Alpach wielkich, druga w Alpach Szwabskich. Strumienia te śpiesząc początkowo w raz obranym kierunku, około jeziora Konstancyjskiego znacznie ku sobie się zbliżają; ale trafiwszy nie długo na masy skał siłą ich przeprzeć się nie dające, rozdzielają się wiecznie. Ren opływa te masy, i od Bazylei przedziera się ku morzom północnym; Dunaj pędzi w przeciwnym kierunku, a od Ratisbony, rzuca swe

nurty na wschód zupełnie; tym to przeciwnym kierunkiem, strumienia te stanowią dla wodzów Europy, dwie główne podstawy działań wojennych, tem jeszcze ważniejszych, że chcąc przenieść się z jednej na drugą, napotyka się krocie przeszkód naturalnych.

Moreau przebywszy Ren, znalazł się właśnie u stóp mass wspomnionych, nadających wodzom Renu i Dunaju przymuszone kierunki; — aby zostać w możności postępowania dalej z armiją, wypadło zająć górzyste położenia i liczne wąwozy, i przedrzeć się do płaszczyn, któremi Necker wody swoje przesyła Renowi; — wypadło o wszystkim przekonać się dokładnie, bo karty pochodów wojennych Cezara do nas nie doszły, a późniejszych nie było jeszcze żadnych.

Moreau więc kilka dni przepędził na samem rozpoznawaniu miejscowości, urządzaniu wojska i oznaczaniu dowódców.

Prawe skrzydło oddał Generałowi Ferino, wyprawiając go za uchodzącymi korpusami Szwabów i Kondeusza ku Szwajcaryi, zalecając głównęj baczności stosunki z Armją Włoską, gdyby tego zaszła potrzeba.

Środek powierzył St. Cyrowi, i zalecił zajęcie przejść w górach czarnych.

Lewe skrzydło prowadził Desaix i z nim postępował Moreau.

Generał Austryacki Latour, jakkolwiek nierówny co do sił generałowi francuzkiemu, czując przecież całą ważność zajęcia Rasztadt, Ettlingen i Pforzheim, od czego zawisła możność powrotu nad Dunaj, po-

mimo nienadciągnięcia dotąd Arcy Księcia Karola, zajął te miejsca, a znalazłszy bardzo mocną pozycję nad rzeką Murg do Renu wpadającą, skupił się tam, opierając lewe skrzydło w Gernsbach wśród gór, środek u ich stóp, prawe zaś rozwijając wzdłuż lasu Niderbuhl do Renu dotykającego.

3 Lipca, Moreau z lewem tylko skrzydłem swoim uderzył na Latoura w tej pozycji; francuzi wszędzie postępowali na przód zwycięsko! wkrótce cała linja nieprzyjacielska zdobytą i przekroczoną została; — Rezerwy nawet Latoura z Rasztadt ustępować musiały! Ale...

Musiemy znowu wytknąć Generałowi Moreau błąd nie do darowania; — nie korzystał ze zwycięstwa, nie zajął przejść prowadzących do płaszczyzn, któremi Necker przepływa, stanął na pobojowisku bezczynnie, dając czas Arcy-Księciu do ratunku i ocalenia siebie i Latoura.

Gdyby był generał francuzki, nie mając żadnej przed sobą przeszkody, posunął się tylko na przód; już przez to samo Arcy-Księżę Karól odcięty od linij swoich komunikacyj i działań, byłby musiał stawić albo niepewne czoło w bitwie, mając Ren w tyle, albo też szukać schronienia w kilku twierdzach, które były w jego posiadaniu i tam się dać ogłodzić. —

Zwłoka dni 5 dozwoliła Arcy-Księciu przybieść w miejsca zagrożone, który zostawiwszy Generałowi Wartensleben siły potrzebne do uważania Jourdana i dostateczne załogi w twierdzach, w 25 tysięcy wyborowego żołnierza nadleciał.

Teraz dopiero zabierało się do stanowczej rozpra-

wy. Położenia wojsk pod względem korzyści, były prawie jednakowe. Stały one w linii prostopadłej do Renu; jedne skrzydła ukryte w wąwozach i górach, środki u ich podnóża, drugie skrzydła po nad brzegiem Renu. Obadwaj wodzowie czuli dobrze tę okoliczność, że od zajęcia przejść w górach, zależy możność przyszłego działania; dla tego też oba wszelkich dołożyli starań dla umocnienia się w tem miejscu. Arcy-Księżę dla mnogich swoich szwadronów trzymał się także częścią w równinach, okopawszy wioskę Malsch, oddziały Sasów wysłał dla obejścia Francuzów, i w tem położeniu miał zamiar uderzenia w dniu 10 Lipca; — Moreau go uprzedził wydając bitwę 9. St. Cyre stanowiący prawe skrzydło Francuzów, w dniu téj walki rozpoczął działania uderzeniem, na okopaną i z natury bardzo silną płaszczynę Rothenthal; — nieopowiedzianym, nieporównanym, był zawsze widok wojsk, czyniących ewolucje pod rozkazami tego generała, — rzekłbyś że to najpiękniejsze manewra; każdy krok z najściślejszą dokładnością, w największym porządku; wszystko idzie dobrze, ale nieprzyjaciel nie poruszony niczem, razi z nader silnego położenia swojego! W téj chwili St. Cyre używa wybiegu wojennego, tego samego który tyle razy służył Hannibalowi do zwycięstwa nad Rzymianami; otacza nieprzyjaciela i silnie naciera; w końcu zmyśla ucieczkę, popłoch nastaje w całej kolumnie nacierającej; Austriacy na ten widok upojeni radością zwycięstwa, występują z okopów dla ścigania Francuzów i dokonania ich klęski. — Tymczasem przygotowana do natarcia ko-

lumna, której nic nie ustraszy, której nic się nie oprze, śpieszy do ataku z nadstawionym bagnetem; nie zdobyta pozycja zajęta! bitwa w tem miejscu zdecydowana, drogi i przejścia zdobyte, komunikacje Arcy-Księcia zewsząd zagrożone!

Pod wioską Malsch, Desaix także bardzo żywo nacierał; po kilkakroć wydzierano sobie wioskę, ale wojska przy placu bitwy utrzymały się, bitwa więc została tutaj nie stanowczą.

Już mógł Moreau Arcy-Księcia oskrzydlić, już odciąć go zupełnie, zmieniawszy front od razu, ale przez to samo, sam znowu odciętym zostawał od swoich komunikacyj, sam tracił Ren, będący podstawą jego działań.

Tak kiedy oba zręczni wodzowie namyślali się nad dalszemi krokami jakie przedsięwziąć mieli, kiedy grozili sobie wielkimi skutkami swoich działań, Arcy-Książę dał znak do ogólnego odwrotu; — zważywszy bowiem, że w terażniejszym swoim położeniu narazić się może na stratę, lub, co na jedno wychodzi, wielkie zdemoralizowanie całej armji, której to klęski nie powetuje, a tem samem los Monarchji stawi na kartę, uważał za stosowniejsze posunąć się do Dunaju, i tam dopiero losowi oręża powierzyć przyszłość Niemiec! —

Zostawiwszy załogi w Moguncji, Ehrenbreitstein, Cassel, Manheimie, polecił Generalowi Wartensleben jak najwolniejsze cofanie wzdłuż biegu Menu; sam zaś ze swoją armją ruszył z Pforzheim wzdłuż koryta Neckery; — Wartensleben cofał się na czele 30 tysięcy piechoty i 15 tysięcy jazdy; Arcy Książę

miał przy sobie 40 tysięcy wojska pieszego, a 18 tysięcy jazdy.

Całe Państwo Niemieckie wydało okrzyk żałoby, na odgłos odwrotu wojsk Arcy Księcia! — pełno znalazło się głosów złorzeczących, pełno krytyków ganiących to postępowanie; a przecież była to myśl wielka! było to osiągnięcie wielkich skutków, kosztem wielkiego poświęcenia! Rozważmy tylko wszystko dobrze:

Arcy Książę, cofając się z wojskiem żadną znaczną klęską niepostrachaniem, owszem ze względu na przejście za Ren Jourdana, przypisującym sobie pewne świetne czyny, prowadził je całe i dobrym ożywione duchem; — dalej — postępując drogami już przygotowanymi do przechodu, nie narażał go na zwykłe trudy odwrotu, i natychmiast ogalając miejsca które przechodził z zapasów potrzebnych, utrudniał postęp nieprzyjacielowi; — co najwięcej, zbliżał się do nowój linii działań do Dunaju, gdzie posiadając dwie wielkie twierdze pierwszego rzędu, Ulm i Ratibonę, mógł w każdej chwili stawić nogę na tym lub owym brzegu, zasłaniać kraje dziedziczne Cesarza, i próbować losu oręża wtenczas tylko, kiedy wyrachowania zbliżały go do pewnej nad nieprzyjacielem przewagi.

Francuzi przeciwnie; o ile Arcy Książę się wzmacniał swoim nad Dunaj powrotem, o tyle oni osłabiali się, oddaleniem się od Renu, podstawy swych działań; co więcej, musieli postępować drogami od natury trudnymi, i gdzie co krok nowe napotykali zasadzki i przeszkody; co zaś najwięcej, zostawali pod

rozkazami dwóch wodzów, co wszelkie możliwe korzystanie z chwilowych wypadków utrudniało, i niepodobnem czyniło. Jeden tylko główny warunek zostawał Arcy Księciu do dopełnienia, to jest: aby cały, niepostrachany, stanął nad Dunajem, do czego też liczne i piękne jego szwadrony, zasłaniające odwrót jak najdokładniej, stawiające czoło co chwila napadom Francuzów, i osłaniające armją od wszelkich obelg odwrotu, doskonale posłużyły.

Skoro tylko Moreau, zmusił Arcy Księcia do ogólnego odwrotu, Jourdan natychmiast Ren przebył w wiadomych nam już punktach, i krok w krok za Wartenslebenem postępował; — mając zaś twierdze nieprzyjacielskie za sobą, pozostawił znaczne siły pod Generałem Moreau dla uważania ich, sam zaś przez to, ledwo wyrównywał austryjackiemu generałowi.

Otóż mamy teraz przed oczyma, rzadki widok dwóch potężnych armij, rozdzielonych na 4 korpusa, bez stanowczego rozprawienia się, jedynie w widokach przyszłych wyrachowań, postępujących wzdłuż biegu Menu i Neckery; pierwszą z tych dróg szedł Wartensleben a za nim Jourdan; — drugą postępował Arcy Książę Karol, mając za sobą armją Generała Moreau!

Nie będę tutaj przytaczał mnóstwa utarczek; wspomnieć jednak trzeba, że Jourdan po drodze odwiedził Frankfort, i że jego armja, żywo tam zapragnęła rabunku; — słysząc bowiem o obfitości, rokoszach i zbytkach Armji Włoskiej, uczuła mimowolny popęd, do wzbogacenia się podobnego; ale Jour-

dan, umiał poskromić te nieprawne w żołnierzu żądze, i stosowną tylko kontrybucję wojenną na miasto nałożył, ocalając tę stolicę handlu niemieckiego.

Arcy-Księżę przez cały przeciąg swojego odwrotu, wyglądał tylko chwili spełnienia swoich zamiarów; cały bowiem jego pochód nad Dunaj, spowodował zamiar, uderzenia tam połączonemi siłami na jedną z rozdzielonych armij francuzkich; — była to myśl tak piękna, tak wielka, jaką rzadko się spotyka w rocznikach wszystkich wojen! wykonanie zaś jej przynosi Arcy-Księżciu Karolowi najwyższy zaszczyt, i kładzie go bez żadnej przesady, na czele wszystkich wodzów, jakimi się kiedykolwiek szczyciła Austrija.

Było wypadkiem przeznaczenia, że Wartensleben, generał wychowany w obozach, ale mało czujący, tem mniej przewidujący pomysły swojego wodza, nie wypełnia jego rozkazów, nie zbliża się ku Donawerth, gdzie Arcy-Księżę dał mu hasło do złączenia się; ale ciągnie prosto w Czechy dla zasłonięcia téj części państw dziedzicznych Cesarza; — przez ten fałszywy kierunek linja francuzka nadzwyczajnie przedłużoną, a tem samem osłabioną być musiała! Tak widzimy dwóch przeciwnych generałów, popelniających niezmierne błędy, z tą tylko różnicą, że austryacki uchybiał wybornemu zleceniu swojego wodza Arcy-Księcia; francuzki zaś ulegał nietrafnym poleceniom Carnota, który zalecił przeć nieustannie na skrzydła nieprzyjaciela. — Aże przezorność Arcy-Księcia zdołała wstrzymać Wartenslebena nad Naabą, który stanął nad tą rzeką przeciwko pozycjom Jourdana, — Arcy-Księżę zaś, aby tem pewniej odwrócić

uwagę Generała Moreau od swoich zamiarów, w dniu 11 Sierpnia, wydaje mu bitwę ogólną pod Neresheim, gdzie tak zręcznie oskrzydlił francuzkiego generała, tak dalece rzucił popłoch w jego szeregi, że park artyllerii, bagaże i wszystko co zwykle w tyle armji się mieści, w największym nieładzie rzuciło się w pochód wsteczny. Attak ten, byłby w stanie ważne sprowadzić następności, gdyby Arcy-Książe z mniej biegłym, z mniej doświadczonym wodzem, miał był do czynienia. — Moreau ani na chwilę nie stracił głowy; a poznawszy dokładnie fałszywe ataki, i przewidziawszy, że prawdziwego na środek spodziewać się należy, wzmocnił go, kosztem nawet już zagrożonych skrzydeł; — jakoż ze znaczną stratą odparł Arcy-Księcia, usiłującego odciąć go od tych gór i wąwozów, z pomiędzy których dopiero co nad Dunaj się dostał! —

Biegli strategicy, zarzucali mocno Arcy-Księciu Karolowi wydanie tej ostatniej bitwy, której cokolwiek odmienny kierunek, cokolwiek smutniejszy koniec, byłby zniszczył wielkie od początku wyrachowania, dla których Arcy-Książe nad Dunaj powracał. Zdaje się jednak, że Arcy-Książe dla zakrycia dalszych swoich kroków przed okiem nader bacz nego Moreau, bitwę tę poświęcił; piątego bowiem dnia po niej, z całą tajemnicą, jaką biegli tylko wodzowie poruszeniom swoim nadać umieją, Arcy-Książe zostawiwszy Generała Latour w 38 tysięcy przeciwko dwakroć mocniejszemu Moreau, dla ludzenia go i wzbraniania przeprawy przez Dunaj, ruszył z Ingolstadt z swym wyborowym korpusem 25 tysięcznym

dla wzmocnienia Wartenslebena i zniszczenia połączonymi siłami Jourdana.

Jourdan nie przeczuwając bynajmniej chmury która tak zgubne pioruny dla niegoniosła, stał spokojny, rozłożony nad Naabą, pomiędzy Neubourg i Schwandorf; aby zaś chociaż cokolwiek dotykać Generała Moreau, dywizję Bernadotta posłał do Netimark, przez co siły swoje i tak już o wiele niższe od połączonych teraz sił austriackich, znacznie osłabił.

Na ten to oddział Bernadottego, Arcy-Książę najpierwej uderzył niespodzianie w swoim pochodzie. generał francuzki, mężny stawiał opór, ale przed przemagającymi bez liczby siłami wkrótce ustąpić musiał, rzucając się w wąwozy i góry ku Norymberdze, a razem donosząc o tem co zaszło Jourdanowi.

Przerażony tą wiadomością Jourdan, wydaje rozkazy do odwrotu, i zamyśla złączyć się z Bernadottem w Norymberdze; ale Arcy-Książę nie daje mu do tego czasu; wysławszy oddział ścigający Bernadotta, łączy się z Wertenslebenem i w tej właśnie chwili kiedy Jourdan, pochód wsteczny rozpoczyna, uderza nań przeważnymi siłami, pod Amberg, odcina drogę od Norymbergi i wrzuca w bezdroża.

Ośm dni i nocy armja francuzka, najkrwawsze znosiła utrudzenia i potyczki, zanim zdołała wyjść na dawną swoją drogę nad Menem. 21 Sierpnia stanęła mocno utrudzona w Schweinfurt, kierując się do Wirzburga gdzie cokolwiek odetchnąć i losu oręża spróbować zamyślała; — tam przybywszy, równie generał dowodzący, jak każdy żołnierz domagał się

walki z nieprzyjacielem; — Obiecał ją Jourdan swojemu wojsku. Ale i armja austriacka tyłą korzyściami ośmielona, najlepszym ożywiona była duchem.

W tym właśnie czasie Arcy-Książę na wzmocnienie Latoura odesłał Generała Neüendorf z kilkoma batalionami i dwoma pułkami jazdy; szpiegowie donieśli Jourdanowi mylnie, o odwrocie samego Arcy-Księcia z wojskiem; to dało francuzkiemu generałowi przekonanie nieomylnego zwycięstwa, a może nawet było powodem, mniej przeczornego rozporządzenia armji; — Jourdan albowiem, nie zapewniwszy sobie rezerwy, nie posiadając nawet drugiej linii, w razie popłochu pierwszój, za którą by się mogła zbierać na nowo, zostawił Generała Lefevre w Szweinfurt i 3 Września równo z dniem bitwę rozpoczął.

Zdziwił się niepomalu wódz francuzki widząc przed sobą tak mnogie wojska; Arcy-Książę bowiem w nocy dopiero przeprawę uskutečnił; ale zwycięstwo nieodstępne prawie zawsze szeregów francuzkich, opuściwszy je na małą chwilę w odwrocie, znowu się do nich uśmiechać zdawało. — Aliści wyborna jazda Arcy-Księcia, rozprasza raz i drugi nie liczne i zmordowane szwadrony Jourdana! piechota skupia się i jest niejako murem osłaniającym jazdę; ale wytrwać dłużej pod zuchwałemi uderzeniami austriackiej jazdy jest jój nie podobna! Lefevre nie nadciąga! bitwa przegrana zupełnie! Francuzi cofają się na Arstein, ztamtąd za rzekę Lhan, gdzie Marceau opuściwszy Moguncję, przybiega im w pomoc, i gdzie śmierć tego generała nowym kirem okrywa armję i Francję; Jourdan wraca za Ren. —

Takto, w szlchetnym zawodzie rycerskim, nie zawsze tryumf zostawiony zwycięzcy! można w klęsce, śmierci i zupełnem nawet zniszczeniu znaleźć chwałę sprawiedliwą, jeżeli tylko zasady honoru, wspólnego dobra, i szczęście kraju na głównej były uwadze. — Jourdan i jego wojsko wróciło znękanе, lecz nie mniejszych przez to godne zaszczytów; od początku albowiem było poświęcone ogólnemu rachunkowi, i wszędzie bez namysłu dopełniało powinności żołnierza... powróćmy teraz do Generała Moreau, — Już dwa razy odważyliśmy się wykazać jego błędy: raz kiedy po przejściu Renu, nie zniósł rozłożonych na prawym brzegu małych oddziałów nieprzyjacielskich, — drugi raz, jak tamże po rozpoczęciu zwycięstwa nad Latourem, przed nadejściem jeszcze Arcy-Księcia Karola nie korzystał z niego zupełnie; teraz nowe jeszcze zobaczymy, nim nastąpi chwila odwrotu, odwrotu pełnego sławy, który zaćmił błędy i pokrył blaskiem nieśmiertelnym roztropnego wodza!

Kilka dni ubiegło, a Moreau nie znał wcale obrotów Arcy-Księcia. — Już Jourdan był w pełnym odwrocie, a Moreau nie posiadał żadnej w tym względzie wiadomości; błąd wielki! nie do darowania! — ale w końcu poznał wybieg nieprzyjaciela, i zamiast uderzyć, zamiast zniszczyć wstępny bojem truchlejącego przed sobą Latoura, następnie zwrócić większą część sił pod wodzą własną, albo sprawą Desaix, dla wzięcia wodza austriackiego we dwa ognie i ratowania Jourdana, który wydając bitwę w Würzburgu, miał głównie na uwadze, nie odsto-

nić towarzysza boju, bez stanowczej rozprawy; zamiast tego mówię, Moreau namyślał się znowu i nie nie przedsięwziął stanowczego! Tłómaczą go wprawdzie rozkazy Dyrektoryatu, zalecające konieczne trzymanie się Tyrolu, dla ratowania tamtędy Armji Włoskiej w potrzebie; tłómaczy go również trudność zmienienia podstawy działań, przy zostawieniu korpusu nieprzyjacielskiego i dwóch wielkich twierdz w tyle; tłómaczy go wreszcie, najwięcej własne przekonanie, które go ożywiało w tej chwili, to jest: że posunięcie się na przód ku Wiedniowi, odwoła jak najskuteczniej Arcy-Księcia z armją.

To też przeszedł Dunaj zwycięzko, postąpił dalej nad rzekę Lech, Latour starał się wzbronić przeprawy; ale pod Friedbergiem doznał znacznej klęski; słowem nigdzie nie widząc oporu, ani żadnych trudności, Moreau był w stolicy Bawarji Munich; wszędzie w postaci zwycięzcy, wszędzie nakładał opłaty (kontrybucje). Armja jego przyodziana w nowe mundury, świetny przedstawiała widok; ale Moreau uczuł najwyższą niespokojność w duszy; 20 dni przeszło żadnej wiadomości nie miał o wojsku Jourdana! żadnej nadziei odwrócenia Arcy-Księcia, mimo dalekich naprzód postąpień; nakazał więc marsz odwrotny idąc na odkrycie nieprzyjaciela.—

Początkowo w tym odwrocie najwięcej się zdaje malować niepewność generała: tak bowiem nie zręcznie rozporządził wojska, tak je podzielił nie właściwie, że gdyby tylko generał austriacki był umiał korzystać z tego, klęska Francuzów była widoczna; ale wkrótce Moreau przedsięwziął kroki stanowcze.

Przebywszy Dunaj ostatecznie, powziął wiadomość o przeparciu Jourdana za Lhan, powziął wiadomość o poruszeniach wszystkich oddziałów zostawionych w twierdzach, dowiedział się że załoga z Manheimu uczyniła wycieczkę do Kehl, aby zniszczyć most na Renie po którym odbył przeprawę; przezorność jego łatwo odgadła zamiary Arcy-Księcia; że teraz zwróci się śpiesznie do zajrzenia mu w oczy, kiedy Latour jak duch złowrogi, tylekroć zbity, tylekroć sponiewierany, postępował krok w krok za jego śladem.

Ale zdaje się, że niebezpieczeństwo tylko zasilало umysł Generała Moreau! i dodawało mu tej spokojności którą żywe umysły zwykle tracą w złych razach. Uczuł on wtedy całą godność swojego wojska żadną dotąd niespłoszonego porażką, uczuł godność osobistą, i wśród najwyższego niebezpieczeństwa, najswobodniejszy pochód rozpoczął.

Przewidując słusznie, że Arcy-Książę zmitrężywszy Jourdana, nie zaniedba przeciąć mu drogi, wybrał miejsca tak dzikie, tak niedostępne do powrotu, że nie ledwie równa się w tym względzie z Hannibalem i Bonapartem! tę jeszcze nad obudwóch posiadając wyższość: że tamci przy przebyciu miejsc nie dostępnych, nie mieli na karku nieprzyjaciela; Moreau przeciwnie co krok staczał utarczki.

Z największą spokojnością wyprawił przed siebie parki artylerji, bagaże; ile razy zaś widział najmniejszą w wojsku niepewność, dawał rozkaz zatrzymania się, a uderzając na nieprzyjaciela, nowemi pomysłnościami, obudzał ducha w żołnierzach. — Tak przybywszy nad jezioro Feder Zee pod Biberach, upa-

trzywszy niestosowne postępowanie Latoura zadał mu klęskę znaczną; zabrał 4000 niewolnika i ruszył w dolinę piekielną (Val d'Enfer).

Trzeba widzieć te okropne wąwozy, aby powziąć przekonanie o odważnem postanowieniu generała, przejście tam kiedykolwiek, zdaje się niepodobne—cóż dopiero kiedy z przodu, z boku, i z tyłu, ma się nieprzyjaciela!?

Aby być w możności dokonać tego zamiaru, Moreau zewsząd otoczony wśród skał i wąwozów, rozstawia Desaix i Terrino, to jest dwa skrzydła swoje lewe i prawe od Tuttlingen do Rotweil; St. Cyra wysłał na zdobycie czarnego lasu i doliny piekielnej; park zaś artylerji i bagaże, przez miasta Rheinfeld, Waldshut, Seekingen i Lauffenburg, szle prosto do Huningi.

Tak więc wśród mnóstwa oddziałów nieprzyjacielskich, z których żaden nie stanowczego przedsięwziąć nie śmiał, zamiar ten został uskuteczniiony.—St. Cyre bez trudności przybył do Friburga, dwa resztujące skrzydła pozostawione dla straży, nie mając już przed sobą kłopotów jakie zwykle sprowadzają na armję bagaże i wozy, przeszły zwolna te okropne wąwozy i tym sposobem w postawie zwycięzcy Moreau znalazł się nad Renem, w dzień 12 Października 1796 r.

Aby tem jawniej okazać pewność swoich obrotów, Moreau przybywszy nad Ren, nie sięgnął natychmiast brzegu francuzkiego; i owszem, w obliczu już Arcy-Księcia złączonego ze wszystkimi swojemi korpussami posunął się naprzód dla zapewnienia Kehl; 19

Października, przyszło do krwawej utarczki pod Waldkirchen, po której dopiero Moreau dawszy nowe dowody przytomności i największej spokojności, wśród grożących zewsząd niebezpieczeństw, połową sił swoich przeszedł pod Brissac; z resztą jeszcze się trzymał; i dopiero kiedy wszystko było w spokojności w dniu 24 Października 1796 pod Huningą Ren przebył, udając się na zajęcie Strasburga.

Taki był koniec owej wielkiej wyprawy w 1796 r. na którą odwrót Generała Moreau, połączony z wielu nadzwyczajnemi trudnościami, często prawie niepodobnemi do zwalczania, rzucił blask największy; a jemu mimo wielu błędów zapełnił wdzięczność Narodu i Chwałę! —

NAPOLEON DRUGI.

ODA

WIKTORA HUGO.

(przekład Bronisława Maleckiego).

I.

Osiemset jedenasty! — o przeznaczeń roku!
 Gdzie niezliczone ludy pod cieniem obłoku
 — W pokorze, znaku od nieba czekały,
 I gdy odwieczne państwa drżały pod stopami,
 Na Luwr przyobleczony w około gromami
 Jakby na górę Synai patrzyły.
 Schylone, jako rumak na jezdźca zbliżenie,
 Mówiły: „cóż wielkiego weźmie narodzenie,
 Olbrzymie państwo jutro na dziedzica czeka,
 I cóż Pan Bóg przeznacza dla tego człowieka,
 Który większej niż Cezar, większej niż Rzym cały,
 Losy świata zamyka w losach swojej chwały?“

Gdy tak mówiły — obłok gęsty i błyszczący
Otworzył się, a z niego wynikła stojący

Postać człowieka przeznaczeń wzniesiona;
A ludy zdumione stały się niememi,
Na jego bowiem ręku, w obec całej ziemi,
Była dziecina nowo narodzona.

A na oddech dziecięcia, szczycie Inwalidów!
Twe zdobyte chorągwie i pęki dzirydów
Powiały, jako z wiatrem powiewają kłosa;
A krzyk jego, krzyk słaby, co mamka ukaja,
Odzwierne u wrót twoich armaty uzbraja,
I wyciska z ich gardła radości odgłosy.

A on! — duma rozżarza jego nozdrza wzdęte,
I ramiona dotychczas na piersiach zamknięte
Nareszcie się wyciągnęły.
A dziecię, w jego źrenic tonąc błyskawicach
Błyszczało wskrós, jak gwiazdki w słońca okolicach,
Kiedy na wpoły zniknęły.

A gdy doczekanego dziedzica swym tronem
Ukazał starym ludom i starym koronom,
Zachwycony, swym wzrokiem mierząc wszystkie króle,
Jak orzeł gdy się wzbije nad ziemskie półkule,
Wykrzyknął pełen szczęścia, z obliczem wspaniałem:
„Ah! przyszłość, przyszłość, przyszłość! jest moim
udziałem!”

II.

Nie! przyszłość nie jest niczyja;
 Mocarzu! przeszłość jest Bożą;
 Kiedy godzina wybija,
 Wieczną nas straszy podróżą.

Przyszłość, przyszłość! — tajemnica!

Wszystkie rzeczy tego świata,

Co nas wabi, co zachwyca,

Chwała i szczęście wojenne,

Korony królów bezcenne,

I zwycięstwo uwieńczone,

I rojenia osiągnięte,

Wszystko to od nas ulata,

Wszystko nikle, niepowrotne,

Jak naszych dachów ptaki przelotne.

Nie! — jakkolwiek kto silny — śmiech, czy narzekanie,

Nie zmuszą cię przemówić, ani nie są w stanie

Przed czasem ręki twój zimnej otworzyć —

O ty! widziadło nieme, nasz gościu, nasz cieniu,

Widmo zawsze zakryte, *Jutro* po imieniu,

Wiecznie za nami, by nas wiecznie trwożyć!

Jutro — ah! to wielkie dzieje!

Z czegoż to *jutro* się złoży?

Człowiek dziś przyczyny sieje,

Jutro Bóg skutki rozmnoży.

Jutro, to piorun spowity,
 To pod obłokiem błękity,
 Jutro, to zdrajca odkryty,
 To jest gwiazda wśród zaćmienia,
 To taran co tłucze mury,
 Planeta, co sferę zmienia,
 To nowy układ natury,
 To Paryż idzie w ślad Babilonu,
 Jutro, to drzewo spruchniałe tronu
 Którego dzisiaj błyszczą aksamity.

Jutro, to koń twój pada od piany zbielony,
 Jutro, Zwycięzco! Moskwa ognistemi łony
 Rozdziera nocy pokrowiec;
 To twoja stara gwardya jak kłosa pożęta,
 Jutro, to jest Waterloo, to Helena święta,
 Jutro, to dziki grobowiec.

Możesz, o wodzu, wieżyce grodowe
 Walić piersiami twojego konia,
 Możesz przecinać wojny domowe,
 Koronę zdobyć z krwawego błonia,
 Możesz Tamizy zagrozić wały,
 Zamknąć Anglikom ich skarbów drogi,
 Możesz zwycięstwa ustalić szaly,
 I do tręb naszych przywiązać dźwięku,
 Możesz rozkruszyć mocne warownie,
 I wszystkie bramy mieć w swoim ręku,
 Nad wszystkie sławy wznieść się nierównie.
 I całym wojskom dać nieodzownie
 Za gwiazdę szczęścia: błysk twój ostrogi.

Czas, Bóg sobie zachował, przestrzeń oddał tobie,
 Możesz szerzyć swą władzę po obszernym globie,
 Być tak wielkim, jak można być czołu ziemskiemu,
 Tak, możesz wydziedziczyć według swej fantazji
 Karola z Europy, Mahometa z Azji,
 Ale nie wydrzesz jutra, z ręki Przedwiecznemu.

III.

Ileż uczą te zmiany! — Gdy dziecię pieszczone
 Rzymską za bawidelko dostało koronę,
 Kiedy go tym tytułem odziano wspaniałym,
 Kiedy niemowlęcego króla świata przedstawiono,
 Że można być zarazem kiedy się dziwiono,
 I tak wielkim, i tak małym.

Kiedy ojciec dla niego wiele zwycięstw zwodził,
 Gdy żyjącemi mury kolebkę ogrodził
 W której spała dziecina z uśmiechem łagodnym,
 Gdy ten wielki rzemieślnik, znawca swego dzieła
 Świat według planu zrobił, który myśl powzięła,
 W marzeniu pełnem, swobodnem.

Gdy ręce rodzicielskie wszystko zgotowały
 By dziecię wyposażyć blaskiem wiecznej chwały;
 Kiedy mu drogi życia kwiatami usłano,
 Gdy ażeby pomieścić to bóstwo dziedziczne
 Ze wspaniałych marmurów gmachy niebotyczne
 Z przepychem wybudowano.

Kiedy w obliczu Francji, nadziei nektary
 Nalano dla dziecięcia w złociste puhary,
 Wprzód, niżli skosztowało tój słodkiej trucizny.
 Nim uczuło pragnienie, naczynia dotknęło,
 Jedno losu wstrząśnienie przed niem usunęło
 Te wszystkie skarby wielkiej ojcowizny.

IV.

Tak, orzeł raz szybował w przestworach błękitu,
 Gdy grom skrzydła mu złamał, i stracił ze szczytu;
 Upadł, i spadkiem swoim powietrze zakłócił;
 I każdy w jego gniazdo z radością się rzucił,
 I według sily szponów zdobycze rozbija,
 Orła zabrała Anglja, orlątko Austrija.

Gdyby choć ten wyganiec nie miał nic drogiego!
 Lecz czucie ojca, zawsze bije z serca lwiego —
 I ten bohater miał syna,
 Dwie mu tylko zostały rzeczy śród zamknięcia:
 Mappa świata całego, i portret dziecięcia;
 Tam cały gienjusz, tu uczuć przyczyna.

Wieczorem, kiedy oko błędziło w alkwie,
 Co się wtedy w tój łysej przewijało głowie?
 Za czem w przeszłość posyłał wzrok swojej pamięci?
 Podczas kiedy w około dozorecy najęci
 W ciasnem ustawnych czuwań trzymając go kole,
 Bieg tych myśli śledzili po wyniosłem czole.

O! nie były to zawsze tój dramy obrazy
 Ktorąś niegdys wypisał twego miecza razy:
 Arkol, Austerlitz, lub pola Marenga;
 Ani wielkie wspomnienie tych starych granitów
 Które czterdzieści wieków widziały z swych szczytów,
 Ani też Baszy Kairu potęga. —

Nie był to polot bomby, ni kartaczów strzały,
 Co lat dwadzieścia u nóg twoich się sypały,
 Ni naksztalt morskich zagonów
 Czarny dym paszcz ognistych w koło rozwleczoney,
 Ni chorągwie na wszystkie chwiejące się strony,
 Jakby maszty bataljonów.

Nie był to Madryt, Kremlin, ni Egipt piaszczysty,
 Ani obóz uspioy od ogni gwiazdzisty,
 Ani rannój pobudki odgłosy ochocze,
 Nie wasy grenadjerów, huzarów warkocze,
 Lub czerwone ułany pośród lanc natłoku
 Jak maki w gęstem zbożu migające oku.

Nie, on marzył dziecięcia włosy miękkie, płowe,
 I usteczka w śnie miłym otwarte w połowę,
 Jak do uśmiechu za przebudzeniem,
 Podczas, gdy łono pięknej jego karmicielki,
 Białych, słodkich nektarów sącząc mu kropelki,
 Budzi go lekkim dotknięciem.

Ojciec natenczas głowę podparłszy łokciami,
 Gorycz serca wylewał obfitemi łzami,
 Łzami rozpacznej miłości,

Szczęśliweś, biedne dziecko, jedyna istota
 Coś w tej głowie zastąpić mogła choć tęsknotą
 Pamięć podobnej przeszłości!

V.

Oba nie żyją! — Panie! straszne Twoje ramie;
 Zwycięzkiego mocarza najprzód ono łamie,
 Pomimo wieńców wawrzynu;
 W dziesięć lat się powiększa królewska kostnica,
 Twe ramie znowu spada, i losy rodzica
 Wypelnia także na synu.

Chwało, duma, młodości, dobra, co śmierć zmiata!
 Człowiek chce coś zostawić u podwojów świata,
 Lecz śmierć mu tego zabrania.
 Każdy żywioł się łączy z pierwiastkami swemi:
 Dym topi się w powietrzu, popiół ginie w ziemi,
 Niepamięć imię pochłania.

VI.

O dziwne zmiany, wielkie zdarzenia!
 Kto wasze cele zbada, odgadnie
 Co pod tym wirem dzieje się na dnie,
 I co Bóg działa w pośrodku cienia,
 Jakie gotuje nam przeznaczenia?
 Ale któż pojmie Boże działanie?

Kto wie, czy morskie ciemne otchłanie
 I błyskawice, gromy i burze,
 I srogie walki w całej naturze
 Wszystkie cierpienia, męki i groby,
 Nie są skrytymi twemi sposoby
 Dla perły, którą ukształcasz Panie!

Jednak w tej burzy, za wielkie trudy
 Wydzierzać muszą króle i ludy,
 Gorszy niż burza na oceanie,
 Jest lud wzburzony kiedy powstanie.

Próżne twe pieśni, o biedny wieszczu,
 Zginą, jak w morzu kropelka deszczu,
 Twój głos ochrzypnie w tej mgły zawiei,
 Wicher ci pióro wyrwie szalony,
 O, biedny ptaszku, co śpiew natchniony
 Szerzysz na maszcie statku bez nadziei!

O długa nocy! wieczne cierpienie!
 Lazur opuścił niebios sklepienie,
 Ludzie i rzeczy, wszystko bez ładu
 Wali się w przepaść, ginie bez śladu;
 Królowie, z pieluch dziedzice ziemi,
 I lyse czoło, i płowe włosy,
 Wielkie i małe Napoleony,
 Fala się znowu równa nad niemi,
 I wszystko chłonie czarna głębina,
 I wszystko milknie, ścichają głosy,
 I głucha fala wraz zapomina
 I Leviathany, i Alcyony.

Kto wie, czy morskie ciennie orobiane

I białawek, grany i tany,

I stogie walki w wady nurkowe

Wszyskie cierpienia, nęki i grody,

Nie są skryteju twym rękopisy

Dla narcy, która ukazywałaś Tanie!

Jednak w tej burzy, za wielkie tudy

Wszystko musi krole i ludy.

Gotyż, dla burzy nie oceanie,

Jest lud wzburzony kiedy powstanie

Pozna two głębi, o biedny wieszanie

Zginę, jak w zornku kropelka deszczu,

Twój głos ochrypienie w tej mgły zawiei

Wicher ci piosnę wzięto szarym

O biedny kraszku, co spiesz natchniony

Szerysz na przesławie, w tym bez nadziei!

O długi noc! wieszanie cierpienie!

Lacur opuszeń niebios szepcienie

Ludzie i rzeczy, wszystko bez zabu

Wali się w przepaść, ginie bez śladu

Przowiec, a biegła dziedziące zrozi

I lase czolo, i plowe włosy,

Wielkie i małe Nędzonoży

Pała się znów równ nad rionie,

I wszystko cichnie, cichnie gębus,

I wszakże milknie, ścisła glosy,

I głucha lara wraz zapomnia

I ławiatny, i Al...

CZASEM

(FANTAZJA)

CZASEM się dusza u mnie rozplómieni,
 A ogień boski, błyszczący z pod powiek,
 Całą tę ziemię wiosną zazieleni,
 Każdy mi wtenczas przyjacielem człowiek.
 Serce lubością błogą przepelnione,
 Kaze ku wszystkim wyciągać ramiona,
 Wszystkich bym wtedy u mojego łona
 Ścisnął i pieścił, jak mą ulubionę.

Ale nie zawsze takie u mnie chwile!
Czasem mię smutek w całej dręczy sile;
 Ze łzami w oczach i boleścią w łonie,
 Z ochotą w głuchej pustyni się chronię,
 Byle nie widzieć śmiejącego lica.

Czasem, gdy ziemię noc mroczy,
 A mą duszę cisza koi,
 Zły duch, co tuż przy mnie stoi,
 Wlepi we mnie swoje oczy,
 I duszę ściśnie tesknotą.

Czasem po takiej katuszy,
 Boski poseł z szatą złotą,

Ulęgę niesie mojej duszy:
 „Proś, — mówi do mnie, — modły gorącemi
 Stwórcy nieba, pana ziemi,
 Aby Jego święta siła,
 Od złych chwil ciebie broniła“.

(K.....)

U
 KAZEM się dusza u mnie wyplamiła.
 A gdzie była, byłycyż z kol powiła.
 Cóż to nie jest wiara kaziła.
 Każdy mi wieszca przysiędła człowieka.
 Że nie lubość błogą przepiła.
 Kaza mi wszystko wyogłał ludzka.
 Wszędzie bym wstał u naszego łona.
 Szukał i pisał, jak mi obliła.

Ale nie zawarła i mnie chwila.
 Cóż mi zamek w całej dzyga zła.
 Że karmi w oczach i boleści w łonie.
 Z ostrogi w głębi pisał się chwila.
 Była nie widział napisanego łona.

Cóż, gdy tamie noc mrozi.
 A tu dusze ciosa kol.
 Nij duch, co tu pływ mianie.
 Wstąpi we mnie swięta oży.
 I gdzie szukał ludzka.

Gawron po tablicy kłaniesz.
 Hoki posel z szata zła.

WIERSZ DO.....

Blask twego gienjuszku przeszedł po mych piórach
Wybił ze snu me skrzydła — wdzięczność głos ten budzi

Patrząc z ziemi na ziemię, i z ludzi na ludzi,
Patrzałem na tortury — byłem na torturach.
Spotykałem wszelkiego rodzaju męczarnie;
Czuły, czyż mogłem na nie poglądać bezkarnie?
Zaczem gangrena padła na moje uczucie,
Od uczucia do myśli wjadło się zepucie:
Cokolwiek dusza młoda w mej głowie uprzedła.
Rwało się lub butwiało. Myśl po myśli wędła,
Żółkła i usychała, niby liść dotknięty
Ręką smutnej jesieni, śmiercią pozłożony.
Wszystkie zęby boleści w mych piersiach się zbiegły,
I serce źle bronione, do koła obiegły
I wyłowiwszy resztki szczęścia i nadziei,
Na duszę osłabioną napadły z kolei.
Sto gangren, i sto kirów dzieliło się lupem:
Kawałami zgnilemi duch mój się obrywał
I odpadał odemnie. — Próżnom się odzywał
Do ludzi i do Boga — zostałem pół trupem.
Młodość żyła i kwitła i biegnie — lecz marnie,
Pamięć żyła — ażeby ożywić męczarnic.

Zmysły żyły — jak okna w opuszczonym domie.
 Sny żyły — czemu były w nieszczęścia ogromie?
 Słońce o mnie mówiło, jak o nowym tworze,
 Którego wiosną nawet ożywić nie może.
 Anioł Stróż przelęknięty, odemnie odbieżał,
 I do widzów zdziwionych, bezczynnych należał.
 Anielsko-skrzydłej wiary zarosło siedlisko,
 Po miłości zostało martwe zgorzelisko.
 Wprawdzie już nie burzyła spokoju namiętność,
 Lecz zamiast namiętności, była obojętność.


Przebacz, o wieszczu wielki! że przed tobą rymem
 Skarżę się — lecz się skarżę, jak przed ojcem dziecie,
 Jako uczeń przed mistrzem, karzeł przed olbrzymem,
 Jako ziemia przed słońcem na długie ochmurze,
 Niepogodę, nieplodność i szkodę w naturze.

Wdzięczności to mój wyraz — być może niewdzięczny,
 Jeszczem tłómacz mych uczuć niewprawny, niezręczny —
 Hybernata przebudzony, czyż wyda co czuje?
 Za przebudzenie jednak jak może dziękuje.

Dla męki naddatkowej w mojej bezsenności
 Nie mogłem użyć skrzydeł — spadły snem niemocy,
 Zużyte na pogoniach za marą wielkości,
 Za widmem wyobraźni — po manowcach nocy —
 Spały snem nieszczęśliwym — od jednych wysmiane,
 Od drugich przesłепione — od innych zdeptane.
 Tym czasem tyś jak słońce nad duszne przestrzenie
 Wystąpił i roztoczył w kolo swe promienie —
 Promienie te ożyweze do mych skrzydeł rzekły:

„Zbudźcie się i obleczcie wznowionemi pióry !“
 Zbudziły się i nowemi pióry się oblekły —
 I zamierzają nieść mnie — nie wiem czy do góry,
 Wiem tylko, żem twą sprawą do lotu gotowy.
 Nim polecę — nim powiem do świata: — bądź zdrowy !
 Tobie, o wielki wieszczu ! tę podziękę śpiewam,
 Błogosław ! niechaj drogę twym śladem odbywam.

(M. M.)



 I nie słysząc mego wstąpienia, to pogłębiona swiała...
 O nim wiecie mój wieszczu, mój duszy...
 I nie, choćym być wiatrem, jeśli wiatr ten wieje
 Już nie tylko dla ciebie wstąpię i sadzię
 I kiedy jego wiał, kiedy jego schodził
 Chęć tylko żal twój, ruszając, i szumie wstąpienia;
 Gdy jego myśł, chęć cała, w tym wiecie się i ręci,
 By wieś tylko w twoją stronę i w twój pamięć.
 O, chciałbym ja być wiatrem, by mieć pojądchy
 Ciągłe śledzić twą postać, ścigać twoje ruchy.
 I niewidzialny, wlecząc kolo ciębie krajać.
 I płaszc, gdy ty płaszcz, gdzie dążyć tam dążyć —
 Czyli wieszale wieszczorem w dniu pięknej pogody
 Szukać w jakim strąkaniu, w domaniach usłody —
 Jakym tam wiał przy tobie, z niaka czy z wycinka,
 Chęć twój wstąpienia, i toż epizod z oka.
 Lubić czyli myśł jako niewidna, a pusta,
 Usłucham aniołów słysząc twoje słowa —
 Jakym wstąpiem i w twoim wstąpieniu siebie,

„Zbudzić się i oblać się wzwonionemi piór!”
 Zbudził się i nowemi piór się oblał —
 I kamierzą się nieś i mnie — nie wiem czy do
 Wiem tylko, że ty spawa do lotu goty.
 Nim polece — nim powiem do świata — będa zdrowy!
 Tobie, o wielki wieszczu! i podziękę śpiewam,
 Błogosław! niechaj drogę twym śladem odbywam.



DO W.**odpowieź z pewnej okoliczności.**

Ze słowa me są wiatrem, to pogłoska świata
 Chcącego zerwać węzeł co dwa serca splata.
 O nie wierz mój aniele!— na gruncie mej duszy
 Możesz siać swe nadzieje, a tych czas nie skruszy.
 I cóż, choćbym był wiatrem, jeśli wiatr ten wieje
 Jedynie tylko dla cię rozkosz i nadzieje;
 I kiedy jego szalały, kiedy jego tchnienia
 Chcą tylko żal twój rozwiać, i stłumiać westchnienia;
 Gdy jego myśl, chęć cała, w tym wirze się kręci,
 By wiać tylko w twe serce i tkwić w twój pamięci.
 O, chciałbym ja być wiatrem, by memi podmuchy
 Ciągłe śledzić twą postać, ścigać twoje ruchy,
 I niewidzialny, wiecznie koło ciebie krążyć,
 I płaszać, gdy ty płaszasz, gdzie dążysz tam dążyć. —
 Czybyś wyszła wieczorem w dniu pięknej pogody
 Szukać w jakim strapieniu, w dumaniach osłody —
 Jabym tam wiał przy tobie, z niska czy z wysoka,
 Chwytał twoje westchnienia, i lżę spędzał z oka.
 Lub czyby myśl jaka niewinna, a pusta,
 Uśmiechem aniołów skrasiała twe usta —
 Jabym szczęściem twem szalał w zapomnieniu siebie,

I woń z kwiatów wysysał — nią obwiewał ciebie.
 Słowem, tam, gdziebys tylko swe kroki zwróciła,
 Wszędziebys moich uczuć dowód obaczyła;
 Bo z ścieszki twego życia cierniebym oddzielił,
 Nieszczęście wziął dla siebie, a szczęściem się dzielił;
 I nawet w chwili zgonu, ostatnie me technienie
 Chciałbym oddać w rokoszne twoich ust ściśnienie.
 Więc mamie gdy ci powie że ja wiatrem jestem,
 Co tu, i owdzie dmuchnie z szumem i szelestem,
 Tu grzeczne słówko powie, a choć czucie wznieci
 To niczem nie związany, za nowością leci —
 Przeczytaj te wierszyki, i powiedz jej przecie,
 Że tak pocziwych wiatrów jak ja, mało w świecie.



DO MATKI.

w Wigilją Bożego Narodzenia.

(SONET)

Matko! już czwarty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu — i czwarty raz zima
W rodzinnej ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętej wieczery siedzieli.

Dziś, kiedy wszysej u stołu weseli,
Ty, patrząc w okół tęsknemi oczyma,
Myślisz w swęj duszy: „Konstantego nie ma,
I któż z nim dzisiaj oplatkiem się dzieli?”

O matko moja! gdy w wieczor stroskana,
Modlić się będziesz przed Marji obrazem,
Serc naszych głosy spotkają się razem;

I anioł święty poniesie przed Pana
Jednej krzewiny dwa woniące kwiatki:
Modlitwę syna — i modlitwę matki.

(M. M.)



DO BIAŁYCH

w Wigilji Bożego Narodzenia

Wielki dzień! Wielki dzień! Wielki dzień!
Wielki dzień! Wielki dzień! Wielki dzień!
Wielki dzień! Wielki dzień! Wielki dzień!

Matko! jak czuły i smutny jest dzień

Dach twego domu — i czuły i smutny

W rodzinnej ziemi wiatr północny wędruje

Gdyśmy przy świeży wieczny siedzieli

Dziś, kiedy wiesz i słońce wstaje

Ty patrze w okół tęskniąc oczyma

Myślisz w swej duszy: „Konstantego nie ma

I kto z nim dzisiaj opłakiem się dzieli?”

O matko moja! gdy w wieczor strasnym

Modlić się będziesz przed świątynnym

Świec nieszczęśliwych spotkać się razem

I unioł święty poniesie przed Twą

Jedną krewinię dwa wonnice kwiatki

Modlitwę sypną — i modlitwę matki.

(M. M.)



DO SONETU.

ANROSTYKON.

(SONET)

Drobny niezapominku, łąk pieszczony kwiecie!
 Motylu, co ci skrzydła złościła natura.
 Kolibrze, w szmaragdowe przystrojony pióra!
 Święto-jański robaczku! polotny sonecie!

Nieznany starożytnym! średnich wieków dziecie,
 Gdy Europę ciemnoty otaczała chmura,
 Tyś pierwszy obudzony harfą trubadura,
 Nowej poezji dźwięki rozgłosił po świecie!

Petrark śpiewne twe strofy odział szatą nową,
 Gdy nad brzegami Sorgi muza jego wzniosła
 Wybrała cię do Laury za miłości posła;

Lubił cię stary Szekspir, wieszcz z myślącą głową,
 I nasz wielki poeta, co wśród twego rymu
 Rozsypał dyamenty na ruinach Krymu!

(M. M.)



DO SONETU.

Droby niezapomniak, tak pieszczony kwiecie!
Mojła, co ci skrzydła złościła natura.
Kobrze, w szmaragdowe przystrojony piora!
Święto-janski robaczku! półotny sonecie!

Nieznanu starczytym i stęchłym wieków dziecie!
Gdy Europe ciemnoty otaczała ciurnia.
Tę pierwszą obrębony party tubadur.
Nowej poezji dawki rozłożył po świecie!

Hejterk spiewne twe stęły obiał szat nowa!
Gdy nad przegami żęgi musa jege wznosiła
Wyprala cie do ław z miłosa postać!

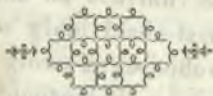
Indi cie stary żękapit, wieszcz z myślenia głowa.
I nasz wielki poeta, co stęł twego rymu
Rozsądaj gęmenty na minach Krymu!

M. W.

AKROSTYCHON.

OBRONA SANDOBIERZA

Widziałem wiele dziewic strojnych wdziękiem wiosny,
 Ależ żadnej w ofierze mego serca nie dał;
 Lecz skoro głos twój luby, uroczy, radosny,
 Eolskiej lutni dźwiękiem do duszy zagadał,
 Rozsądek mię opuścił; pelen uniesienia
 Ja wszystko co uczulem, tobiem wypowiedział —
 O! bądź, nie bądź wzajemną — lecz nie budź z marzenia!



AZBOZYTRON

Widziałem wiele dzieł w strasznych wdziękach wiary,
Ależ żadnej w otworze mego serca nie daj;
Lecz skoro kłosem twoj łuby, wrocy, radości,
Eolskiej lili dwiżkiem do duszy zagadał,
Roządek mię opuścił; pełen niesienia
Ja wszystko co uczulem, tobień współwładaj —
O! bądź, nie bądź wzięma — lecz nie bądź z matrem!

OBRONA SANDOMIERZA

roku 1287,

POWIEŚĆ NA HISTYORYI I PODANIU OSNOWANA.

(przez X. Y. Z.)

I.

Krótka noc letnia na schyłku: na niebie, drobne gwiazdki nikną w głębi blado-lazurowej pół-kuli; księżyc chyli swą głowę ku zachodowi; na wschodzie białawe obłoczki rumienić się zaczynają; — na ziemi, cisza; pół-światło i pół-cień zmieszane, drżące; szeroka, srebrzysta wstęga rzeki sunie się między wzgórzami; szemrze w zwieszone nad nią gałązki wikliny; mruczy w okna koralowych pałaców podwodnych swych dziewic *), całuje stopy pagórka, na którym zbudowane miasto; odbija w swem zwierciadle jego mury, baszty, zielone krzewy, lasy, nie-

*) Dawny przesąd nadwiślańców; mówi o nim Wójcicki.

bo i gwiazdy, i płynie dalej spokojna, wspaniała, wolna: — to Wisła! A na wzgórzu, miasto otoczone wzniosłymi mury, z trzema bramami, nasrożone basztami i częstokołem: — to Sandomierz. Nad niem drewniany zamek z wieżycami, fossą i mostem na łańcuchach: — to książęcy Sandomierski zamek. A dookoła, po jednej i po drugiej stronie rzeki, zielone łąny, wzgórza, lasy, gdzieniegdzie piaszczystymi poprzerynane drogami.

O! piękny, uroczy dzisiaj widok Sandomierza; lecz w roku 1287, nie był takim: miasto samo zaledwie z kilkudziesięciu składało się domów nie dawno wzniesionych, drewnianych, słomą pokrytych; bo na tych wzgórzach gdzie dziś stoi, dopiero od lat kilku przed epoką tej powieści budować się zaczęło. Przedtem było miasto poniżej, tam, gdzie samotne kościoły ŚŚ. Pawła i Jakóba się wznoszą; było miasto piękne, kwitnące; lecz srogi Tatarzyn po dwakroć je spalił, i krwią obywateli zatopił. Lecz, cicho . . . cicho! w tej chwili w mieście spokoj, miasto śpi; nie budźmy ich wspomnieniem doznanej dwukrotnie klęski; bo to świeże jeszcze wspomnienie, tak dla nich straszne, że wznowione, poruszyłoby całe miasto, poruszyłoby kości umarłych, napełniłoby siedziby biednych przerażeniem i trwogą.

Biedne miasto śpi jeszcze, — śpi i zamek książęcy: — po wałach jego, z włócznią na ramieniu samotny przechadza się żołnierz; to przystanie i patrzy na niebo osute gwiazdami, to śledzi wzrokiem nie spokojne ruchy wiewającej nad bramą chorągwi, to opuściwszy głowę rozpamiętywa przeszłość, to ci-

chym śpiewem skraca długie godziny straży, to mimowolnie zwraca wejrzenia ku modrzewiowemu dworcowi, z środka zamkowego dziedzińca podnoszącemu swe ściany. W tym dworcu, uchylone jedno okno, wąskie, długie, grubem szkłem w ołowianej osadzie opatrzone. A więc tam czuwają jeszcze? czyli już nie śpią? — Zajrzyjmy do tej komnaty.

Na wysokich ciemno-brunatną, grubą materją obitych ścianach, wisiały obrazy świętych, nie zbyt wytwornego pęzła, lecz olbrzymiej wielkości; przed jednym z nich, srebrna lampa wonną gorzała oliwą. Po środku tej komnaty, stół grubej roboty, spadającym do ziemi kobiercem okryty, dźwigał złocistą zbroję: pancerz, naramienniki, szyszak z końskim czubem, rękawice, miecz obosieczny, puginął, i skurzaną tarczę z herbem Nałęczów; przy ścianach ławice, i głębokie krzesła skurami obciążone.

Smutną była ta wielka komnata słabo oświetlona, migocącą w jednym rogu przed obrazem lampą, gdy inne jej części w pomroce zostawały; promień księżyca wąskiem wdzierając się oknem zaledwie oświetlał równoległobok posadzki, na którą niepewny blask jego upadał.

Przy oknie, w cieniu, siedział starzec, w którego łysej, pomarszczonem czole siedmdziesiąt lat ubiegłych, i wiele doznanych trosk, wyczytaćby można. Siwa broda zakrywała mu szyję i aż piersi sięgała; lica jego wychudłe, blade, słabym pokryte były rumieńcem, drżące ręce wolno spoczywały na kolanach; u rzemiennego pasa którym był po łosiowym okolony kaftanie, wisiał pęk kluczy, godło Burgrabiego

zamku. Starzec mówił z wolna, głosem drżącym, do osoby na przeciw niego, bliżej okna, w świetle księżyca siedzącej.

Była to kobieta; młoda, bo zaledwie dwudziesto-kilko letnia i piękna nad wszelki opis; czarne zwoje gęstych jej włosów, spływały na białą szyję i okrągłe ramiona; pod ciemną obszerną szatą, nie wyraźnie rysowała się cudnych kształtów kibić: — nie wąta, skrepowana, zgnieciona, lecz pełna, wspaniała, i szczupła zarazem; drobna jej ręka, wsparta na poręczy wielkiego krzesła, utrzymywała głowę nieco opuszczoną ku pierścionom; twarz majestatycznie piękną, krasila tkliwa zaduma; kształtne, różowe, w pół otwarte usta, wyrażały uwagę i niepewność; czarne, wielkie oko, w miarę jak starzec mówił, to przerażeniem, to zgrozą, to promieniami odwagi błyskało; niekiedy znów, rzewna łza zajaśniała w tem oku, wzniosła, przezystą zwiastującem duszę; niekiedy mała jej dłoń zwarła się namiętnie, czarne brwi zsunęły się ku sobie, serce zabiło gwałtownie, i ruchem swoim uniosło piersi jej osłonę. Patrząc na nią, rzekłbyś: to Spartanka słuchająca opowieści walk, dzielnych swych ojców.

I nie myliłbyś się wiele: ta młoda, rycerskiego ducha kobieta, to Halina, córka dzielnych Nałęczów, to żona jednego z walecznych Pilawitów; a ten starzec co jej dawne opowiada dzieje, to Bogufał, niegdys wojownik, na starość Burgrabia zamkowy. Widno, ich wieczorna rozmowa przeciągnęła się aż do rana; posłuchajmy z młodą panią opowiadania starego sługi:

— Straszne to było w roku 1241 najście Batego Tatarów Chana: ogromna horda téj dziczy, wyszedłszy pod jego wodzą z swych stepowych koczowisk, zagarnawszy Ruś, załała biedną naszą ziemię. Nigdzie nie dali poszczady; miasta, wsie rabowali i palili, lud wycinali, kościoły święte obdzierali i bezcześcili, młode dziewoje w daleki zapędzali jassyr; krew i zgorzeliska były śladem ich przejścia; wszędzie gdzie tylko stopa ich dotknęła, dymiły się szczątki naszych miast i grodów, skrwawione trupy kapłanów, rycerzy i mężów, wałyły się szeroko po łąkach. Do dziś, i po wieki pamiętną będzie droga Batego *). Trudno się było oprzeć ich przemagającej sile: krocie rycerstwa ginęło pod ich jadowitemi strzałami. Nieboszczyk Książę **) niepewny w swéj stolicy i całym nawet kraju, ujechał do Węgier, zostawiając biedną swą dzielnicę, i tak już domowemi wojnami i niezgodą książąt wyniszczoną, na łup chciwego krwi i łupów poganina.

W tym to nieszczęśliwym roku, Sandomierz, Kraków i sta innych miast, zostały zrabowane, spalone, z ziemią zrównane. Zbierali się nasi jak mogli: raz nawet pod Turskiem ***) , udało się Włodzimierzowi

*) Drogię Batego i dziś jeszcze ukazują tamlejsi mieszkańcy, łańcuchem podania pamiętni krzywd przez tatarów naniezionych.

**) Panował wówczas młody i nie rycerskiego ducha Bolesław Wstydlivy.

***) Tursko, wieś o milę od miasta Połańca, w powiecie Sandomierskim.

Wojewodzie Krakowskiemu porazić oddział Tatarów, czem zachęceni najcelniejsi obywatele ziemi Krakowskiej i Sandomirskiej, chcąc stolicę osłonić, spotkali tatarzyna pod Chmielnikiem. Służąc wówczas rycersko, byłem i ja tam z przezacnym Pakosławem Wojewodą: bitwa, zaledwie kilka godzin trwała; Tatarzy dzielnie od naszych spotkani, straciwszy wielu z swych przywódców, cofać się zaczęli; gnaliśmy ich mniemając żeśmy zwyciężyli, lecz napadłszy na lud świeży i liczny, gdy mimo wszelką usilność i wzgardę życia do drobnej przyszliśmy liczby, gdy wodzowie nasi polegli, cofnąć się musieliśmy do lasów bez ładu i siły *). Wówczas mężni nasi Pakosław Wojewoda i Jakób Raciborowicz Kasztelan Sandomierscy, na polu bitwy pierwszemi będąc, jedni z pierwszych polegli **). Nie byłem już pod Lignicą, bo ciężko raniony, leżałem bez nadziei życia u gościnnych krakowiaków; słyszałem tylko że tam również zebrało się chrześcijańskie rycerstwo, lecz gdy się naszym w walce dobrze wieść poczęło, Tatarzy udali się do czarów i bitwę wygrali. Nie mało i tam legło chrześcijańskiego rycerstwa, i wielu nawet z książąt polskich i niemieckich życie swe dało ***); ale też z Szląska poganie wracać się zaczęli nie szerząc już dalej mordów i łupieztw.

*) Bitwa ta zaszła na polach między miastami Chmielnikiem i Szydłowcem w powiecie Stopnickim; opisanie tej nie-szczęśliwej walki podług Naruszewicza.

***) Nicsiecki.

***) W tej bitwie głównie dowodził Henryk II *pobożny*, książę Szląski, i tam też poległ.

Lecz dla Sandomierza rok 1260 był pamiętniejszym, był to rok powtórnego najścia Tatarów pod wodzą Nogaja, niemniej dzikiego i okrutnego jak Batty, pierwszy najezdźca. Byłem wówczas jako stary, niezdatny do broni, tak ot burgrabią zamkowym jak dzisiaj. Wiekuistej pamięci wasz rodzic Piotr z Krem-py Nałęcz, Wojewoda, siedział w zamku Sandomierskim gotowy do obrony; i ludu nie mało miał w mieście, i żołnierza zbrojnego a odważnego z pięćset. Nocy jednej, przybyło konno kilku mieszczan z Zawichosta, opowiadając, że Tatarzy w pień całą ludność miasta wyciąwszy, 60 panien zakonnic i 12 księży zamordowawszy, miasto i zamek z dymem puścili; na prośbę ocalałych Zawichoszczan, gościny wasz rodzic dał im u siebie przytułek, a opatrzywszy wały i ostrokół, podwoiwszy strażę, na baczności wszystkim mieć się zalecił.

Nie długo też strażnik wieżowy doniósł panu Wojewodzie, że nadciąga Tatarów horda; wyszliśmy więc nad bronę, i przyglądali się temu dzikiemu motłochowi: a szła ich czerń taka, że całe wzgórza przyległe pokryła. Pan Wojewoda czasu nie tracąc, bram miasta zawrzcęć i silnie zawalić rozkazał; lud wysypał się na wały, z czem kto mógł ku obronie, a w kościołach śpiewano modły o zwycięskie powodzenie. Lecz nie tak podobało się Bogu; karząc nas za dawne winy, zesłał tę szarańczę, by nas zniszczyła, pożarła.

Broniliśmy się długo, nie dopuszczając żadnej wrogowi korzyści; walczyliśmy trzy dni, czuwali trzy noce, nie wiele naszym ukrytym za wałami, szkodzi-

ły jadowite strzały Mongołów, nie dosięgały nas razy krzywych ich szabli; ale nas trwożył bliski brak żywności z przepelnienia ludem miasta i przecięcia dowozu przez wrogów, pochodzący; trwożył nas niedostatek broni, i ogólny upadek ducha w mieszkańcach. Jednakże bylibyśmy się jeszcze dość długo bronili, i może przy bożej pomocy ocaleni, gdyby Tatarzy zawsze w swych czynach nikczemni, nie ułożyli opanować miasta podstępem. Przysłali więc do nas posłańca swojego, z oznajmieniem, że ugodę chcą zawrzeć, i o jej warunkach z samym pomówić Wojewodą. Nieulekły wasz rodzic, prawem wojennem o swą całość bezpieczny, udał się sam do obozu nikczemnego nieprzyjaciela; lecz zaledwie pierwsze minął strażę, wnet go pochwycono, i ciężkimi więzy skrepowano. Oniemieli z przerażenia, patrzeliśmy z wałów na tak podłą zdradę; a wkrótce ujrzeliliśmy naszego wodza, z wylupionemi oczyma, z zakrwawionem licem, podniesionego na dzidach tych barbarzyńców: krew strumieniami tryskała z piersi chrabrego Piotra, a on, wśród męk głos jego tamujących, wołał jeszcze na nas, byśmy się nie poddawali. Tak zginął wasz szlachetny, mężny ojciec, a ostatniem jego słowem wśród powolnego konania, było:

— Broncie się! broncie! *)

Przerażeni okropną śmiercią ukochanego wodza, nie mieliśmy już ani serc, ani dłoni do walki sposobnych; opuściliśmy ręce w rozpacz, miłosierdzia tylko wyglądając bożego.

*) Opis powtórnego napadu Tatarów na Sandomierz, i śmierci Wojewody Sandomierskiego Piotra z Krempy, ściśle podług historyi skreślony; patrz „Starożytna Polska“.

Tatarzyn ponowił napad i bez oporu zdobył wały; tu ucierała się jeszcze mężna garstka naszych, ale chmury napływających Mongołów, zgmiotły ją, jak silna noga gniecie słabego robaka, i załaly miasto. Nie było czasu do obrony, ani rozwagi; ze wszystkich stron zabłysły ognie własnymi dłońmi Sandomierzan rozniecone, a wśród nich jak upiory darły się straszliwe postacie tatarów mordujących starców, dzieci, młodzieńców, mężów, i ich krwią pragnących ugasić pożar, co pochłaniał przed nimi bogate łupy i branki. Nie pozostawało mi, jak tylko oddać starą głowę razem z bracią moimi pod noże dziczy; lecz myśl o ukochanej córce Wojewody, o was, miłośnika Kasztelanowo, kazała mi zapomnieć o sobie: wbiegam do zamku; wśród tumanów gęstego dymu, zaledwie wynajduję kobiecą komnatę i waszą kolyskę; słabe niemowle, opuszczone przez dozorujące niewiasty, do koła okropną i niechybną otoczone śmiercią, jakbyś ją czuła nadchodzącą, rzewnym płaczem i jękiem napelniałaś pustą komnatę. Porywam was na ręce, zakrywam płaszczem, środkiem nożów, płomieni, walących się belek i murów, zawracam me kroki ku kościołowi Ś. Jakóba, i tam chronię się na wieżę. Ręka bożego anioła mię wiodła, że stare nogi me nie zadrżały, gdym po wątych rusztowanych śpinał się aż pod kopułę; tam dopiero odetchnąłem nieco i złożyłem Bogu dzięki nie za ocalenie siebie, lecz dziecięcia pańskiego; płomienie nie dosięgały jeszcze przybytku bożego, i dla przeciwnego wiatru dym nam nie szkodził. Utuliwszy płacz wasz, ostrożnie wyzieram na miasto — okropność! okropność!

dziś jeszcze włosy na mojej starej powstają głowie, gdy wspomnę, co wówczas ujrzałem: — gdzie okiem rzuciłem, Tatarzy w pień wycinali Sandomierzan; nie znajdując nigdzie oporu, mordowali wszystkich, co znamię krzyża nosili; wszystko waliło się pod ich nożami; potoki krwi chrześcijańskiej, tłumiliy pożar. To był dzień kary, dzień gniewu pańskiego. Nareszcie Tatarzy dostali się do klasztoru Dominikanów; wyparli bramy, i resztę chroniącego się w przysionku świątyni ludu, wyrznęli; czterdziestudziwięciu pobożnych zakonników zamordowali; ostatni z pięćdziesięciu braci zakonu, co za organową ukrył się piszczałkę, widząc jak wszyscy męczeńską wyginęli śmiercią, opuścił swą kryjówkę i z świetną odwagą i pokorą, oddał głowę pod miecz barbarzyńców *).

Późna noc zaledwie położyła tamę mordom, a z rozświetem dnia, Tatarzy puścili się dalej, ku środkowi kraju, niosąc powszechną klęskę i zniszczenie.

Gdym wyrzwał na miasto, o jakże okropnie ścisnęło się serce moje widokiem tysiąca trupów we krwi własnej tonących; a były to trupy braci moich, krewnych, przyjaciół, ziomków! . . . zapłakałem; sądziłem że w oczach moich i łzy wyschły, lecz widok ten srogi, wydobyl z serca mego ostatnie, srogie łzy! Z całej ludności miasta tak świetnie przed dwoma dniami kwitnącego, pozostałem ja tylko niedołę-

*) Panięć tego czynu męczeńskiego poświęcenia jednego z braci zakonnych, i srogich mordów przez Tatarów na mieszkańcach spełnionych, przechowują dołąd malowidła zdobiące ściany Sandomierskiej katedry.

żny starzec z drobnem na ręku dziecięciem, z wami miłościwa pani!

Umilkł Boguś, zakrywając oczy, jakby je zasłaniał przed widokiem okropności, które dopiero co opisał; po długiem milczeniu, tak dalej mówić zaczął:

— Wiecie, miłościwa pani, jak później po kilku dniach tułactwa z wami, zaszedłem do Krempy, dziedziny ojca waszego, jak zastałem tam same zgorzeliska i trupy, jak szedłem ciągle śladem Tatarów, napotykać wszędy popalone sioła, zrujnowane zamki, stratowane zboża, i ni żywój duszy? Wiecie wreszcie, jak znalazłem miejsce ustronne, prawdziwie ręką Boga od powszechnój ocalone klęski. ? To było gniazdo zacnych Pilawitów, gdzie ja przytułek, a wy opiekunów, raczej drugich napotkaliście rodziców. Kilkunasto-letni nasz tam pobyt, widok waszego szczęścia i połączenia się z synem tego szlachetnego domu, zagoiło srogie serca blizny, i snem ukołysało żywą pamięć doznanych cierpień. Poglądałem z roskoszą na wznoszący się z gruzów Sandomierz, na mądre rządy Witkona, na jego pieczę o wzrost i pomyślność miasta, na dawane nowe przywileje i łaski przez naszego najmiłociwszego księcia, i byłem szczęśliwy *). A dziś, po tylu nieszczęściach, nie

*) Leszek *czarny*, chcąc Sandomierz do dawnego stanu świetności przyprowadzić, mianował Witkona dożywotnim Wójtem, i upoważnił go, by miasto na prawie niemieckiem na nowo osiedlił; nadał mu liczne przywileje, między innemi na założenie mennicy do wybijania denarów, i wznoszące się miasto murami opasał. Do dzisiaj istnieje w Sandomierzu wyniosła baszta z bramą, Opatowską zwana, podług podania za Leszka czarnego wystawiona.

pragnę już więcej niczego, jak tylko złożyć spokojnie głowę mą w trumnie, zostawiając szczęśliwemi wszystkich, co mi Opatrzność na tój zastąpili ziemi. Ale przeczuwam, że to upragnione szczęście, nie spotka mię tak rychło; przeczuwam, że z tym trzecim za życia mego napadem Tatarów, nie jedną opłakać będę musiał klęskę, że jeszcze w oczach moich bratnia krew popłynie.

Zamilkł Bogufał, opuścił głowę na dlonie, i zadumał. Młoda Kasztelanowa dumiała także, dumiała długo, nareszcie biorąc rękę starca, i baczną w twarz jego wlepiając wejrzenie, rzekła:

— Słuchaj stary druhu! tyś widział tatarzy, tyś walczył z nimi, powiedz mi, czy oni są niepokonani? czy boską posiadają potęgę, że ich zwalczyć, zniszczyć nie można.

— Nie odwaga, nie mężtwem, ale siłą przemagają; niezliczone tłumy zalewają ziemię bożym palcem na zniszczenie wskazaną; wielkiego połączenia sił panów chrześcijańskich potrzeba, by ich można było pognać. W walce z nimi, więcej przezornością, podstępem i wytrwałością wygrać można, niż zapałaniem mężtwem. Wszakże ich nieraz pokonało polskie rycerstwo, wszakże i lata zeszłego, mieszczenie krakowscy wraz z załogą, dzielny swą wytrwałością dali im odpór, i w sam dzień Bożego Narodzenia od murów miasta z znaczną ich stratą odpędzili. W tym roku Tatarzy są słabsi; nie mają tak dzielnego i dzielnego zarazem wodza, jakimi w pierwszych napadach byli Baty i Nogaj; cofnęli się już z pod Krakowa słabszych miejsc szukając; być może, że nasz

chrabry Leszko da im radę, i uwolni raz na zawsze ziemię naszą, od téj plagi niebios

— Potrzeba ich wszędzie odeprzeć, nigdzie nie dać się pobić, a przecież ustąpić muszą — z zapalem przerwała starcowi mężna niewiasta. — Słuchaj Bogufale: jeśli Tatarzy przyciągną pod Sandomierz, broń się będziemy do ostatniej kropli krwi; nie ustąpimy jednej piędzi ziemi, jeśli jej stem własnych trupów nie okupią Tatarzy; nigdy zaś opuścić rąk — to niegodnie! — nigdy poddać się — to haniebnie! Śmierć im, lub nam!

Gdy to mówiła rycerska niewiasta, pierwszy promyk wschodzącego słońca, jakby zdumiony jej mężtwem, zatrzymał się na jej dumnie wziesionem czole, na pięknem licu rumieńcem zapalu okraszonym, na oczach ogniem skrzących, na drobnej ręce, groźnie, jak na zagładę nieprzyjaciół, w górę wzniesionej.

Stary Bogufał przejęty czcią dla téj bohaterskiej kobiety, upadł na kolana, i siwą pochylając głowę, zawołał:

— Niewiasto, rycerzu! bądź uwielbioną!

— Gdzie? gdzie są teraz Tatarzy, Bogufale? — pytała wrzająca żądzą boju Halina.

— Od Krakowa w różnych ku wschodowi ciągną kierunkach. Książę zgromadza wojska, i wkrótce zapewne dojdą nas wieści o stanowczej potyczce. Już też zapewne i dostojny wasz małżonek z pocztem swoim połączył się z Monarchą, i mężtwem do niezawodnego przyczynia się zwycięstwa.

— Ale gdzie, gdzie są obecnie Tatarzy? — powtórzyła pytanie Halina.

— Jak rzekłem, różnemi drogami ku swym siedzibom wracają, po drodze różne oblegają zamki, lecz wszędzie silny znajdują opór; może też i pod naszymi mięg ich będziemy murami.

— Prawdaż to Bogufale, prawda? będziemy ich widzieli? będziemy walczyć z nimi? O! Bogu dzięki, że mi nadarza sposobność pomszczenia śmierci ojca i braci moich. Słuchaj starcze: gdzie nie ma głowy, coby sama rządziła, gdzie nie ma ręki, coby sama dzierżyła władzę: tam wszystko rozprzeże się i upadnie. By silnie odeprzeć wroga, potrzeba wybrać wodza, któryby wszystkim rozkazywał. Wójta nie zechcą słuchać żołnierze, a przytem Witko nie bywał w boju; dobry on rządcą w pokoju, ale żaden wódz w czasie wojny. Co do was, Bogufale, zwyciężone siły wasze, nie pozwalają ci rozkazywać i walczyć. Z żołnierzy, każdy waleczny i prawy, lecz bez pomysłów i przezorności. Nie ma więc w mieście nikogo, coby męża mego z sławą zastąpić potrafił. Niedołężnie odpierać napady, nie znaczy walczyć; bronić się i zaczepiać, używać wojennych podstępów, i pokonywać odwagą w otwartem polu, to zapewnia zwycięstwo. Któż więc w Sandomierzu znajdzie się taki, coby w jednej osobie połączył waleczność rycerza z przezornością wodza?

— Ah, gdyby tu był Dersław, — szepnął starzec.

— Dersław nie opuści mego męża, — odparła Kasztelanowa, — próżno wyglądać pomocy od tych, którzy są daleko. Bogufale, ja więc biorę na siebie obronę zamku i miasta; wykolysana w pancerzu dziadów, usypiana pieśnią wojenną, wzrosła śród

wodzów i rycerzy, córka i żona bohaterów, potrafię obmyśleć środki obrony, i odeprzeć najezdzców; ty zacy starcze, będziesz mą radą i pomocą. Za godzinę obejmujemy dowództwo: opatrzę załogę i mury, i czekać będę ukazania się nieprzyjaciela; a gdy mój Jan powróci, z radością usłyszysz, jak jego Halina Sandomierzan broniła; pozna król jak wierną ma poddaną, poznają tatarzy jak się bronić umiemy.

Bogufał ukląkł, i wznosząc rękę do góry, zawołał: — A więc, wodzu nasz, przyjmij odemnie przysięgę wierności i posłuszeństwa; bo czuję, że tylko ty jedna zapewnić nam zdołasz zwycięztwo.

— O, tak — rzekła Halina klękając przed złożoną na stole zbroją, a unosząc nieco szyszak, dodała z zapalem; — ojcze mój! szlachetny ojcze! będziesz pomszczonym! okropnie pomszczonym.

W chwilę, Bogufał opuścił komnaty Haliny, a ona upadła na kolana przed obrazem Chrystusa, by uprosić ocalenie i zwycięztwo.



O wschodzie słońca, cóż to za rycerz sady przez jary i lany? snać mu bardzo pilno: bo chociaż wrony rumak jego pianą okryty pędzi jak błyskawica, on przecież topi w bokach jego ostrza swych ostróg, i krwią biednego zwierza znaczy ślad swego przejścia.

I długą przebyć musiał już drogę; bo zbroja jego grubo pyłem okryta, i wielkie krople potu płyną po jego licu młodem, lecz mężkiem, szczupłym, lecz kwitnącem zdrowiem. I pędzi śpiesznie, i śpieszy jeszcze; to ukazuje się na wzgórzu, to przepada w wąwozie; to przesadza płoty i rowy, to znów nienie w gęstwinie lasów: — a ciągle w prostym ku Sandomierzowi kierunku.

Nareszcie stanął przed bramą zamkową, dobył z zapasa trąbkę, i w nią uderzył dźwięcznym tonem; nie długo czekał na odpowiedź, bo strażujący żołnierz dawno go miał na oku, i na głos trąbki, ozwał się z muru wprost nad rycerzem:

— Kto przychodzi?

— Sandomierzanin — odrzekł przybyły.

— Czego żąda? — pytał wartownik.

— Czy Bogułał jest w zamku? — rzucił na odwet pytanie młodzieniec.

— Wyszedł do miasta.

— I gdzie, gdzie teraz być może? — niespokojny pytał rycerz.

— Zapewne u Wójta.

Przybyły nie czekając dalszych objaśnień, wrócił konia i pędem w miasto poleciał. Nie trudno mu było odszukać dom wójtowski, bo ten widocznie kształtniejszą budową i obszernością, różnił się od niskich lepianek wznoszącego się dopiero miasta; widno też i jezdziec znał go dobrze, bo rychło zatrzymał się przed nim, zeskoczył z konia, i przywiązawszy cugle do kołka w ścianę wbitego, wszedł do izby.

Wszędzie tu przebijało się prawdziwe, lecz czyste ubóstwo: na ścianach, oprócz wielkiego krucyfiksu przed którym tłała lampa, nie było ani obicia, ani obrazów; stoły i ławy grubej roboty przytykały do ścian; w wielkiej szafie przy drzwiach błyszczały jak srebro porządkiem ustawione cynowe misy i dzbany; a w jednym rogu izby, na ziemi, rozesłane skóry niedźwiedzie, to łoże gospodarza; żona jego i dzieci w drugiej mieścili się komnacie.

Przy wielkim stole, pod oknem, siedziało dwóch mężów: jeden, starzec schylony wiekiem i trudami, znany nam Bogufał, drugi, mąż wzniosłej postawy, barczysty, średniego wieku; ciemna broda sięgała mu piersi; okrągłe, ogorzałe lice powagę znamionowało; w dużym czarnym oku, rozsądek i przenikliwość błyszczały. Ubrany w łosiowy kaftan, po biodrach szerokim wełnianym okręcony był pasem; w rękę trzymał wysoką trzcinę. Takim był Witko, dożywotni Wójt Sandomierski.

Przybyły rycerz skropiwszy czoło i piersi wodą święconą, postąpił na środek komnaty.

— Gość w dom, Bóg w dom — ozwał się Witko powstając. Lecz zaledwie młody rycerz zdjął szyszak, Bogufał postąpił ku niemu, i głosem niepewności, obawy i strachu pełnym, zawołał:

— Derśław! tyżeś to? i sam?

Rycerz smutnie opuścił głowę.

— Przez Boga żywego! gdzie Kasztelan? — pytał drżąc starzec.

— Nie żyje — z szlachetną łzą w oku, stłumionym od żalu głosem odrzekł młodzieniec.

Bogufał, z głuchym jękiem padł na ławę, pobladłe lica zakrywając rękami. Witko, jakby go wąż ukąsił, poskoczył z miejsca, i nagle stanął jak skamieniały; chciał coś wyrzec, lecz otwarte usta nie zabrzmiały głosem; tylko obłąkane oczy biegały to po rycerzu, to po ziemi i ścianach. Nakoniec wróciła mu zwykła przytomność umysłu, zbliżył się do rycerza, ujął jego rękę, i wstrząsając nią silnie zawołał:

— Ktokolwiek jesteś młodzieńcze, i w jakim bądź zamiarze wieść tę przynosisz, powiedz czy ona rzetelna? nie wiesz może, ile Sandomierzanie kochają swego Kasztelana, nie wiesz może, ile im zawisło na pewności o jego życiu....

Tych słów Witkonia groźnym wyrzeczonych głosem, dosłyszał Bogufał; ocknął się z bolesnego zadumania i rzekł do Wójta:

— Na Boga, sławetny Wójcie, nie przemawiajcie tak do tego dzielnego młodziana; to Derśław z Obręczny, to jeden z najprzywiązańszych do naszego Kasztelana rycerzy, jeden z jego orszaku; wierzcie mu tak, jak samemu sobie; on mówi prawdę; czy tak Derśławie?

— Derśław nigdy nie skłamał — z dumą odrzekł młodzieniec.

— A więc powiedz, powiedz nam, jakim nie-szczęsnem zdarzeniem, jakim to stało się wypadkiem? — prawie jednocześnie zapytali starcy.

— Wola w tem Boska — mówił Derśław siadając; — opuściwszy Sandomierz, żegnani i błogosławieni od was, szliśmy na spotkanie wojsk książę-

cych dniem i nocą; trzeciego dnia otrzymaliśmy wiadomość, że Tatarzy ku wschodowi zmierzają, na liczne rozdzieleni oddziały. Myśl, że z nimi walczyć będziemy, pokonamy i już okryci chwałą połączymy się z wojskiem, zapalem ogarnęła serca młodzieży naszej; pragnęliśmy gorąco spotkania się z nieprzyjacielem; dobrowolnie przyspieszaliśmy kroku, lecz mimo to aniśmy widzieli, ani słyszeli o Tatarach; sądziliśmy więc, że inną udali się okolicą. Całodziennym i całonocnym znużeni pochodem, zatrzymaliśmy się na noc wśród rozległej płaszczyny, z jednej strony wyniosłymi wzgórzami, z drugiej lasem, a z dwóch innych zaginającą się w łuk rzeką, obwarowaną. Kasztelan wysłał natychmiast na zwiady kilku zbrojnych, którzy przejrawszy las i pustą okolicę, zapewnili że nie ma niebezpieczeństwa. Rozstawiono więc strażę, zapalono ogniska, i legliśmy snem głębokim. Nad samem ranem, od strony lasu przybiegły strażę donosząc, że blisko już, wśród krzewin słyhać szum i stąpanie koni. Zabrzmiała trąba, porwali się ze snu, ale zanim w bojowym stanęliśmy szyku, księżyc dotąd ukryty wyjrzał z za chmur i oświecił gęsty zastęp Tatarów z dwóch stron rozpuszczonemi końmi na nas lecący; stanęliśmy już wtenczas skupieni i do walki gotowi. Tatarzy bliscy nas, wypuścili tak znaczną liczbę strzał, że te w polocie zdawały się nam chmurą ptaków świszczących; razem, posłyszeliśmy wśród naszego oddziału chrzęst zbroi padających na ziemię rycerzy, i tentent rannych koni wyrrywających się z szyku; zastęp nasz rozrywać się począł. Poleciwszy duszę Bogu, wy-

puściliśmy strzały, ale te nie wstrzymały pędu Tatarów, z dzikim wrzaskiem wpadli na nas z stron obydwóch; byliśmy w koło opasani rzeką i nieprzyjacielem. Tak ściśnieni, mieczy tylko mogliśmy używać; walczyliśmy pierś na pierś; ubitych Tatarów nowe zastępowały szyki; nasi ginęli i nikt im nie pomagał. W największym porządku cofnęliśmy się aż na sam brzeg rzeki, lecz tu, pozostawało nam zginąć albo pod nożami dziczy, albo w szalonej przez rzekę przeprawie, potonąć. Waleczny Kasztelan widział nieuchronną klęskę, i rozpaczą tylko wiedziony, rzucił się w środek nieprzyjaciela; mała pozostałych nas garstka, poszła jego śladem; wszyscy byliśmy już ranni, a jednak ostatnich sił dobywając, walczyliśmy nie o zwycięstwo, ale o śmierć chwalebą. Kasztelan był na czele: gdzie tylko miecz jego błysnął, krew strumieniami tryskała, tatarskie od tułówów odskakiwały głowy, trupy waliły się na ziemię. Nacierano na nas z stron wszystkich — byliśmy zgubieni. Pod Kasztelanem padł koń, i ciężarem swoim przytłoczył go do ziemi; osłoniliśmy naszego wodza, przyjmując ciosy weń wymierzone; lecz i to nie pomogło: nasz los był już wyrzucony. W zaciętej walce runąłem i ja na ziemię, ciężkim w głowę uderzony bułatem. Co działo się później, nie wiem; a gdy otworzył oczy, słońce już było wysoko na niebie; po nieprzyjacielu został ślad tylko w trupach jego szeroko rozestanych po błoni, i stosie ciał męźnych wojowników naszych. Nie mogąc powstać, na rękach i piersiach przepelznąłem do rzeki, i kilku kroplami wody orzeźwiłem zwątlone siły, a potem

śród poległych, szukałem zwłok Kasztelana; znalazłem je nakoniec tak zrabane, że tylko po resztkach zbroi, poznać je mogłem *). Poświęciwszy łzę i westchnienie walecznemu wodzowi, pomyślałem o Sandomierzu; pomyślałem, że wróg w tamtę ciągnący stronę, może opasać i zniszczyć miasto, tak rychłego niespodziewające się najścia. Ująłem więc jednego z błakających się brzegiem lasu koni, i omijając ślady przejścia wrogów, mnie tylko znanemi manowcami, przybyłem przed chwilą ostrzedz was o grożącym niebezpieczeństwie. —

Derśław umilkł, a Bogufał szeptał do siebie:

— Na toż mię o panie! tak długiem obdarzyłeś życiem, bym oglądał śmierć tych wszystkich, do których serce i dusza przylgnęły.

A Witko strzelił ognistym wzrokiem, i zawołał:

— Więc nie ma do stracenia czasu; nie ma go na próżne żale i jęki; nie wskrzesim Kasztelana łzami naszymi; myślmy raczej o własnem bezpieczeństwie. Bóg i Monarcha powierzyli mi to miasto, bronić więc jego całości powinienem. Młodzieńcze, wejdz do téj komnaty, znajdziesz tam żonę mą i córkę; jesteś ranny, jesteś znużony, niech opatrzą twą ranę i przysposobią wytchnienie, abys nowych sił nabrawszy, stanąć mógł na murach naszego miasta, bronić go przeciw poganom. Jesteś mym gościem, racz mię usłuchać. —

*) Jan herbu Pilawa Kasztelan Sandomierski, zginął od Tatarów w roku 1287, pisze Niesiecki; ale miejsca potyczki nie wymienia.

Derślaw uściskawszy podaną sobie dłoń Wójta, wszedł do przyległej izby. Witko przechadzał się głęboko zamyślony; nakoniec stanął przed Bogufalem, i rzekł:

— Bronić się będziemy, to pewna; ale kto obejmie dowództwo nad załogą i ludem? kto potrafi zarządzić obroną? kto da walczącym zapal i wytrwałość?

— Nie troszczcie się o to — mówił spokojnie Bogufał — jest istota wyższa od nas siłą ducha i rozumu, aczkolwiek tylko niewiasta.

— Mówicie o Kasztelanowej?

— O niej samej. Gdybyście ją słyszeli mówiącą do mnie tej nocy, uwierzylibyście, że ona tylko jedna ocalić nas może.

— Dobrze — zawołał Wójt — pójdźmy do zamku i w imieniu miasta zdajmy jej dowództwo. Lecz zdaniem mojem, czy nie lepiej byłoby ukryć tak przed nią jak i ludem wiadomość, jaką od tego otrzymaliśmy rycerza? znamy wszyscy przywiązanie Kasztelanowej do męża; wieść o jego zgonie, zabiłaby ją, a miasto straciłoby ducha i wiarę w ocalenie. Zresztą, na wypadek oblężenia, możemy czas jakiś uwodzić gawieź nadzieją odsieczy z ręki Kasztelana; pewność zaś o jego zgonie, odebrałaby wszystkim otuchę.

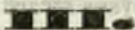
— Dobrze mówicie, sławetny Wójcie — wtrącił Bogufał — lecz gdy Kasztelanowa ujrzy Derśława, on jej blisko znajomy, wyczyta z obecności jego, to, co przed nią zataić chcemy.

— Derślaw w moim zostanie domu — rzekł Witko.

— Czy myślicie, że ten waleczny młodzieniec, na głos trąby wojennej drzemałby w domu spokojnie? Nie! on pierwszy z toporem pobiegnie na mury, a tam Kasztelanowa łatwo go ujrzeć i poznać może.

— A więc przedstawię mu potrzebę ukrywania się, i rycerskiem zobowiązę słowem, by walczył z opuszczoną przyłbicą, i nikomu poznać się nie dawał. Ta bolesna wiadomość musi między mną, wami i tym rycerzem w tajni pozostać — dodał Wójt, więcej od starego wojaka, w sprawach prywatnych posiadający dowcipu.

Naradziwszy się w ten sposób, starzy udali się na zamek.



O południu, załoga zamkowa, stanęła pod bronią; nie była ona liczną, bo zaledwie trzystu składało ją mężów, ale silna była odwagą i poświęceniem. Szczupły ten zastęp, zbrojny w łuki, oszczepy i topory, od godziny już w poważnym milczeniu oczekiwał rozkazów; na włóczniach oparci, ponurym wzrokiem wojownicy wodzili po ścianach wałowych, jakby mierzyli moc ich obronną; słabe to były wały w porównaniu z piersiami tych mężnych, co bronić mieli własnej siedziby; prędzejby pierwsze runęły, niż cofnęły się drugie.

W gronie mieszczan i kobiet, ciekawie przyglądających się załodze, i umyślnie jak się zdaje przez Wójta zebranych, głośny krążył rozhówór podniecający niecierpliwością oczekiwania; wejrzenia ich często ku głównemu zwracały się budynkowi; widno więc, że stamtąd przybyć ma oczekiwany.

Nakoniec chrapliwa ozwała się trąba, gawieź umilkła; z zamku wyniesiono chorągiew Województwa, przy której z odkrytą głową postępował Boguś. W chwilę później, w towarzystwie Witkona ukazała się Kasztelanowa w złocistej zbroicy; okrzyk podziwu i uwielbienia powitał ją. Stała, i wyniosłem na wszystkich rzuciwszy wejrzeniem, przemówiła do załogi.

Krótką, lecz pełną ognia jej mowę, żołnierze z zapalem przyjęli; zdawało się, że płomień wojny serca ich ogarnął; wszyscy szczękali o miecze, wszyscy wołali: — „walczyć będziemy do śmierci“, ze wszystkich oczu sypały się skry uniesienia, i bezspornie przysięgli Halinie posłuszeństwo, bo ona kończąc mowę, rzekła:

— Niech was to nie hydzi mężowie, że jedna niewiasta śmie brać wodze nad wami; niech wam oto nie idzie, czy mąż, czy kobieta, czy mnich w boje prowadzi; walczcie tak, jak gdyby każdy z was był wodzem, jak gdyby od każdego zależała obrona naszych domów, świątyni prawego Boga, i życia naszych braci.

A potem, zwróciwszy się do kobiet, przemówiła:

— I wy Sandomierzanki, bądźcie godnemi waszych mężów i braci; nie siła wasza walczyć na mu-

rach z łukiem i oszczepem, ale macie war w kotłach, macie kamienie i gruzy; pójdźcie za moim przykładem i brońcie jak możecie życia swych dzieci, cnoty swych siostr i córek, świętości waszych ołtarzy.

— Niech żyje Kasztelanowa! — wołały kobiety całując jej odzienie, i pierzchły po domach z krzykiem i zapalem, sposobić się do obrony.

Uszczęśliwiona pomyslnym skutkiem swój mowy, z promieniejącem radością czołem, otoczona rycerstwem, udała się Halina na wały warowni. Oglądając pilnie każdą fosse, każdy wał, każdą część ostrokołu, wydawała rozkazy pogłębienia i napełnienia wodą pierwszych, wzmocnienia i naprawienia ostatnich. Żołnierze i mieszczanie rzucili się do pracy; jedni kopali darń i ziemię na wały, drudzy na tarczach ją przenosili, inni ciężkimi topory ociesywali bale i osadzali w ziemi, grodząc nimi rzadsze miejsca ostrokołu; u płatnerzy i kowali szczękały młoty i warczały brusy, kuto nową i ostrzono starą broń. A wszystko działo się z chęcią, zapalem i pośpiechem.

Wyznaczywszy jeszcze miejsca strażowisk i porządek trzymania warty, Halina rzekła do towarzyszących jej nieodstępnie Wójta i Bogufała:

— Teraz pójdźmy obejrzyć ostatnie nasze schronienie, w razie gdyby miasto i zamek zdobyto.

Tem ostatniem schronieniem, były podziemne lochy.

Dwukrotnemi napady Tatarów nauczeni Sandomierzanie, że powierzchnia ziemi nie daje im bezpiecznego przed dzikim łupieżcą ukrycia, postanowili szu-

kać go w jej głębiach. Tym końcem, w przeciągu lat kilkunastu dzielących epokę drugiego napadu (1260), od ostatniego (1287), w suchej, gliniastej ziemi, wykopali szerokie, licznie rozgałęzione, i daleko, bo pod całym miastem, i aż pod Wisłę ciągnące się lochy, do których, w razie wyczerpania środków obrony, majątki swe i życie schronićby mogli *).

Do tych lochów udała się Halina z Witkonem i Bogufałem.

Gdy otworzono wejście, chłodne, lecz suche zionęło zeń powietrze; śmiałą nogą odważna kobieta stąpiła w głębie; przy mdławym blasku pochodni długo przebiegała zakręty podziemia, a opuszczając je, z wesołym uśmiechem rzekła do towarzyszy:

— Choć smutne, bo do grobu podobne, przecież bezpiecznem zdaje się być to ukrycie — nagle przerwała mowę, jakby nowa myśl wstrzymała swobodny bieg pierwszej, utkwiała wzrok przed siebie, i po chwili milczenia, zapytała: — czy z tych lochów, oprócz otworu, którym tu weszliśmy, można inną wydostać się drogą?

— Drugie wejście — odpowiedział Bogufał — po tamtej stronie Wisły się znajduje; lecz trzeba być bardzo świadomym wszystkich zakrętów podziemia, aby wyjść z niego tamtędy.

— Rozkażesz natychmiast zawalić tamto wejście, i sam tego dopilnujesz. — Rzekłszy to, Halina opuściła podziemie; i znowu świeże, nadziemskie powietrze, powróciło krasę na jej poblądłe jagody; u wyjścia, zatrzymała się i rzekła:

*) Ślady tych lochów dziś jeszcze istnieją.

— Jesteśmy za murami miasta; nieprzyjaciel mógłby się tu dostać; wejście do podziemia nie jest dobrze ukryte.... Witkonie, rozkażesz znieść w to miejsce dużo kamieni i osłonić nimi otwór lochu. —

Ale w tych słowach Haliny, nie wiele było szczerości; bo niepewny, badawczy wzrok jój biegał po licach Bogufała i Witkona, jakby dusze ich zapytać chciała, czy nie odkryli tajemnego jój zamiaru, dla którego każe tu znosić kamienie. Lecz ci ślepo jój słowom wierzyli; utonęła więc duszą w nowym pomysle, i śpiesznym krokiem weszła do zamku, zcichając szepcząc do siebie: — ostatni to środek.... ale, któżby się znalazł tak śmiałym?... chyba ten, coby już nic nie miał na ziemi drogiego....

Wszyscy słyszeli, lecz nikt nie wiedział co znaczyły te słowa Kasztelanowój.

Roboty około naprawy wałów, dla skwarne go upału, na chwilę były przerwane; rycerze w cieniu baszt spoczywając, rozmawiali o walkach. Dzwon jęczał na wieży katedry; Halina z garstką mężnych udała się do świątyni: poważnie zabrzmiał organ, wszyscy upadli na kolana, i korne wzniesli modły do Boga obrońcy cierpiących, o pomyślność swego oręża.

Pod ten czas, lekka łódź szparko przerzynała srebrzystą Wisły powierzchnię, unosząc z Sandomierza na brzeg przeciwny Bogufała i sześciu silnych ludzi; śpieszyli oni do drugiego lochów otworu, wypełnić rozkaz Kasztelanowój.

IV.

Pod wieczór dnia tegoż, w domu Witkona panowała cisza, kiedy niekiedy lekkim przerywana łoskotem. W głównej izbie, siedziała przy oknie żona Wójta przędąc na kołowrotku cienkie nitki konopne; poniżej młoda Bożena jej córka, wyszywała w krosnach wielkie kwiaty, mające zdobić podnóże ołtarza Bożego; dalej dwie służebne przędły kądziel; po izbie uwijał się z hałasem na drewnianym koniu mały Witkonek, syn Wójta, i drewnianą szabelką rąbał stoły i ławy. Przy drugim oknie, oparty o framugę siedział Dersław z Obręczny, utkwivszy w młodej Bożenie spojrzenia; niekiedy pierś jego podniosło westchnienie, niekiedy i bladą twarz przelotny okrasiał rumieniec; ale to wszystko tak nagle i na tak krótko, że nikt na to nie zważał. Dziewica pilnie pracowała; wzrok jej na krosna tylko był zwrócony; lecz gdy delikatny słuch jej, wśród warczenia kołowrotka i tupania małego braciszka, uchwycił stłumione westchnienie rycerza, to i na pięknem, białem jej licu wykwitwały róże, ręka drząc niepewnie wiodła igłą, i niebieskie źrenice, wilgły łzą pełną; lecz rychło potem, bledniały róże, igła kształtne działała ścięgi, i suche oko nie zwracało się od krosien.

— Panie rycerzu! — zawolał mały Witko, jednym

tchem obiegłszy trzy razy izbę do koła, i zadyszany zatrzymując się przed Derśławem — panie rycerzu! czy dobry już ze mnie żołnierz?... A powiedzcie mi, rychłóż ja będę bić Tatarów?

— O, będziesz, będziesz kochane dziecię — zawołał z uniesieniem młodzieniec, unosząc w górę małego chłopczyka, i na rumianych, pełnych jego policzkach ognisty wyciskając pocałunek — będziesz bił Tatarów; ja cię nauczę robić bronią i jeździć na żywym koniu.

— Tylko podrośniesz — z uśmiechem wtrąciła matka.

— Ah mój Boże, i kiedyż ja urosnę? wszyscy mi mówią żem mały, a ja chciałbym dzisiaj pójść na Tatarów.

— Przyjdzie czas moje dziecię — skrycie łzę ocierając odrzekła matka — gdy mimo prośb starych rodziców, opuścisz ich, by gonić za sławą i potykać się z wrogami.

Mały Witko zamyślił się, opuściwszy główkę ku piersiom; potem z żalosnem wejrzeniem poszedł do matki, przytulił twarz do jej piersi, i na pół z płaczem zawołał:

— Ja matki nie opuszczę.

Ale gdy podnosząc się Derśław brzęknął szablą po ziemi, dziecię jak iskrę elektryczną uderzone, opuściło matkę, i biegnąc ku niemu, zawołało:

— Pójdźcie do ogrodu, panie rycerzu; tam ja wam pokażę, jak umiem ścinać głowy moim czerwonym tatarom — i wesóło pobiegł do ogródka strącać

z łodyg purpurowe makówki. Derśław zwolna udał się za nią, radując się w duszy zapalem dziecięcia.

— Sciemnia się; odlóż robotę Bożeno i przejdź się także po ogródku — rzekła matka do dziewczicy; Bożena była posłuszną; z drzeniem serca złożyła krosna, czule ucałowała matkę, jakby błogosławieństwa jej żądając, i wyszła za bratem i rycerzem.

Derśław siedział pod krzakiem bzu, machinalnie trzymając w ręku wonną jego kietę, przed chwilą zerwaną; posłyszawszy szelest sukni zbliżającej się dziewczicy, powstał, nie wyrzekłszy słowa, podał jej kwiat, i zwolna udał się za nią. Bożena w milczeniu zstępowała z spadzistego ku Wiśle wzgórza, zrywając kwiaty po drodze; Derśław szedł za nią. Narzeczcie zatrzymali się pod rozłożystą gruszą; Bożena usiadła i z róż białych równiankę wiec poczęła; Derśław wsparł się ramieniem o przyległe drzewo, i utkwivszy wzrok w zapadające za wzgórza słońce, milczał.

— Czy bardzo dolega wam rana? bo tak smutni jesteście rycerzu — zarumieniona przemówiła dziewczica.

Derśław wstrząsnął głową, i odrzekł:

— O, rana moja, ma się już dobrze; już mi nie dolega; nie czuję jej wcale. Bożeno, ja wiele wam winienem: pod ziołami z waszjej ręki, boleść ustąpiła, i gotów jestem natychmiast biedz walczyć, na murach waszego miasta.

— Nie dowierzajcie jeszcze swym siłom; szyszak na nowo otworzyłby ranę waszą i zrobiłby ją daleko niebezpieczniejszą, niż nią jest dzisiaj; wam trzeba jeszcze długiej spokojności i wytechnienia.

— Spokojności!... a czy wierzycie Bożeno, że spokojność co raz dalej odemnie ucieka? że im dłużej przy was jestem, im częściej na was poglądam, tem większy czuję w duszy niepokój; to jakieś dziwne żądze obsiadają mi serce do koła, ściskają je jak żelazną rozpaloną obręczą, i tłumią wszystkie inne życzenia i chęci.

— Mam więc was unikać? — smutnie zapytała.

— O, nie — zawołał Dersław ujmując jej rękę, jakby się lękał by mu nie znikła — ja bez was żyłbym nie potrafił.

— Nie rozumiem was rycerzu — z prostotą odrzekła dziewica, lecz chociaż umysł jej nie potrafił wytłómaczyć słów młodziana, to serce je pojęło, i uczuło.

— Mam więc mówić otwarcie? — z wahaniem pytał Dersław; lecz nie odebrał odpowiedzi; twarz Bożeny rumieńcem wstydu zapłomieniona, pochyliła się ku piersiom, a z drżącój ręki kwiaty posypały się na ziemię. — Bożeno! — rzekł Dersław — ja was z całego serca miłuję... wybaczcie mi śmiałość moję... alem nie mógł tej tajemnicy ukryć w głębi duszy. O, nie pierwszy to dzień dzisiaj, w którym was ujrzałem; będąc w orszaku Kasztelana, często widywałem was w kościele i w zamku; odtąd serce wyrwało mi się z piersi i do was odbiegło; wzrok mój do waszych przylgnął śladów; myśli za wami tylko goniły. Wybaczcie mi to, co powiedziałem — mówił dalej rycerz po chwili przestanku — ale jutro stanę na murach, jutro może zginę w waszój

obronie; toż raz ostatni przed wiecznem rozłączeniem, niech mi wolno będzie powiedzieć co dla was uczuвам. Jam sierota; mnie nikt nie kochał na ziemi, nikt po mnie łzy nie uroni, nikt nie wspomni po zgonie. Was jedną ukochałem całą siłą serca, a chociaż nie żądam od was uczuć wzajemnych, to tylko błagam wspomnienia w modlitwie za duszę moją; wy tak dobrzy Bożeno; wy nie odmówicie mej prośbie

Po licu dziewicy płynął długi łez strumień; podała rycerzowi rękę i wzajemnem uściśnieniem, odpowiedziała jego uściśnieniu.

— Przymierzacie mi? niech wam to Bóg nagrodzi! . . . pozwólcie mi zabrać z sobą te kwiaty, co dopiero w rękach waszych były, co łzami waszemi są skropione; pozwólcie złożyć je na sercu mojem, może też je uchronią od pocisków tatarskich; a jeżeli po zwycięztwie wrócę żyw i zdrowy, oddam je wam, i powiem, że mię od śmierci ustrzegły.

— Będę za wami prosić Boga — przerywanym od łez głosem ozwała się Bożena.

Młodzieniec ucałował wieniec róż białych, i ukrył go na piersiach.

W tej chwili mały Witko nadbiegł na swoim koniu drewnianym, i porywając Derśława za rękę, wołał:

— Pójdźcie no, pójdźcie zobaczyć, ilu tatarom pościnałem głowy — i powiódł go za sobą; a Bożena zostawszy samą, upadła na kolana i gorąco, z pokorą, z łzami, modliła się.

Wieczorem, łańcuch czat otoczył zamek do koła; miasto znów zwolna usypiało; zmrok i cisza obsiadły wzgórze Sandomierskie; stara Wisła w milczeniu płynęła, igrając z gałązkami wikliny i światłem księżyca, przeglądającego się w jój wodach; wschodni wietrzyk, z lekka, niby drzemiąc, dźwięczał w listki drzewin, i słowik kiedy niekiedy tęsknym, to znów rokosznym odzywał się śpiewem. Wszystko spało, lub usypiało. Tylko po wałach Sandomierskiego zamku, długo w noc przesuwiała się biała, wyniosła postać; zatrzymywała się, i znów szła dalej; aż nakoniec znikła pod wyniosłem sklepieniem książęcego dworca.



Nad ranem, strażujący na baszcie, dostrzegł przy niepewnym blaku księżyca jakiś ruch na dalekiem wzgórzu, podobny do krzaków wiatrem wzruszanych; lecz tak trudno było go rozróżnić, i trwał tak krótko, że go poczytał za złudzenie oka całonocnem czuwaniem znużonego. Nie odwracał jednak ztamtąd swych wejrzeń, a przy brzasku rannój jutrzeńki,

dokładnie rozpoznał szerokie pasmo bielących po całej pochyłości dalekiego wzgórza, namiotów. Nie tracąc czasu, udzielił wiadomość tę Boguśławowi, która wkrótce lotem błyskawicy gruchnęła po całym mieście.

— Na mury! na mury! — huknął jednoznaczny okrzyk; i za nim słońce podniosło się nad ziemię, już tysiąc mieszkańców stanęło pod bronią.

Nie ostatnią była Kasztelanowa: na białym koniu obiegła wszystkie stanowiska obronne, rozrządziła ludem, zachęciła go kilku słowami zapędu, i w całym pędzie wracała do zamku. Piękny był widok tej kobiety-rycerza, śmiało siedzącej na rozpuszczonym w galop rumaku; krasiwą twarz jej zdobił rumieniec odwagi; w czarnych oczach błyszczał męzki ogień; na jej głowie złocisty szyszak połyskiwał od słońca, strusie pióra lekko powiewały nad nim; druciana koszula chrzęściła za każdym susem konia; długa biała suknia wiewała w powietrzu; szeroki miecz w dłoni dzierzony, sypał błyskawice, odstrzeliwując słoneczne promienie.

— Mężowie! — rzekła do załogi — nadszedł dla was dzień wielki; sprawcie się tak, by go sławnym uczynić. Zwyciężmy, lub gińmy!

Ostatnie jej słowa powtórzyli żołnierze, i z zapędem pobiegli na wskazane stanowiska. Halina wstąpiła na najwyższą basztę, by rozpoznać siłę i obroty nieprzyjaciela. Mocnym był hufiec tatarski: nieprzeliczona liczba namiotów zaścielających wzgórza, i tysiące koni pasących się na łąkach, jawno wskazywały, iż zastęp pogan sześć kroć był silniejszy

nad załogę i mieszkańców zdolnych do broni. Długo ze szczytu wieży poglądała Halina na obóz nieprzyjaciela, który jak się zdawało w głuchym śnie po długim i śpiesznym pochodzie, wywczasu kosztował.

Dzień już w całym był blasku, gdy Tatarzy przebudzili się ze snu, i konie do obozu ściągnęli. Okropna wrzawa, wyciu tysiąca wilków podobna; po niej znów głuche nastąpiło milczenie. Nareszcie wyciągnął nie zbyt liczny hufiec, prosto ku bramie zamkowej zmierzając. Halina rozkazała przypuścić ich na lot strzały, i na objawione żądanie rozmówienia się z dowódcą, poleciła wprowadzić do zamku tylko posłańca i tłumacza.

Po zuchwałej, krótkiej przemowie, poseł oznajmił żądanie swego pana, aby poddało się miasto, zapewniając całość mieszkańców i ich własności, za opłatą ogromnej summy.

— Kłamstwo! kłamstwo! — krzyknęła Halina — znamy was dobrze dzieci łupieżcy! chcecie zwieść nas fałszywemi obietnicami, aby bez trudu owładnąć miastem, bezbronnych w pień wyciąć, i majątki nasze bezkarnie zrabować. Oto skutek waszych przyrzeczeń, waszych przysiąg. Ale nie damy się uwieść; o! nie, na Boga! będziemy się bronić dopóty, póki choć jedna żywa dusza w mieście pozostanie; wolemy wreszcie własnemi wymordować się dłońmi, gdy nam środków obrony nie stanie, niż z haniebną pokorą poddać szyje pod wasze jatagany. Oto nasza odpowiedź. A teraz, idź posłańcze do twego pana, i powtórz mu moje wyrazy.

— Dobrze! — wściekle krzyknął poseł, a białka oczu jego krwią zabiegły — będziemy się bili; ale was ostrzegam, że nasze zastępy są niepokonane; pierwej wszyscy wyginiecie, nim połowa nas poleże.

— Bóg obrona słabych — rzekła z pokorą Halina, i skinęła na żołnierzy, którzy zawiązawszy oczy tatarskiemu posłowi, wyprowadzili go z zamku.

Rychło potem, nieprzeliczona tłuszcza z dzikim wrzaskiem rzuciła się ku miastu, na wszystkich oblegając je punktach. Dzielnie ją przyjęli obrońcy Sandomierza za palisadą ukryci, sypnąwszy chmurę strzał na najeźdźców. Tatarzy z toporem w ręku rzucili się na ostrokoł i rąbać go poczeli; lecz głowy ich gęściej spadały, niż grube kłody dębowe, głęboko w ziemię wkopane. Walka trwała blisko dwóch godzin; o południu Tatarzy z wściekłym wrzaskiem bezkutecznie do obozu wrócili.

Z tryumfującym uśmiechem na ustach obiegała Halina miasto, dziękując mężnym obrońcom za niewzruszoną odwagę, i zapowiadając zwycięstwo. Za nią ukazały się z miasta kobiety z pożywieniem i lekami dla swych obrońców; lekko rannych było niewielu; zabitych kilku zaledwie.

Reszta dnia upłynęła spokojnie; wróg bezczynnie spoczywał w obozie; ztąd wniosła Halina, iż w nocy uderzyć zamysła. Wydała więc rozkazy pilnego czuwania; nikt nie oddał się spoczynkowi; wszyscy byli gotowi.

I niemylnemi były jój wnioski: przed północą, w największej cichości podstąpili Tatarzy do zguźnego dla nich ostrokołu, i zażegli go ogniem; su-

cha dębina żwawo płonąć zaczęła, i w jednej chwili całe miasto ognistym do koła otoczone zostało wien-
cem. Krwawem światłem oblały się mury Sando-
mierza. Ratunek ostrokołu był niepodobny; wojo-
wnicy cofnęli się na wały, i ztamtąd ujrzeli zgraje
Tatarów przedzierających się środkiem płomieni;
przy ich blasku osypali nieprzyjaciół strzałami tak
gęsto, że połowa hufcu raniona, z rozpaczynym ję-
kiem ginęła w płomieniach. Rychło wsparł go na-
stępny, rzucając się wprost na wały przez ogień i
gorejące towarzyszy ciała; ale tu przywitały ich
ogromne bryły kamieni z łomotem walące się na ich
głowy.

|| Nieprzewidziany jednak wypadek, zachwiał na
chwile wrzące męstwo oblężców. Pałący się
ostrokół z trzaskiem rozsypał głównie i iskry, które
przy lekkim wiatru powiewie, padały na strzechy do-
mów bliżej wałów stojących, i w mgnieniu oka zaże-
gały je płomieniem. W mieście powszechny wszczął
się rozruch trwogi: uderzono w dzwony; gromady
dzieci i kobiet napęłniały krzykiem powietrze; bydło
zamknięte w stajniach objętych płomieniami, przera-
żliwym rykiem wzywało ratunku. Ale obecny temu
Witko, w mgnieniu zaradził pożarowi: z nieocenio-
nem poświęceniem, sam przy pomocy odważniejszych
kilku niewiast, rzucił się do gaszenia płonących bu-
dynków; swoją olbrzymią siłą walił parkany i płoty,
ogień rozszerzyć mogące; rozrzucał dachy bliskich
domów; zalewał wodą głównie; i wkrótce pożar
ustał, tylko trzy skielety spalonych domostw, dymiło
się w pół przepalonymi główniami.

Żołnierze, na chwilę oderwani od walki widokiem pożaru, z nowym zapalem wzięli się do obrony. Przyszły im w pomoc nieustraszone Sandomierzanki; kiedy mężowie toporami i włóczniami walili drapiących się na wały Tatarów, one kamieniami i strumieniami wrzącej wody, dłuższą i boleśniejszą zadając im męczarnię, najodważniejszych zmuszały do odwrotu.

Mimo to jednak, kilku tatarów zdołało wdrzeć się aż na szczyt wałów w miejscu, w którem kilku poległo rycerzy, i kilku ciężko ranionych, odporu dać nie mogło. Ale nie długo tu gościli: jakiś rycerz z opuszoną przyłbicą, rzuca się na nich; silnemi razy miecza siecze na obie strony, i w chwil kilka martwe napastników ciała spadają na głowy śpieszących za nimi. Nieznajomy nie opuszcza stanowiska ważnego i słabo dotąd bronionego: swojemi piersiami wstrzymuje zapędy kupiących się Tatarów; sam jeden stawia opór dziesięć kroć liczniejszemu nieprzyjacielowi; a choć z piersi jego krew strumieniami upływa, on jednak ani jednej piędzi ziemi nie ustępuje, nie cofa się.

Na całej przestrzeni wałów najokropniejszy rozlega się wrzask napadających, jęki konających i rannych, łomot walących się kamieni, ciał i zbroi; pękają pancerze, kruszą się szyszaki, łamią topory i miecze; gniotą piersi, czaszki i ramiona; krew tryska potokami na wszystkich punktach dobywanych i bronionych. Zapalone pochodnie w ręku oblegających, migotliwym blaskiem oświecają zaciętą walkę wśród nocnych ciemności; wschodzące słońce jeszcze ją ujrzalo w całej sile i zażartości.

Wtedy to dopiero Tatarzy spostrzegłszy ogromną swą klęskę, cofnęli się z wałów, miotając przekleństwa i pogróżki. Ścigali ich nasi strzałami, i niczyja ręka naprózno nie naciągnęła cięciwy, każdy świst strzały na wylot przeszywał pogańskie ciała, długim łańcuchem zostające za hufcem.

Okrzyk radości rozległ się w murach Sandomierza, na widok uciekającego do obozu nieprzyjaciela; lecz okrzyk ten przycichł, gdy postrzeżono na wałach mnóstwo rannych i martwych zwłok swoich ziomeków. Kobiety w głośny płacz zmieniły radość szukając i znajdując między poległymi swych mężów, braci i ojców. Nieszczęśliwe, rzucały się na zimne swych obrońców ciała, nadaremnie swemi łzami, swą rozpaczą chcąc przywołać choć iskrę życia, w ich zastygłe piersi. Inne na tragach na prędce przysposobionych, przenosiły do domów rannych i dających znaki życia; inne nakoniec, znajdując żywemi i całemi swych ukochanych, radośnemi łzami rosily ich piersi i osypywały najczulszemi pieścizoty, jakby z tamtego świata wróconych.

Tylko ciał pobitych Tatarów u stóp wału rozrzuconych, nie miał kto rosić łzami żalu; konającym nikt nie słodził cierpienia, nikt kroplą wody nie stłumił rannym żaru ust spieczonych, i bólem przepalonych piersi. Nad nimi, z przeraźliwym wrzaskiem unosiły się gromady żarłocznych kruków, na świeżą zwolujących się biesiadę.

A nad tym obrazem boleści i żałoby ludzkiej, piękne słońce w całej swj młodocianej jaśniało wspańiałości; przyjemny wietrzyk kończył z gałazkami

krzewin jakąś miłosną, w nocy zaczęta, tajemną rozmowę; skowronek pod samem sklepieniem niebios nucił poranny hymn Stworzycielowi; i poważny jęk dzwonów, zwolywał pobożny lud na modlitwę.

Wolnym, poważnym krokiem postępowała Halina po wałach; na pięknem jej licu smutek i rzewność zaległy; widok tylu ciał poległych ziomków, jęki i płacze kobiet, budziły w jej duszy bolesne uczucia; z łzą w oku przechodziła około rannych i zabitych, a każdy jęk, każde westchnienie konającego, lub bolejących nad nimi kobiet i dzieci, spólczeniem odbijało się w jej sercu. Zbliżywszy się do wielkiego załomu wałów, którego dzielną tej nocy obronę widziała, cichy, lecz okropny ujrzała obraz: na zwalonych ceglach muru, leżały martwe zwłoki rycerza; głowa obnażona z szyszaku cała była w krwi i ranach, a w piersiach tkwiła tatarska strzała; piękna, tylko śmiertelną bladością powleczone twarz, pełną jeszcze była wyrazu męztwa i poświęcenia; znać śmierć nagle wyrwała duszę z jego piersi, nie zdolawszy mękami skonu, skazić szlachetnego oblicza. Nad ciałem tego rycerza, klęczała młoda dziewica: pojrzawszy na nią, rzekłbyś: to druga śmierci ofiara; jej lica, jej usta tak blade, jak czoło zmarłego młodzieńca; załamane dłonie, przykute na piersiach; jasne, połyskliwe włosy, w nieładzie spuszczone do ziemi; a niebieskie przeczyste oczy, pozbawione blasku i życia, nieruchomie utkwione w leżącego przed nią trupa. Poznała Halina tę nieszczęśliwą; — kto ona była, i wy odgadliście.

— Bożeno! — rzekła Kasztelanowa tłumiąc łzy na ten okropny widok — Bożeno, dziecko drogie! — powtórzyła; lecz to podwójne wezwanie, nie zbudziło z gorzkiego zadumania nieszczęsnej kochanki: ona, jak posąg z glazu ciosany, nieruchomie klęczała. Halina przyklękła obok niej, i ujęła ją za rękę.

Bożena zerwała się; odtrąciła dłoń Kasztelanowej, i oblakane wlepiając w nią oczy, słumionym rzekła głosem:

— Czego chcesz? kto jesteś, co śmiesz przerywać spoczynek mojego rycerza? może przychodzisz wydrzeć mi go? — ah, odejdz; zaklinam cię; odejdz! niech on śpi spokojnie; niech wypocznie po krwawych znojach. Za chwilę on wstanie, poda mi wieńiec róż białych, ujmie za rękę i do ołtarza poprowadzi.... Cicho!.... cicho.... on śpi.... nie budźcie go, proszę.

I znowu przy trupie ukłękła, znowu w blade jego oblicze nieruchome utkwiała źrenice, i znowu milczy. Tak głęboka jej rozpacz, nowe łzy wycisnęła z oczu Haliny; szczerem przejęta współczuciem, znowu ją wzięła za rękę, chcąc odwieść od okropnego widoku, zwiększającego jej pomieszanie; ale Bożena powtarzała błagając:

— Cicho.... cicho.... nie budźcie go!

— Ależ on umarł — półgłosem wtrąciła Halina.

— O, nie — łagodnie, z tęsknym uśmiechem odparła biedna oblakana — on żyje; napróżno chcecie wmówić we mnie że on umarł; onby mnie nie opuścił. Tylko chwilę.... jedną chwilę, a podniesie piękną swą głowę, uśmiechem miłości obdarzy swoją Bo-

żenę.... on tylko ranny; ja go wyleczę, jak go już wyleczyłam; bo posłuchaj mię tylko: — był ranek, kiedy on do nas przyjechał zdaleka, zdaleka; ciężko w głowę raniony; on wracał z walki, gdzie wszyscy wyginęli, i on zginął, ale tak tylko jak dzisiaj; bo to był sen, długi sen; potem obudził się, i przybył nas ostrzedz, że wróg się przybliży; przyszedł tu jeszcze walczyć, bronić nas; jam ciężką ranę jego leczyła; nie wiem, czemu drżała mi ręka, gdym plastry na jego czole wiązała; nie wiem, czemu jego spojrzenie pełne wdzięczności, podwajało mi bicie serca. Był wieczór: ah! jaki wieczór! takiego zachodu słońca, takiej woni w powietrzu, takiej lubości we wszystkim rozlanej, nigdy nie widziałam; o, w ten wieczór i słowik piękniej nucił, i kwiaty miłej woniały, i stara Wisła jakby odmłodziła, zdawała się piękniejszą. Przyszedł on do ogrodu; ukląkł, i prosił o wieniec róż moją ręką spleciony; a potem mówił, że mię kocha.... wiecie wy co to kochać? jam do owéjchwili nie znała kochania; ale odtąd uczułam, że kochać jest to szczęściem, że kocham Dersława; mówił jeszcze, że może zginie na tych murach; prosił o łzę, modlitwę i wspomnienie.... ale on żyje.... ja będę płakać, będę się modlić, ale wtenczas, gdy z nim razem u ołtarza uklęknę; gdy mu przysięgnę być żoną....

— Jego imię.... jego imię, Bożeno! — wołała Halina obłąkanem okiem wpatrując się w lice poległego — jego imię? zaklinam cię, powtórz; Dersław li to? Dersław z Obręczny?....

— Skąd wy go znacie? — trwożnie zapytała obłą-

kana — może go kochacie? o, on mój, mój Derśław ja go nie opuszczę....

— Derśławie, czemużeś mego opuścił męża? Derśławie! powiedz mi, co się z nim stało?... Boże! Boże! powróć mu życie, na jedną, jedną tylko chwilę.... o, teraz ja nie wierzę by on umarł.... on powie gdzie mój mąż.... Derśławie! na Boga cię zaklinam, jedno tylko słowo: żyje li mój mąż? — i w rozpacz, szarpała trupa za rękę, i pochylała ku sinym ustom jego, swą głowę, w nadziei, że usłyszy tajemnicę, którą na tamten świat poniósł z sobą nieszczęśliwy młodzian.

W tej chwili nadeszli Witko z żoną, Bożeny szukający; widok córki i Kasztelanowej nad poległym klęczących, osłupił ich w miejscu. Halina postrzegła ich, poskoczyła do Wójta, i porywając dłoń jego, z drżeniem, rozpaczą i nadzieją pytała:

— U ciebie przed zgonem był Derśław z Obręczny, on ci powiedział gdzie mój mąż, co się z nim stało... wszyscy wyginęli... wszak prawda? — Witko opuścił głowę — i mój mąż... mój Jan... zginął! — krzyknęła Halina odgadując z smutku na licu Wójta rozlanego, nieszczęsną tajemnicę; i przygnieciona całym brzemieniem tej okropnej wiadomości, jakby w nią piorun ugodził, zachwiała się, i bez jęku padła na ziemię. Witko, nie tracąc przytomności pochwycił w silne ramiona bezwładne ciało Kasztelanowej, i spiesźnie uniósł do zamku.



VI.

W narożnej komnacie, którą na początku niniejszego opisalimy opowiadania, przed wielkim obrazem Chrystusa, leżała na posadzce krzyżem rozciągniona biała postać kobieca. Bolesne jęki i łkania, wśród których, kiedy niekiedy wyrwały się słowa: — mój Jan . . . mój ojciec . . . tatarzy — składały modlitwę nieszczęśliwój.

Po długich łzach i modłach, podniosła się z ziemi Halina; nie była to już ta wspaniałej postawy, wzniosłego szlachetnością i mężstwem oblicza, bohaterka, jaką widzieliśmy w niej poprzednio; w tej chwili, była kobietą wątłą, słabą, zgniecioną gromami losu. Wejrzenia jój, tak niegdyś błyszczące odwagą — zagasły w łzach rzewnych; usta, niedawno jeszcze głoszące słowa natchnienia — wydawały tylko jęki bolesne; dłonie, w chwilach walki mieczem władające — teraz opuszczone ku ziemi, splecione z sobą w cichej rozpacz. Powolnym krokiem zbliżyła się do okna, i raczej upadła, niżeli usiadła w krzesło; opuściła głowę na dłonie, i znowu gorzka zaduma powlokła jój czoło, znowu boleść wydzieraa łkania z jój uciśnionych piersi.

I długo, długo zostawała w tym stanie; nareszcie wzniosła głowę, rzuciła wejrzenie na słońce schy-

lające się już od południa, i szepnąwszy do siebie: — już czas pożegnać cię piękne słońce — świ-
snęła w srebrną piszczalkę.

— Przywołać Bogufała — rzekła do wchodzącego
sługi.

Niebawem ukazał się starzec, a jego zaczerwienio-
ne oczy, świadczyły iż wiele, bardzo wiele łez prze-
lał. Ucałowawszy podaną sobie dłoń Kasztelanowej,
na dany przez nią znak, usiadł. Ona zaczęła mówić
cichym, lecz pewnym, niewzruszone postanowienie
wskazującym, głosem:

— Bogufale, dzisiaj już, jedyny mój na ziemi przy-
jacielu! wybieram cię samego za powiernika moich
zamiarów, bo ty tylko jeden umiesz boleść mą oce-
nić, ty ją dzielasz. Ale mi przyrzeknij, że speł-
nisz wszystko co ci rozkażę, spełnisz dokładnie,
bezwarunkowo.

— Ufajcie pani słowu starego żołnierza, i wierne-
go sługi domu waszego — rzekł starzec kładąc rękę
na piersiach.

— O, ufam ci, ufam zupełnie; bo inaczej nie wy-
brałabym cię za współnika czynu ścisłej tajemnicy,
i zupełnego oddania się méj woli wymagającego.
Więc słuchaj Bogufale mego postanowienia i moich
rozkazów: Po dwóch napadach, po zniesieniu przez
Tatarów ostrokołu, uszkodzeniu wałów i murów,
wymordowaniu najwaleczniejszej części naszego ry-
cerstwa, mała nam już przed tatarem zostaje obrona;
posiłki nadejść im mogą; a dla nas, z jednego tylko
nieba nadzieja pomocy; wróci się niezawodnie San-
domierzowi okropny rok sześćdziesiąty, jeżeli siłą

na siłę potykać się zechcemy. Dłużej walczyć niepodobna, i ja, nie chcę na pewną śmierć narażać reszty walecznych, i całej miasta ludności. Co przyjdzie krajowi z naszej zguby? Bóg natchnieniem swoim powierzył mi obronę garstki swego ludu; ocalić mi go (należy. Siłą nie dokażę tego... udaję się więc do podstępu: pod Sandomierzem są obszerne lochy, w których kilka tysięcy ludu pomieścić się może....

— Schroni się do nich cała ludność Sandomierza — wtrącił Bogufał.

— O nie! — zawołała Halina — w te lochy wprowadzimy Tatarów.

— Pani! — wykrzyknął podziwem przejęty starzec — ta myśl godna największego z wodzów świata... lecz ileż to przewiduję trudności i przeszkód w jej wykonaniu!

— Wszystkie usunę.

— Ale któż znajdzie się z takim poświęceniem, coby razem z tą dziczą poświęcił się na śmierć pewną? kto, pytam?...

— Ja — odpowiedziała spokojnie bohater-kobieta, bo ją inaczej nie godzi się nazywać.

Starzec osłupiał; kilka chwil, to z niedowierzaniem, to z uwielbieniem na Halinę poglądał, nareszcie łzy rzuciły się z jego oczu, padł na kolana, i zawołał:

— Ty? ty pani? w kwiecie wieku, w twojem znaczeniu, z twoim rozumem? nie, to niepodobna! ty powinnaś żyć, żyć długo! Nie maszże wiernych sług swoich? nie maszże starego Bogufała, który chętnie

odda swe życie, niepotrzebne już nikomu, za ciebie, za miasto? Ja, ja pójdę do obozu Tatarów, ja ich zwiódę, ja wprowadzę w podziemie, i z nimi zginę.

— Niech Bóg nagrodzi twoje męztwo, zacny starcze! — z słodyczą rzekła Halina podnosząc go z ziemi — ale tak wielkiej ofiary, nie mogę przyjąć od ciebie; nie przewyższysz mię w odwadze, ani zemście: na mnie woła śmierć mego ojca, śmierć męża. Dziękuję Bogu, że mi podał tę myśl odwetowania strat doznanych, i skrócenia moich cierpień w szlachetnym i użytecznym zgonie. Ta myśl jest moją, ta myśl należy do mnie, ją wykonać powinnam!

— Miłościwa pani! — błagalnym głosem ozwał się Bogufał — pojrzyj na siwe włosy moje, pojrzyj na lice starościis zorane, pojrzyj na drżące me dłonie: komuż w świecie przydać się mogę w osmdziesiątym roku życia? Przeżyłem tyle ciosów, tyle nieszczęść; że bogosławionym się nazwę, gdy zakończę mój żywot poświęceniem, nie mającem nazwania na ziemi. Pozwól mi wykonać myśl twoją... sława jej, tobie należeć będzie.

— Bogufale! przysiągłeś mi posłuszeństwo — nakazująco rzekła Halina, nie chcąc dać sobie wydrzeć pierwszeństwa — nie do rady, lecz do wykonania moich wezwałam cię zamiarów. Szanuję, wielbię twe szlachetne uczucia, ale twych ofiar nie przyjmę; i ostatecznie ci oświadczam; że nikt, oprócz mnie samój, do Tatarów nie pójdzie. Teraz słuchaj, co mamy czynić: dzisiaj, skoro zmrok na ziemię opadać zacznie, pójdę do obozu pogan, stanę przed ich wodzem, i powiem: że Sandomierzanie pewni będąc,

iż za powtórzonym napadem, miasto zdobytem zostanie, opuścili je, i z wszystką własnością schronili się w podziemne lochy, zostawując dla nich puste domy i świątynie; powiem, że przez nienawiść zostawili mię jedną w całym mieście; zmyślę przeciw wam chęć zemsty; opiszę ogromną moc skarbów i dziewięć pod ziemię ukrytych, udam nawet miłość, szaloną miłość dla wodza pogan; wszystkich użyję sposobów, by ich wprowadzić w zasadzkę; a wtedy, gdy już wszyscy w loch wejdą Tatarzy, ty starcze, z pomocą kilku odważnych ludzi, zavalicie wyście, i wszyscy zginą. A gdyby Tatarzy przed udaniem się w podziemie, chcieli słońdrować miasto, powiem im, że pod każdym domem urządzone są ognie, w mgnieniu oka mające pochłonąć całe miasto, i zniszczyć wszystko, co na ziemi zostało; wreszcie tysiąca użyję podstępów, by udał się mój zamiar, by moich ziomków ocalić. Ty starcze, dla nadania pozorów prawdy mym słowom, natychmiast zrobisz w mieście poruszenie ludu, mające podobieństwo chronienia się do lochów; wiem, że każda czynność nasza ściśle z obozu pogan jest uważaną; zdziwią się oni, ujrzawszy gromady ludu w jedną stronę biegnące, i później słowom moim łacniej uwierzą. Na godzinę przed zachodem słońca, Witko zabroni wszystkim mieszkańcom wychodzenia z domów, palenia ogni i światła, całe miasto wyglądać ma jak bezludne, jak umarłe; księża nawet bez dzwonięcia udać się muszą na modlitwę. O zmroku, wybrani przez ciebie staną na miejscu, i ja działać zacznę. Ale przy największej spokojności, wszyscy czuwać

i do walki gotowi być mają. Oto masz starcze moje ostatnie rozkazy, od dokładnego spełnienia których zależy życie Sandomierzan; idź i działaj.

— Pani — ozwał się jeszcze Bogufał — zaklinam cię na imię Zbawiciela, pozwól bym cię zastąpił.... ty żyj dla swojej sławy i szczęścia.

— Moja sława....moje szczęście....pogrzebione już z mym Janem; czemuż nie mam pogrześć i biednej lepianki ciała? Nie, starcze; nie mię nie wzruszy, bym porzucić miała zamiar, pewno was ochronić mogący: Tybyś nie umiał zwieść nieprzyjaciela; tobie słów by zabrakło; mnie rozpacz i pragnienie krwawej zemsty, poszepną tysiące kłamstw i podstępów. Pomnij, że jedno słowo mniej trafne, jedno poruszenie niepewne, jedno wejście nawet, zdradzić może życie tysiąca braci. Ja będę umiała kłamać, kłamać pierwszy raz w życiu, dla ocalenia ziomków. Żegnaj cię; pamiętaj tylko rozkazy me jak najściślej wykonać.

Bogufał łzami oblał podaną sobie dłoń Kasztelanowej, i śpiesznie wyszedł. Halina, znowu krzyżem legła przed wizerunkiem Syna Boskiego, i głośno modliła się:

— „Chryste! Zbawicielu! któryś nas kochać bliźnich, i umierać za nich nauczył, do ciebie wznoszę modły moje, wysłuchaj je! Nie o siłę, nie o wytrwałość ducha upraszam Cię, ale o błogosławieństwo przedsięwzięciu mojemu. O! skłoń oblicze Twej łaski ku wiernemu Ci ludowi, ocal go wszechmocną opieką Swoją, nie wydaj go w ręce chciwego krwi poganina; dozwól, by na tych miejscach zagrożonych

dzisiaj zagłada, długo jeszcze brzniała cześć Twego imienia; by Twe świątynie nie zostały po raz trzeci świętokradczemi dłońmi splamione. Ocal Twój lud Panie! ocal go od zguby! ocal! — O Panie! mojemu usty modli się do Ciebie kilka tysięcy wyznawców krzyża; modlą się matki za niemowlętami, co chwałę Twą rozszerzać będą; modli się miasto całe: odwróć klęskę nad niem wiszącą; dozwól spełnić moje zamiary, pobłogosław i wspieraj je; bo bez Twojego przyzwolenia, bez Twojej opieki, nic dobrego stać się nie może!...

Po takiej modlitwie, Halina podniosła się z ziemi, długi na głowę zarzuciła welon, i udała się do katedry.

Świątynia była próżną ludu; tylko pośrodku nawy, pod wyniosłem, w pomroce cienia ginącym sklepieniem, samotna spoczywała trumna, jarzącym otoczona światłem; w prezbiterjum, kilku poważnych kapłanów, smutnym śpiewem nuciło psalmy żałobne za poległych w obronie, myśląc zapewne, czy też jutro zanucą po nich spółbracia. Na taki widok, nową boleścią ścisnęło się serce Haliny, i w przed-sionku upadła na kamienne tafle posadzki. Po krótkim rozmyślaniu, w którym nowych sił nabrała, podniosła się, i wolnym krokiem poszła ku zakrystji; siwiutki kapłan wyszedł na jej spotkanie.

— Ojciec — rzekła — udzielcie mi duchownej pomocy. — I wkrótce potem klęczała już przy konfesjonale, korząc się Bogu przed Jego namiestnikiem. Długo ciągnęła się spowiedź, aż nareszcie kapłan rozgrzeszył nieszczęśliwą ofiarę, i łzami zalany opu-

ścił konfessjonal; w pół godziny później, udzielił jej ś. wijatyku i ostatniego pomazania, Halina opuściła kościół.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kryjąc w czarnych chmurach wesołe swe oblicze. Tymczasem dzwon zamkowej wieży, budził w mieście trwogę powszechną: wszystek lud biegł ku zamkowi, trwożny, niepewny co czynić, co zajdzie. Przy dzwonie stał siwy Bogufał, dźwiękiem jego szerząc powszechne przerażenie; milczący na żadne tłumy nie odpowiadał pytania, smutnym tylko wzrokiem powodził do koła. Witko stanął przed nim, pytając o cel zebrania obywateli; Bogufał ukazał mu komnaty Kasztelanowej; Wójt udał się ku nim, i przy wejściu spotkał Halnę powracającą z katedry.

— Miłościwa pani — rzekł z pokornym ukłonem — zebrany lud oczekuje waszych rozkazów.

— Nie mam już żadnych do wydania — odrzekła z smętnym uśmiechem konającego — powierzyłam je Bogufałowi; baczcie tylko, aby we wszystkiem spełnionemi zostały. Bywaj zdrów zacny mężu — dodała wyciągając doń rękę; lecz Witko jej nie ujął, struchlały, drżący, poglądał na Kasztelanową; nareszcie zdołał przemówić:

— Jakto? chcecie nas opuścić? opuścić wtenczas, kiedy całą nadzieję ocalenia w jednej pokładamy? O miłościwa pani! dokończcie tak chwalebnie rozpoczętego dzieła, uratujcie swych podwładnych, bo któż was zastąpi? zginiemy bez was.

— Dobry wójcie — łagodnie odrzekła Halina — nie zarzucajcie mi w tej ważnej chwili niemęztwa;

nie sądźcie, abym zdolną była was opuścić; zginęłabym chętnie razem z wami, gdybym nie widziała nadziei ocalenia. Tak, ocalę was, bądźcie pownymi. A teraz, bywaj zdrów z acny mężu: zanieś pozdrowienie moje swój żonie, córce, i miastu całemu; zegniam cię.

I Witko nie pojmując znaczenia słów Kasztelanowej, pełen ufności w jej tajemne postanowienia, ucałował podaną sobie rękę, i wyszedł do ludu. Tam, Bogufał oddał mu rozkazy Kasztelanowej.

Noc zapadła. Zgromadzeni mieszkańcy kryjomo powracali do domów; posłuszni wydanym rozkazom, najgłębsze zachowują milczenie; żaden głos się nie rozlega, w żadnem oknie najmniejsze nie błyszczą światelko. Lecz w cieniach nocy, mileżkiem, około murów snują się gdzieniegdzie czarne postacie mieszczan opończami okrytych, i giną między wałami; czasem tylko cichy szczeł wydawały, nieostrożnie pod płaszczem niesione uzbrojenia. A przy pierwszym wale, tam gdzie zwałonych wznosi się stos kamieni, sześć czarnych cieni przytula się do wału: to wybrani do ukończenia wielkiego dzieła ocalenia.

W jednym z okien zamkowych, krwawe zajaśniało światło, z zapalonój rozchodzące się pochodni. Tam stała Halina, wybladła, w atła, lecz z spokojem i poświęceniem w spojrzeniu; czarna suknia otula jej szczupłą kibić; czarna zasłona od wierzchu głowy do ziemi sięga... to mieszkanka obcego świata, to nie ziemiska kobieta; przed nią stoi Bogufał, ostatnie łzy i prośby roniąc napróżno.

— Dość już, dość mój starcze; czas na mnie; ka-

żda chwila mi drogą... bywaj zdrów! — uściśnęła jego dłoń zgrzybiałą, ujęła pochodnię i wyszła.

Bogufał przeprowadził ją za bramę zamkową, raz jeszcze ucałował jej rękę, raz jeszcze prosił, lecz nie otrzymawszy odpowiedzi, z spuszczoną głową do towarzyszy powrócił. A tam, serce starca rozpaczą zawrzało; zalane łzami oczy, wlepił w oddalające się światło pochodni, które jak ognisty meteor jaśniało pośród nocnych ciemności. Lecz ogień maleje, maleje, nie wyrzuca już szerokich ramion płomienia, zdaje się tylko wielką gwiazdą zwolna toczącą się nad ziemią; już mniejszą, już maleńką, już tylko iskierką tak drobną, jak iskra po spalonym bieżąca papierze, nareszcie.... niknie.

Bogufał padł na stos kamieni.

I odtąd, na ziemi cicho było jak w trumnie; ciemno jak pod kamieniem grobowym; pusto jak po morowej zarazie. Wiatr tylko kłębując kurzawą, szyderczo poświstywał po bezludnych Sandomierza ulicach; lub złowrogi nietoperz nagiem trzepocząc skrzydłem, przelatywał z pustki do pustki.

Coż to?... wśród głuchej nocy, wśród nakazanej ciszy, wydiera się jakiś głos niesforny, przeraźliwy, drżący? i któż śmie przerywać powszechne milczenie, zdradzić życie tysiąca swych braci? i głos ten wychodzi z domu Witkonia? Wójta?...

O, wybaczcie, wybaczcie nieszczęśliwej obłąkanej; ona nie pojmuje co czyni. Patrzcie! w pośrodku ciasnej izby z zasłanionemi oknami, jedną oświeconej lampką, stoi ona: śmiertelna bladłość okrywa schudłe jej lica i ramiona; obłąkane oczy nie odwracanie wlepia przed siebie; rozrzucony włos niekształtną falą spada ku ziemi; jedną rękę konwulsyjnie przyciska do piersi, których rozdarta nie osłania suknia, a drugą wyciąga przed siebie, niby coś chwytając, i milczy. Nagle, dziki krzyk rozdziera jej usta, cofa się ze drzeniem, tuli do ściany i jęczy.

Matka z płaczem przemawia do biednej, ale ona nie rozumie jej głosu, nie słyszy go nawet; odpycha staruszkę, śmieje się wrzaskiem szaleństwa, i kręci w kółko.

W tej chwili drzwi się otwierają; w nich staje Witko; skrzacem wściekłością okiem rzuca po izbie, uderzeniem nogi gniecie lampę, porywa córkę, wiąże jej usta, i bezsilną z izby wynosi. Matka bieży za dzieckiem, chce krzyżeć, lecz Wójt zatyka jej usta i odtrąca daleko; stara upada na ziemię, wołając:

— Człowieku bez serca!... nieczłowieku, nieojcze! powróć mi dziecię! — nareszcie powstaje z trudnością i śpieszy za nimi.

Witko unosi córkę do piwnicy, składa na ziemi, i z wchodzącą w tej chwili matką, zatrzaska... a po tym czynie poświęcenia wszystkich rodzicielskich uczuć, potrzebie, znowu zaczyna być ojcem, pada na kolana, i gorzkimi zalewa się łzami.

— Boże! daruj mi — szepcze — lecz pierwsze miasto, niż dziecię... pierwiej byłem obywatelem, niż ojcem.

Dzikie jęki córki, dochodzą jego słuchu; zrywa się, zasłania uszy i biegnie; obawia się, by serce ojca nie wzięło góry nad świętą powinnością. Chwila jeszcze, i już daleko od domu, daleko od nieszczęśliwego dziecięcia; staje na przeznaczonem mu do strażowania miejscu, rzuca się na ziemię, i dusi ciężki oddech gwałtowną boleścią uciśnionych piersi. W uszach jego brzmią krzyki nieszczęsnej córki, oczy łzą zapływają, ale ani pomyśli o uwolnieniu z ciemnicy biednego dziecięcia.

Minęła północ.

Nagle, wzgórze Matki Bożej oblewają się światłem.

Czuwający po murach przylegają do ziemi, ściskając w dłoniach oręże; stanowcza nadeszła chwila; śmierć lub ocalenie niesie im ona.

Bogufał i sześciu odważnych towarzyszy, tłumiąc bicie niespokojnych serc, wlepiają oczy w niebo, krwawą oblaną luną: to odbicie światła buchającego z kilku tysięcy zapalonych pochodni.

Łuna posuwa się ku miastu, nareszcie nad samym zawisła zamkiem, i stopniowo, zwolna, gasnąć zaczyna. Słychać lekkie szczękanie oręży i stąpanie ludzi; jedna tylko ściana, dzieli zawziętych wrogów, wzajemnie podejść się usiłujących.

Nakoniec chód ustał... luna zagasła.

Wpadli w zasadzkę!

Waleczni rzucają się do stosu.... chwila..... jedna chwila.... Tatarzy! żegnajcie się z słońcem i życiem, już was pochłoneła ziemia na wieki! *)

Nazajutrz, o jakże piękne, jak świetne, wzniosło się słońce dla Sandomierza! Z pierwszym jego promieniem, dźwięk dzwonów wszystkich kościołów, oznajmił mieszkańcom, że są ocaleni. Okrzyk radości brzmi po całym mieście; powtarzają go okoliczne pagórki, lasy, powtarzają go brzegi starej Wisły. Tłumy ludu, to biegną do pustego obozu Tatarów, rozrywać zdobycze, kruszyć więzy jeńców, to gromadzą się w świątyniach Pana zastępów, obrońcy cierpiących, składać łzami dzięki za ocalenie. Brzmi organ, krzyżem leży lud przed ołtarzem Boga; wonne kadzideł dymy płyną ku niebu, kapłani dziękczynne nucą *Te deum*.

Po dniach trwogi i rozpacz, nadeszła chwila

*) O trzecim Tatarów na Sandomierz napadzie historycy pisząc, wzmiankują tylko, iż nieprzyjaciel męstwem załogi i mieszkańców odparty został; podanie zaś miejscowe, sposób obrony tej, tak objaśnia: iż mieszkańcy wprowadziwszy podstępem do lochów nieprzyjaciela, tam go zasypali gruzem. Musiał to być bezwątpienia pomniejszy oddział Tatarów, którzy wracając z trzeciego na Polskę napadu, pod Włodzimierzem samych brank dwadzieścia jeden tysięcy liczyli. Pisze to Długosz, a Bandtkie i inni historycy powtarzają.

szczęścia, upojenia; o! któż ją opisać potrafi? Na wszystkich licach radość rozlana, ze wszystkich oczu bije ona promieniami światła, i wszystkie porusza serca.... o nie! nie wszystkie. Po każdym zwycięstwie, do odgłosów uniesień, mieszają się jęki boleści. Pójdź i patrz:

W trumnie, dziewica: na białych jej skroniach, uwiędły, krwią zbryzgany wieniec róż białych spoczywa; przy niej klęczy i płacze stara matka, i mały braciszek ciche łyzy leje, i stoi stary ojciec z załamaniem rękoma, z suchem okiem ponuro w dziecię utkwionem; zdaje się, że czucie zeń ubiegło. Dla nich, drogo, zbyt drogo kupione zwycięstwo!

Patrz jeszcze: — w przysionku świątyni klęczy starzec; lecz nie modlitwy wyrazy z piersi jego płyną: jęki to, jęki rozpaczy.... i długo tam klęczał do kamiennego podobny posągu; westchnienia coraz to słabiej wychodziły z jego piersi, aż nakoniec zupełnie ucichły, i zimny trup starca, potoczył się po posadzce.....

To Boguś.



PRZEDSMIERTNA PIESN POETY.

O, niech na chwilę jeszcze, zanim świat porzucę,
 Uderzę w strunę lutni i pieśń wam zanucę;
 Niech, gdy mię już nie stanie, słowa tej piosenki
 Brzmia wam w sercu i duszy, jak szaleńca jęki,
 Co póty dmuchał w ogień co mu tlał w iskiecce,
 Aż go w wulkan zamienił; — a gdy nie miał siły
 Znieść mocy tych płomieni, co mu piekły serce,
 Własnymi sobie dłońmi wyrył dół mogiły!
 To może własne życie stanie wam przytomnie,
 Łzę współczucia wyciśnie, i wspomnienie o mnie.

O! chciałbym wam zanucić, i słodko i miło,
 Tak, jak Bogu samemu nuca aniołowie,
 Bo ja, co czułem w piersiach, że tam serce biło,
 Na przedsionku mogiły: w niebian tylko mowie
 Powinienem wam nucić; — lecz oddech ziemskości
 Choć się już z niej otrząsam, chociaż duch ulata
 W sfery świata innego na skrzydłach wieczności,
 Jeszcze myśli mi mrozi i niemi pomiata.

.....

O! jam się tak skalał. — Ale przeznaczenia
 Widać nie było dla mnie, dożyć tej godziny,
 W której dla bliźnich moich chwila odrodzenia
 Nadejdzie i nadziei piosenkę zakwili.
 Lecz na próżno narzekam, i dla mnie nadziei
 Gwiazdka jasno świeciła, choć śmił się jój promień;
 Choć się szczęście z rozpaczą plotło po kolei,
 Zawsze jednak do końca tlał w duszy jój płomień.
 O! i jam był szczęśliwy, choć to krótko było;
 Przecież raju na ziemi poznałem rokosze,
 Że dziś konającemu jeszcze wspomnę miło!
 Lecz później, jużem gorycz pił do dna po trosze.
 A choć po latach cierpień jasne słońce błysło,
 To na tak krótką chwilę, bo znów noc ponura
 Śmiła wszelkie nadzieje — oko łzami trysło,
 Na duszę kir żałoby padł jak czarna chmura.
 Z tej chmury piorun strzelił w zapaleńca głowę,
 Wysuszył źródło mamień, śmierć zadał marzeniu,
 I serce jeszcze młode rozdarł na połowę.

Umieram, lecz się cieszę, że żyć we wspomnieniu . . .
 Będę moich przyjaciół; bom nie przebiegł marnie . . .

Życia smutnego ścieszki; lecz ile sił miałem,
 To nasiona mych pojęć ziarneczko po ziarnie
 Gdzie mogłem, jak umiałem, skrzętnie zasiewałem.
 I jeszcze w chwili strasznej ludzę się nadzieją,
 Że kiedyś to nasiono w pęki się wyściele,
 A choć na mój takowe mogile dojrzeją,
 Nie żal! bo je spożyją bracia, przyjaciele!

Roman Baczyński.



DUCH ZŁEGO.

Gdy na zasłanem trupy bojowisku
Mężny bohater bez pomocy kona
Na mieczem własnym zasłanem łożysku;
Gdy kruk żarłoczny i niesyta wrona
Jeszcze bijące serce mu wyjada,
I krwawym dziobem rozciąga jelita;
Za miecz skruszony wątła ręka chwyta
Chąc przeciąć śmiercią męczarnie konania —
I śmierci woła — lecz próżne wołania —
Śmierć nie przychodzi — i ręka opada —
Ja się wtedy śmieję!

Kiedy szarańcza plony lata zetnie
Skwary wypalą i wybiją grady —
Gdy głód okropny rozliczne szkarady
Od przerażonej żrenicy odstrzela;
Gdy głodny ojciec wśród dzieci nieletnie
Zbrodnią nabyty kęs chleba rozdziela —
Lecz gdy i tego dłużej nie wystarcza —
Gdy już i zbrodnia chleba nie dostarcza —
Pierś kamienieje — oko łez nie leje,
Wznosi je w niebo, lecz traci nadzieję —
Ja się wtedy śmieję!

Kiedy na skrzydłach śmierci i zagłady
 Zawionie dzuma — zatruję powietrze —
 Wyludni grody i możne osady,
 I piętno życia z pozostałych zetrze —
 Kiedy do łoża konającej matki
 Przypelza dziecię — tuli się do łona
 Pijąc roskosze ze śmierci kielicha —
 Raptem okropną myślą uderzona
 Zbiera nieszczęsna sił zgasłych ostatki,
 I lube dziecię z rozpaczą odpycha —
 Ja się wtedy śmieję!

Gdy na spienionym przybiegłszy rumaku
 Po długich bojach, przed domowe progi —
 Nie strząśłszy pyłu — nie zdjawszy szyszaku,
 Z nagłym pośpiechem do ojców zagrody,
 Tęskniąc co prędzej ujrzeć przedmiot drogi,
 Mężny i wierny wpada rycerz młody —
 W obcych uściskach ujrzy lubą żonę —
 Ujrzy jak pieszczot innemu udziela —
 Marzeń i szczęścia świątynię zburzoną —
 Stanie jak posąg — jak posąg mściciela —
 Ja się wtedy śmieję!

Chciwość niesyta, duma nieugięta
 W żelaznem sercu z dzieciństwa poczęta —
 Niehamownemi żądzami sycona,
 Wszystko zagarnie w olbrzymie ramiona —
 I duszę wielką, niezłomną, przetwarza
 W pogrom ludzkości, dzikiego zbrodniarza —
 Który niesiony namiętności rzeką

Gdy nie nie zwraca ten zapal młodzieńczy,
 Cofać zapóźno — wracać za daleko —
 Szereg swych zbrodni ojcobójstwem wieńczy —
 — Ja się wtedy śmieję!

Gdy w łzach i bólach niemowlę się rodzi,
 I pierwszym głosem, a głosem cierpienia
 Pierwszy znak daje swojego istnienia,
 A złe natychmiast sjęcią go ogrodzi;
 I los wyroki niecofne ogłasza:
 Cierpień i cierpień odwieczne koleje,
 Marzenia zgasłe — zwiedzione nadzieje
 Gdzie niegdzie kwiatek rokoszy okrasza —
 Wyrok niezmienny gdy huknie okrzykiem:
 Będziesz mordercą, albo męczennikiem —
 — Ja się wtedy śmieję!

U stóp ołtarza kiedy klęknie para —
 I z rozrzewnieniem prosi u kościoła
 By serc ich związek poświęciła wiara —
 Wtem nagle trąba na boje zawoła —
 Mężna kochanka wyjazdu nie zwleka —
 Sama mu oręż święcony podaje —
 Z nadzieją w sercu, że łą w oku czeka —
 Wracają — zbili — na tarczach niesione
 Wszystkich poprzedza ciało krwią zbroczone —
 Bieży — i pada — i ducha oddaje —
 — Ja się wtedy śmieję!

Lecz za nic — za nic dla mnie wszelka radość —
 Za nic — przy łożu śmiertelnem zbrodniarza ...

Patrzcie: widzicie twarzy jego bladość —
 Każden ból śmierci pamięć mu rozżarza —
 I śród popiołu sumienia zgaszone
 Na jaw pamięci wygrzebuje zbrodnie —
 Druga go pali — nim pierwsza ochłodnie —
 Oko obłądne — usta wykrzywione —
 Głowa obwisła — złamane ramiona —
 Rzuca się — krzyczy — bluźni — chrapie — kona —
 Wtedy to — wtedy — wtedy ja się śmieję!

Ale u łoża męznego pielgrzyma
 Co śmiałem czołem łamał gromy losu —
 Gdy głos anioła kres cierpień obwieści —
 I kiedy łańcuch co go tutaj trzyma
 Brzękiem zerwania już, już zaszeleści —
 Mężnie wygląda ostatniego ciosu,
 Co ciało zgoi, i uwolni duszę —
 Wtenczas ja cierpię piekielną katuszę:
 Gdy z uderzeniem godziny skonania
 Kończy się zakres mego panowania —
 I straszna moja piekielna potęga
 Za cnotliwego życie nie dosięga —
 Ja wtedy płacę z wściekłości!

Kielce — 1839 r. —



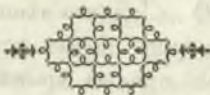
DO FAJKI

Czarne i gęste dymu zawoje
 Wiją się, bledną i w górze giną;
 Tak i młodości ułudzeń roje
 Bledną powoli — wreszcie przemina.

O fajko moja! źródło rokoszy!
 Twój urok nieraz koi cierpienia;
 Twój urok nieraz boleść mi płoszy;
 W dymu obłokach topię wspomnienia
 Co mię cofają w przeszłości chwile;
 Kiedy w uludę jeszcze bogaty
 Na wszystkim patrzył z rokoszą, mile,
 Wszystko w różowe stroiłem szaty;
 O szczęściu marzył, w miłość wierzyłem,
 W stałość przyjaźni, w cnotę kobiety;
 O! biedny jestem! — szalony byłem!
 Poznałem wkrótce obu zalety:
 Przyjaźń — to pierwsze serca dążenie,
 Z jakimż zapalem w duszy żywiłem;
 Lecz tem dotkliwsze było zbudzenie,
 Im większą wiarę w ten sen łączyłem.
 A miłość niewiast — tak zmienna, płocha!
 To liść co goni z wiatru polotem;

Dziś tobą gardzi — jutro cię kocha —
 I bez przyczyny znów rzuca potem.
 Lecz ty mi fajko wiernąś jest stale —
 Bądź odtąd marzeń jedynym celem,
 A twoje czarne, dymowe fale
 Moją kochanką i przyjacielem.
 Ta mię nie zdradzi, z nią ja pogwarzyć
 Mogę dowoli, zawsze i wszędzie,
 Mogę szalone pomysły marzyć,
 Ona z nich pewno szydzić nie będzie.

Więc moja fajko, źródło pociechy,
 Otocz mię twojem dymowem kołem,
 Niech na twój widok zstąpią uśmiechy,
 Bom z tobą szczęśliw, z tobą wesołym!



(Dzień toba kładzi — jako cie kładzi —
 I bez przyczyny znów znova potem.
 I tak ty mi takto wierzysz jest stałe —
 Bada ostrożny murek jedynym cielem.
 A twoje czarne, gładkie takie
 Moje kochanka i przyjeleń
 Ta mi nie zdadzi, z nią ja pogwarzyć
 Mogę dowolnie, zawsze i wszędzie.
 Mógł szalone-pomysł w marzyć
 Ona x nich pewno szadzi nie będzie.
 Właśnie i tak, trochę kładzi i tak
 Otarz mi twojem gładkiem kolenem.
 Niech na twoj widok szadzi uśmiechnięty
 Bona z toba szadziw, z toba wesołym i tak



Właśnie i tak, trochę kładzi i tak
 Otarz mi twojem gładkiem kolenem.
 Niech na twoj widok szadzi uśmiechnięty
 Bona z toba szadziw, z toba wesołym i tak
 Właśnie i tak, trochę kładzi i tak
 Otarz mi twojem gładkiem kolenem.
 Niech na twoj widok szadzi uśmiechnięty
 Bona z toba szadziw, z toba wesołym i tak

DZIENNIK ZARAŻONEGO DŻUMĄ.

Z PISM MARLINSKIEGO.

Achalcych.

O, pozwólcie mi pisać krwią moją własną, to mi ulży, to mnie może uratuje!.... Okrutni! nie słuchają mnie, nie słyszą nawet; wszyscy odemnie stronią, uciekają, zostawiają samego, samego z pożerającą mnie dżumą. Tylko śmierć u nóg mych siedząc, bacznie wpatruje się we mnie pustemi swemi oczyma, pogląda na mnie tak pochlebnie.... krwi chciwy wzrok kani na polu walki, znośniejszym jest od jej uśmiechu!....

Tak, pięknym jest świat, zachwycającem życie, słodką miłość, o jak słodką!.... Gdybym mógł choć raz pojrzeć na ten świat, kiedy jest w całym swem świetle i barwie; gdybym mógł jeszcze upoić się szczęściem bytu; gdyby choć jedna kropla boskiej rosy miłości, spłynęła na moje spalone serce! Pró-

żne modlitwy! stracone nadzieje! Technienie śmierci krąży już we mnie, obiega z krwią.... niech się więc stanie!

Czuję, że rozum mię zdradza; że ręka wypowiada posłuszeństwo woli.... jednakże, będę pisać, pisać dopóki zdołam.... to mię rozrywa, zajmuje.... wreszcie, ja chcę, by nawet ostatnie chwile zgonu mego, komuś użytecznymi były. Niech sobie lekarze jak chcą rozbierają uczucia i myśli zarażonego dzumą, odgadują przyczyny dziwnych jego marzeń.... i dla czegoż nie? być może, że sztuka ich zyska co na tem; ja będę dziejopisem cierpień moich.

Na długo przedtem, zanim choroba objawiła się we mnie, znikła moja wesołość duszy; nagła trwoga i smutek bez przyczyny, nieraz wstrząsały mem sercem; oczy, błędziły w wichrach mgły, to gwiazd; rażące dźwięki przeszywały słuch mój; w żyły me spadały krople waru; lecz to wszystko zdarzało się tak rzadko, i tak szybko mijało, że po chwili sądziłem, iż to tylko przywidzeniem było. I z wolna, jakieś ołowiane uczucie ciężaru zaczęło mię pokonywać.... cicha boleść ścisnęła członki, i poczęła wysysać serce; myśl: jam rażony — przeszła mój mózg jak raca kongrewska, i szarpała, gryzła, paliła mi głowę; nieugaszone niczem jój skry, jak ziarna padały w serce, i wyrosły już w piekielne ognie.

Czuję niekiedy jak płuca me pękają, i piorunami strzelają w żyły; czuję jak wre i szumi krew, nakształt roztopionej miedzi; to znów jak potok nurtuje po żyłach, to cedzi się kropla po kropli; i śmierć,

chłodną, kościstą swą dłonią, usiłuje zamknąć upor-
ne oczy. O! to są okropne chwile!

I znowu odżywam dla nowych cierpień! Najmniej-
szy szum, zaledwie dający się dosłyszeć dźwięk z ze-
wnątrz, rozdziera błony mych uszu; zdaje się, że ca-
łe me ciało w słuch przechodzi; że wszystkie nerwy
zменяją się w drżące struny: które od najłżejszego
wiatru podmuchu, okropnie dźwięczą, biczą, szar-
pią mię! Drzenie ich, sypie na mnie jakoby z roz-
gnionego drutu palące iskry; piekielne ich brzmienia
oblewają ogniem me ciało, przeszywają duszę jak
strzały jadowite; rwą ją niby kleszczami! to jęczą
westchnieniem zgonu miłości, to przekleństwem
matki, to świszczą jak uderzenia knuta!... I czegoż
jeszcze nie słyszę w tych strasznych akordach mę-
czarni! to śmiech rozbójniczej uczt, to jęki zarzyna-
nych, to zgrzytanie zębów piekła, to wycie wilków
nad zdobyczą, to wrzaski czartów!... A potem, zno-
wu ucicha wszystko, wszystko pogrąża się w mar-
twość... napróżno słuch pragnie uchwycić choć
najłżejszy oddech wśród ponurej ciszy... nie ma dźwię-
ku, nie ma ruchu! Tylko niekiedy, zdaje się, że coś,
niby czerw' grobowy, pełza na mnie; niby podziemna
kropla, spada przez sklepienie mogiły!... i to trwa
dopóty, póki skrzypnięcie drzwiami, lub głos stra-
żującego na wałach żołnierza, nie wpije znowu zę-
bów piły w serce moje!

Za to w chwilach odpływu boleści, w chwilach
miłego osłabienia, którem mię czasami obdarza na-
tura za długie godziny nieznośnych, niewypowie-
dzianych męczarni, słyszę, jak rosną we mnie ciche

dźwięki, z początku oderwanie, zdaleka, niby gwiazdy na mglistem niebie; a potem, niby zlewają się w elektryczne strumienie, śmiałe akordy, i wtedy z rozkoszą przysłuchuję się harmonijnemu uderzaniu mego serca. Zdaje się, że skrzydło serafina wydobywa z tysiąca jego strun nadziemskie pieśni; oddech mój, brzmi jak flet czarnoksięski, jak wietrzyk igrający z trzcina morza!.... tysiące głosów nuca w piersi mojej.... słucham wtedy równego mój krwi przepływu: a ona, to szumi jak źródło ze skały spadające, to bryzga niby harmonja deszczu, to szeleści jak morze, kiedy zasypia wśród kamieni, szepcząc wieczorną modlitwę.

Tak, krew moja, to moje życie; ja sam rozpływam się niby w ogromną rzekę; a w niej błyszczy świeża brzegów zieloność, lazur niebios, oddycham jak ciche kołysanie się fal; piję światło; — jam cały ciszą i jasnością; — słyszę niekiedy i twój głos anielski o luba!.... i wtedy dusza moja, chwyta go tak chciwie, jak piaski Liwji rosę niebieską, rozpływa się jak kwiatek nocy.

Lecz krótkie, krótkie te chwile szczęścia; tak rozkoszne jak pałace Doży wśród dwóch kaźni: ołowiów i studni *); to chwilowa radość latającej ryby, w głębinach i w powietrzu zdobywszy wrogów.

I nagle, zda mi się, że moje piersi, moją głowę rozsadza wulkan; całe me ciało rośnie w olbrzymie, niezmierzone kształty; niby oddzielam się od mój istoty, wchodzę w samego siebie, i jak cień Danta

*) Więzienia w Wenecji.

błądę w zmroku labiryntu mojego serca i mózgu; obracam zdumione wejrzenie do koła;... i widzę grę wnętrzości, patrzę na proces krwi, śledzę dziwny gordyjski węzeł ciała i duszy, w ubóstwie języka, nazywany przez nas: *serce*. Pomysły i dumy, marzenia i wspomnienia, bojaźń i nadzieje, słowem wszystko z czego utkana terażniejszość, przeszłość i przyszłość, co stanowi moralne życie człowieka, wszystko to przedstawiało mi się w obrazach, w jakich poczyna się i jawi w umyśle; w obrazach dziwnych, niedorzecznych, cudownych, niekiedy potwornych. Jak łańcuch zwiłkany, jak las połamany przez burzę, jak świat nagłym zastygły mrozem, leżały w tem osobliwym, bez granic archiwum, moje nawyknięcia, moje wspomnienia; to spowite kwiatami, niewinne jak dzieci, to opasane wężami; to opalone piorunem, jak dręczone Tytany. To były pałace snu opisane przez Wirgiliusza, to raj Milтона i piekło Danta razem zmieszane, porzucone, jak niedojrzałe marzenia, na pół zrodzone dumania. I myśli dawno zapomniane, lub jeszcze nigdy nie poczęte w mej duszy, leżały rzędem jak diwy, śpiące snem zaczarowanym, pod osłoną zmroku. I wszystko co czytałem, wszystko czego uczyłem się, com poznał, co widziałem w życiu, przesuwało się jak milczące obrazy; wszystko to, spełniało się jak na jawie: razem i oddzielnie; odbijając w około ziemię, powietrze, gmachy, i okolice miejsc, gdzie się to działo. Świat podróżników, historyków, poetów, przed oczyma duszy zieleniał, kwitnął wyobraźnią, drżał namiętnościami mojemi. Byłem rówiennikiem wszystkich

lat, mieszkańcem wszystkich klimatów, obywatelem wszystkich narodów. Nie dosyć: — przejęty duchem geologii wnikalem w ogrom chaosu, w tajemniczą stworzenia epokę; zdawało mi się, że szalałem wraz z oceanem, z którym walczyła młoda ziemia, by wydrzeć się z wilgotnych jego objęć, i odetchnąć swobodą. Widziałem jak tysiączne rozczyny słojami obsiadały jądro kuli ziemskiej; widziałem jak grzbieoty gór wyrzucane przez wulkany, w mgnieniu oka wznosiły się pod niebiosa, i wrząca lava zastygła, grzebiąc w swem łonie wieczyste lasy, i odbierając ład morzu.... Jak całe morza uniesione w obłoki, po długich wiekach spadały, burząc, unosząc gromady skał w nieskończoną przestrzeń!

I tak, ja muszę umrzeć — umrzeć nieodzownie, bez sławy.... w kwiecie lat.... w rozkwicie moich nadziei! To okropnie! — I ta ręka, dla której ciężka szabla była tak lekką jak pióro, — ta ręka, którą rzucałem na kolana bawołu, za jeden dzień tylko, nie będzie już mieć siły zrzucić grobowego czerwia; i tę pełną pierś, na której mogła spoczywać głowa uwielbianej kobiety, igrając marzeniami roskoszy, — tę pierś, przywali deska grobowa; i serce moje — moje serce! czyliż i ono w proch się rozsypie? czyliż ożywiający je płomień zagaśnie w zgniłiznie? czyliż robaki pożrą jego niebieskie uczucia?.... Czyliż gwóźdz trumny może przykuć duch mój do grobu, a mogiła na wieki zanitować me myśli? Czyliż moja głowa, ten pole-ocean po którym pływały myśli, będzie ich grobem, a świat nie usłyszy wzniosłych pieśni, brzmiających tylko dla mego słuchu, a

ludzie, nie będąż naśladować świętych słów moich, które tak długo chowałem, żywiłem i pieściłem?.... Nierozsądny, występny jestem! — dla tegoż obdarzony byłem talentem, bym go zakopał w ziemię, w pierś moją? — bo ja już ziemią! — I już to, za ziemskie błyskotki, oddałem gwiazdy niebios; sprzedałem pierworodztwo za soczewicę, na kruche, gliniane naczynie, zmieniłem skarb niebios!... O, gnij, gnij ciało moje, rozplyń się w błoto me serce, przepadnij zarodku méj sławy, zatrzej się na piasku kresłone imie moje.... lecz ożyjcie wy, moje utwory, dzieci méj fantazji!.... O.... dajcie mi życia na rok, choć na pół roku, bym mógł się przełożyć na język ludziom zrozumiały, przelać duszę, brzmiącą narodową mową! A potem, niech umrę z ostatnią zgłoską, umrę szczęśliwy, bo dopełnię wtedy mego posłannictwa, spełnię zadanie naznaczone mi przez Opatrzność; zasnę słodko snem grobowym, uspokoję się, a wieczność będzie dla mnie dniem sabatu!....

Rok, pół roku.... zuchwały! Pół wieku by nie stało na wypowiedzenie tego wszystkiego, co jak wichur krąży w mojej wyobraźni, na przepisaniu literami dumań zsypanych w skarbnicę umysłu, na wydobycie rud skrytych w łonie duszy! I ileż lat poświęcić się winnych wzniosłej pracy, ukradłem samemu sobie, rzuciłem w błoto ziemi, i władając całym, wspaniałym, nowym w piersiach mych światem, goniłem za mydłaniami bańkami tego świata!.... Nosząc w sobie świątynię, padałem na kolana przed glinianymi bałwanami; mówiłem: dość czasu jutro, — i przyszło to jutro: — nicość po obudwu stronach grobu.

Późny żal! próżne lzy! — Płyną lecz nie unoszą
boleści!

Wołam, przyzywam — i nikt nie przychodzi, nikt
mnie nie słucha! Nikt, nikt nie odgadnie mych myśli,
nikt ich nie powtórzy! Na ziemi, nie ma echa mojej
duszy, nie będzie jej śladu! Umrę, umrę cały, ja,
który mogłem myśl wyobraźni, marzenie snu oblec
życiem... a życie, ani jedną chwilą nie obdarzy tego,
co mógł rzec do prochu: *wstań i chodź!*

Homerze, Dante, Miltonie, Szekspirze, Bajronie,
Gete, świetny zbiorze gwiazd wieńczących człowie-
czeństwo! olbrzymy, w których bytność świat kie-
dys nie uwierzy! czuję że dumy moje mogły być ró-
wnemi waszym; lecz jeżeli to powiem lekarzowi, je-
dynój istocie która mię nawiedza, on, wstrzyma
uśmiech tylko przez litość, pokiwa głową, i powie:
„choroba zmienia się w gorączkę“ — nazwie mię
biednym, mnie zagniecionego bogactwy, mnie, jak
Midasa umierającego z głodu na górach złota! To
męczarnia, okropna męczarnia!....

Tak, ogromny, nieobjęty poemat zamyslałem napi-
sać: *Człowieczeństwo*, byłoby jego nazwaniem, czło-
wieczeństwo we wszystkich wiekach i przemianach.
Jabym w tym poemacie złączył niebo i ziemię, otrząsł-
bym z prochu wieki, wybadalbym los z nieodgadnio-
nych dotąd jego wyroków; zapaliłbym nad trupem
przeszłości płomień życia, piorunami oświeciłbym
przyszłość, i w obłokach, w oceanie, w ziemi, peł-
nemi dłońmi zasiałbym ziarna niesłychanych, nie-
znanych nikomu dźwięków, myśli i uczuć — ziarna
tak słodkie jak rosa raju, jak uśmiech niebios! Peł-

nemi dłońmi zasiałbym ziemię gwiazdami niebios, zasiałbym niebo myślami ziemi, i tęczę połączyłbym niebo i ziemię. O czasie, czasie! daj mi życie; za każdą kruszynę, zapłacę ci nieocenioną perłą!...

Jak Dante, wzrokiem moim rozbiłbym wrota piekielne; jak Milton, wleciałbym do podnóża tronu Najwyższego, i wniknąłbym w tajemnicze ogrody raju; jak Szekspir, rozebrałbym, zbadał serce ludzkie, i pokazał je na dłoni, skrwawione, drżące!... Wszystko co było, co się stało, w rzeczywistości, w księgach, w duszy i woli, na miedzi i marmurze, w dźwiękach i spojrzeniach; historją i bajkę, wiarę i zabobony, romans i dramę, naukę i błędy, wszystko to, stopiłbym w ogromnym piecu pracy, wszystkobyłbym pożarł, wessał jak morze, i czystą parą posłałbym ku niebu; albo przerobione, oczyszczone, skryształizowałbym w mem łonie!...

O tak, mój dramat przyjąłby na swoje ręce człowieczeństwo, zaledwie powite przez naturę na łonie Indyj. Tam materyalizm zagłuszył rozum, tam natura królową, tam los bóstwem; tam wszystko wspańiałe i silne; wszystko, oprócz człowieka; on tam jak dziecię ssie mleko z piersi ziemi, jak płochy młodzian namiętnemi pocałunki pożera jój łono, i wiecznie drzemie w zniewieściałości. Słońce rodzi dłań niezasiane żniwa, ale w nie miesza jadowite rośliny; wydobywa chmury woni i jadowitych wyziewów; tam pod każdym kwiatkiem syczy wąż, pod każdym kamieniem czają się salangi i skorpiony; zabijający cień manzenilli wabi swoim zdradzieckim chłodem; krokodyl płacze jak dziecko w strumieniach

rzeki, i tygrys zaczajony w ogromnych lasach bambusu, czaluje na zdobycze.

I w ten to świat potwornych bożków i dziwacznych wymysłów, w ten świat wrzący życiem i śmiercią, rzuciłbym ja aktorów mego dzieła; ludzi bez woli, bez rozsądku, ale z wyobraźnią, z niepowściągnionemi namiętnościami, z krwią gorętszą niż klimat.

Krew, płynie jak ddze z obłoków; zbrojne słonie depczą ludzi jak mrowisko, a ludzie, cieszą się, śmieją, gdy przed nimi, przy ich biesiadzie, tysiące katów wyrывa języki, wydiera oczy niewolnikom, i gubi ich w powolnych, niesłychanych męczarniach; okrutniejsi nad tygrysów, cheiwi krwi nad ludojadów Ameryki, zabijających bliźniego przynajmniej dla zaspokojenia głodu, lub smaku; te nababy, z cierpien człowieka robią sobie igraszkę, uciechę! — I w takich to ludziach objawię miłość; miłość ziemską, lecz namiętną, rokoszną jak klimat Indyj, miłość palącą jak słońce tameczne, płaczącą jak krokodyl, ryczącą jak lew, — miłość lubieżną, i nielitościwą jak klimat Indyj!....

A dalej człowiek ucieka z Indyj, porzuca czarowne, mordercze objęcia téj piękności, porzuca sturęczne i trójgłowe swe bożyszcza; po drodze traci symbola i podania o nich, lecz jeszcze unosi z sobą resztki łańcucha fatalizmu. Spoczywa w Persji: zasypia na kwiatach; lecz nie dla tego, że nie może czuć, lecz dla tego, że lubi spać. Niepewność przyszłości zabija jego działalność, a bogactwa darów natury, pieszczą jego lenistwo. I słusznie; bo

dla czegożby dla kogo pracował, o co walczył? Mieszkańcy gór, spółnocnieni, jeżeli tak nazwać ich można, okrzepli chłodem skał, nadejdą jutro, i szablami zetną jego zboża; Szach zabierze mu do haremu córkę, wyszle syna na wojnę; silniejszy sąsiad zagrabi mu dom, lub pochłonie go trzęsienie ziemi; zawionie dzuma, i w jedną chwilę uniesie jego samego! Tam człowiek czuje już w sobie wolę, lecz nie może jej objawić; uwielbia już nie naturę, lecz jeszcze siły natury; odrzuca bałwany, a czci ogień; płaszczy się, pełza przed satrapą, kłamie, pochlebia, truje, dla tego, że to wszystko lżejszem jest niż praca; bo to wszystko dostarczyć mu może na jeden dzień roskoszy.

Mądrość i męstwo Cyrusów — to bajka wymyślona dla zawstydzenia Greków; niegodziwość Bellusa, nienasycona lubieżność Semiramidy, przesycenie Sardanapala, szalona odwaga Kserksesa: — oto prawda! oto wschodni władcy, oto typ ich polityki, ich obyczajów! Co za obfite pole dla dramy!



WYJĄTEK

Z POEMATU LORDA BIRONA, DZIEWICA Z ABIDOS.

przekład Wojciecha z Boguchwałowic.

PIEŚŃ I.

1.

Znacież krainę w której mirt rośnie?
Mirt, cyprys, te godła sławy?
Gdzie przyrodzenie w ciągłej jest wiosnie,
Gdzie wiecznie kwitną murawy?
Kędy turkawka przez czułe jęki
Duszę do smutku zniewala,
I gdzie sęp krwawy, przez mordy, męki,
Łatwo do zbrodni zapala?
Gdzie sliczne cedrów wznastając drzewa
Do niebios wznoszą ramiona,

Gdzie wonny zefir ciągle powiewa,
 Wino najśłodsze ma grona?
 Lazurowego nigdy sklepienia
 Chmurka nie zaćmi płaczliwa,
 Słowik wdzięcznego nie kończy pienia,
 Balsamy rodzi oliwa!
 Tam woniejące kwitną cytryny,
 Tam róża, kwiatów ozdoba,
 Tam więcej modre, morskie głębiny,
 Więcej się wszystko podoba.
 A was! któż uczyć potrafi godnie?
 Niebianów warte pieszczoty,
 Zbiorze roskoszy! dziewice wschodnie!
 Świeższe, niż wonnych róż sploty.

Boską jest cała kraina wschodu,
 Boskie i jej wszystkie zalety!
 Z wyjątkiem tylko... jednego rodu...
 Tym jest... ród człeka... niestety!
 Bo jak kochanków, w chwili rozstania
 Wzrok pełen smutku, boleści:
 Tak ludów wschodnich dawne podania
 Straszne są, i ich powieści.

III.

Gijafir siedzi w sali dywanu,
 Sędziwe zachmurzył czoło;
 Nikt nie śmie przerwać dumania panu;
 Tłum niewolników w okolo —

Wyraźnie starca myśl jakaś tłoczy:
 Ponuro patrzy i wzdycha,
 Zwierciadłem duszy zwykle są oczy,
 Z tych błyska zazdrość i pycha.

III.

Skinął — w służalcach postrach się wzmaga,
 Chociaż nie słyszą wyrazów.
 „Precz wszyscy! — krzyknął — sam Kislar-Aga
 Dalszych niech czeka rozkazów“.
 Zaledwie wyrzekł, już pusta sala;
 Syn tylko Selim zostaje,
 Rzezaniec czeka rozkazow zdala,
 Pasza w tych słowach je daje:
 „Harrunnie! silne podwoić strażę,
 Bacność powiekszyć głęboką;
 Natychmiast głowę uciąć ci każę,
 Gdy czyj ślad dostrzeże oko.
 Najdroższe sercu mojemu dziecie,
 Zulejkę wydaję lubą,
 Za kogo? wnet się wszyscy dowiedcie;
 Nową się stanie mi chlubą.
 Biegnij co prędzej przed jej oblicze,
 Czy jest wesola, czy zdrowa?
 Oświadc: że widzieć ją sobie zyczę,
 Lecz więcej nie mów i słowa!“
 Jeszcze nie skończył, Selim zmieszany
 W najpokorniejszej postawie,

(Zal go ogarnął dotąd nieznanym)
 Mówi te słowa, drżąc prawie:
 „Najlepszy ojciec! najlepszy panie!
 Może tem będzie strapiona;
 Niech gniew twój na mnie padnie, nie na nią,
 Jam temu winien, nie ona!
 Czas był rokoszny: przed słońca wstaniem
 Cisza na niebie i morzu,
 Wędrowiec tylko, lub starzec spaniem
 Mógł się pokrzepiać na łożu;
 Jam powstał z mego, i do haremu
 Pobiegłem natychmiast wczesnie,
 Nikt tam wstępowi nie wzbraniał memu,
 Straż nawet została we śnie.
 Ledwie ostatnie bramy przebyłem,
 Wszedłem w Zulejki podwoje,
 Ze snu słodkiego ją przebudziłem,
 Poszliśmy w ogród oboje.
 Ileż czuliśmy wtedy uroku
 Przechodząc cyprysów gaje!
 Wszystko, co tylko podpada oku
 Szczęściem oddychać się zdaje:
 Tu, w lezkach rosy kąpią się trawki,
 Tam, wdzięcznie szumi krynica,
 Owdzie, miłosne jęczą turkawki,
 Słowik śpiewaniem zachwyca....“
 — „Zamilcz! nikczemny służalca synie!
 Starzec się ciebie rumieni.
 Zamiast w rycerskim ćwiczyć się czynie,
 Ty szmeru słuchasz strumieni!

Podła krew twoje wypełnia żyły,
 Piętnem cechujesz się greckiem!
 Czas już, byś mężkiej doświadczał siły,
 Abyś przestał być dzieckiem.
 Ot, wkrótce może wojska z zachodu
 Doświadczą krwawej tu broni;
 Gdy runą mury naszego grodu,
 Któż go piersiami zasłoni?
 Kto dzielny opór spiesznie im stawi?
 Kto się nas pomści? — niestety!
 Kto w krwi niewiernych oręż swój splawi?
 Pewnie, ah pewnie, że nie ty!
 Harrunnie! spełnij dane rozkazy,
 Spełnij gorliwie, dokładnie!
 Wiesz, że nie lubię mówić dwa razy,
 Inaczej głowa ci spadnie!“

BY.

Selim jak zgubnym przeszyty grotem
 Stał, żadnej nie czyniąc skargi,
 Z miejsca się kroku nie ruszył potem
 Ni wyraz spłynął mu z wargi.
 Myśl go okropna trapi, i w duchu
 Nią jest przejęty jedynie;
 Wyrazy ojca ciągle brzmią w uchu:
 „Nikczemny! służalca synie!“
 Stoi jak wryty, i wzrokiem toczy,
 Myśl się nim straszna wdziera,

Śmiało starcowi spogląda w oczy,
 Który z obawą poziera.
 Komuż więc — duma — zawdzięczać muszę,
 Kto mi to życie darował?
 Niechże wiem przecie, kto te katusze
 Dla nieszczęsnego zgotował?
 Tak groźny wzrokiem, jak lew w pustyni
 Gdy dziryd bok mu rozkrwawia;
 Widzi to Pasza, zręczny krok czyni
 I tak do niego przemawia.
 „Zbliż się Selimie! jeszcześ zbyt młody
 Abyś z odwagi już sływał,
 Możesz dać męstwa świetne dowody,
 Czas dla cię jeszcze nie minął.“
 Tak mówi starzec, i zwraca oczy
 Na wybladłego Selima,
 Który ponuro wzrok tylko toczy,
 Zda się, że czucia w nim nie ma.
 Widzi to Pasza, i mimowolny
 Dreszcz członki jego narusza,
 Lecz mówi w sobie: „Zbyt jest niezdolny,
 Zbyt jeszcze śpiąca to dusza!
 O, gdyby nie to! całej pilności
 Użyćby trzeba koniecznie,
 Aby nie odgadł owych skrytości,
 Które jak w grobie śpią wiecznie.
 Oh!... ale słyszę, że już nadchodzi
 Dziecię mem sercem wybrane,
 Co tyle uczuć w tej duszy rodzi,
 Droższe nad wszystko! kochane!....

Piękna: jak bostwo strojne w niewinności skrzydła,
 Któremu już pochlebstwo ziemskie stawia sidła;
 Luba: jak sen, strapione oczy kiedy skleja;
 Świetna: jak szczęśliwego kochanka nadzieja;
 Swobodna: jak ta chwila w której mija trwoga;
 Niewinna: jak modlitwa dziecięcia do Boga.
 Jój postać wprawia w urok, wejrzenie zachwyca,
 Oto dumnego Paszy z Abidos dziewica!
 Ale — czyliż wyrazi głos piękność przed światem?
 Czyliż mowa choć jeden promyk jej uchwyci?
 Klęka tylko śmiertelnik przed jej majestatem,
 A dusza się nią jego nigdy nie nasyci!
 Taką była Zulejka, która w sobie mieści
 Wszystko, co duszę mami, i co zmysły pieści.
 Przybywa: rączki skromnie złożone na łonie
 Które już bić zaczyna, i czuciem już płonie;
 Szczęśliwy ojciec czule nadchodzącą wita,
 Ona biegnie ku niemu, i za szyję chwyta.
 W tej chwili, ktoby starca odsłonił skrytości,
 Zgadłby, że jój nieledwie sam sobie zazdrości.

DZIEWCZĘ O KTÓREM MYŚLĘ.

z Bürgera.

O! jak w uroków zdobne tysiące,
Jest moje dziewczę zachwycające!
Lecz zanuć śpiewie, żebyś objawił
Mojemu sercu kto ten cud sprawił,
Że tak w uroków zdobne tysiące
Jest moje dziewczę zachwycające?

Kto niebieskiego blaskiem sklepienia
Zatlił dziewczęcia jasne spojrzenia?
Bóg to, co stworzył nieba gwiazdziste,
I rozlał po nich światło wieczyste;
Ten niebieskiego blaskiem sklepienia
Zatlił dziewczęcia jasne spojrzenia.

Kto rozprowadził odcień różowy
Po tej dziewczęcia twarzy śniegowej?
Bóg to uczynił, który sprawuje
Że się brzoskwinia lekko farbuje;
Ten rozprowadził odcień różowy
Po tej dziewczęcia twarzy śniegowej.

Któż jęj usteczka dał koralowe,
Tak lubę, wabne, krągłe, cukrowe?

Bóg to uczynił, który czerwone
 Rodzi poziomki nam ulubione;
 On to jej usta dał koralowe,
 Tak lube, krągłe, wabne, cukrowe,

Kto puścił na tę łabędzią szyję
 Ten włos, co w złote pukle się wije?
 Bóg to uczynił, w dobroci jedyny,
 Co złote, giętkie, chowa rośliny;
 On puścił na tę łabędzią szyję
 Ten włos, co w złote pukle się wije.

Któż dał dziewczęciu głos tej lubości,
 Do słodkich śpiewów, wyznań miłości?
 Bóg to uczynił, który słowika
 Nauczył śpiewu, co w serce wnika;
 On dał dziewczęciu głos tej lubości
 Do słodkich śpiewów, wyznań miłości.

Kto zaokrąglił piersi dziewczęcia,
 Co nam tak słodkie wróżą objęcia?
 Bóg to uczynił, który wspaniale
 Ubrał łabędzie krągłe i białe;
 On zaokrąglił piersi dziewczęcia,
 By nas wabiły w słodkie objęcia.

Jakiejże ręki dłutem kształcona
 Kibić dziewczęcia giętka, pieszczona?
 Mistrza to ręka ją wykowała,
 Co wszelką piękność w świecie wydała;

Tem to najwyższem dłutem kształcona
Kibić dziewczęcia giętka, pieszczona.

Któż natchnął jasną, piękną, przejrzystą,
Łagodną duszę, w tę istotność czystą?

A i któż inny, by nie ten, który
Co Serafinów utworzył chóry;

On natchnął jasną, piękną, przejrzystą,
Anielską duszę, w tę istotność czystą.

Chwała Ci, Twórcu! za dzieło Twoje,

A za łaskawość przyjm dzięki moje:

Żeś wszystko wybrał co piękne w świecie,

Na nasze szczęście, wdzięki kobiecie;

Chwała Ci Twórcu za dzieło Twoje,

A za łaskawość przyjm dzięki moje,

Lecz ah! dla kogoż ponęt tysiące

Sięją dziewczęcia oczy wabiące?

O Boże! wkrótce na Twojej ziemi

Chciałbym się liczyć między zmarłemi,

Gdyby i dla mnie ponęt tysiące,

Choć raz nie miało dziewczę wabiące!

(przełożył Bronisław Malecki).



BAJKI

SZYMONA ZAJĄCZKOWSKIEGO.

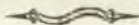
1. PAJĄK I PSZCZOŁA.

Pająk.

Słyszałem liczne pochwały
Zręczności twojej w wyrabianiu miodu;
Ja, czy prządka, czy tkaczem jestem doskonały,
Nikt przecie nie wychwala mych zdolności płodu.
I to martwi mię niezmiernie.

Pszczoła.

Nikt nie posiada, prócz ciebie, sposobu.
I prząść i tkać tak misternie,
Ze trudno nie podziwiać twęj sztuki wyrobu;
Ale na nic się zdolność, na nic praca przyda,
Jeżeli dla ogółu pożytku nie wyda.



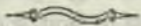
2. KOGUTY.

Wyleciał kogut na płot i zapiał w dzień biały;
Zaraz wszystkie koguty po całej wsi piały.

— Dla czego piejesz? — kilku pytałem kolejną.

— Ja pieję — rzekł mi każdy — bo i drugie pieją.

Tak robią także owce, i ludzie niektórzy,
Zrobi kto głupstwo, wraz jest, który je powtórzy,



3. KROPLE DESZCZU i BŁOTO.

Krople deszczu, co w obręczy
Siedmiokolorowej tęczy
Na niebie pięknie jaśniały,
Spadłszy na ziemię, żal do błota miały.
Że straciły w niem swą czystość.

A błoto się oburzyło,

I rzekło: — gdyby nie wy, i mnieby nie było. —

Mówicie ludzie: zły świat, źle na świecie,

A sami świat ten psujecie.



4. BANKI z MYDŁA.

Płakało dziecię, że bańka mydlana,

Duża i ślicznie ukolorowana,

Jakich mu się dotąd ze dwie

Udało ledwie,

Pękła rychło po wydęciu.

— Nie płacz! — rzekł ojciec dziecięciu—

Nie płacz twej straty;

Więcej i większych doświadczysz ich z laty.

Nadzieja ciągle wydyma

I puszcza nam przed oczyma

Mydlane bańki wątle, pękające;

Mnie już pękło ich tysiące! —



5. OSIEŁ w SUTYM RZĘDZIE.

Poważnie kroczył osieł, odzian w rząd błyszczący,

I na tłum ludu rzucał wzrok pogardzający;

Stąd jeden z widzów rzekł mu: — Znaj rząd s'niący złotem,

A na osle, jest słusznie podziwu przedmiotem.



Z POEMATU „MAJTEK.”

PIEŚŃ I.

Pożegnanie.

Huczą, szumią morskie fale,
Gonią się z wiatrem obłoki,
Na portowy brzeg wysoki
Bije bałwan po bałwanie.
A jak starczy widnokręga,
Jak najśmielszy wzrok zasięga,
Tak daleko, tak szeroko
Po niezmiernym oceanie,
Zadumane buja oko.

U brzegu dumnie, wspaniale,
Wielki okręt się kołysze.
Jak niemowlę czulej matki
Troskliwą ręką bujane
Pośród lubej, milej cisze
Krzepi siły młodociane —

Tak morze, matka żeglarza
 Pieszcząc kochane swe dziatki,
 Kołysze u brzegu lekko;
 I serce w nim się rozplywa,
 I tęsknota się umarza,
 I chęć sławy go rozpala,
 Smiało przygody wyzywa,
 I bez żalu się oddala,
 Wesół odpływa daleko.

Już donośny głos sternika
 Kieruje majtków obroty;
 Pierś ich zapał przenika,
 Oko namiętność rozżarza,
 Pracują pełni ochoty.

Jak wojownik osiwiały,
 Okryty licznymi rany,
 Oreż na ścianie zawieszają,
 I bezsilnością znękany
 W spoczynku pędzi dni swoje;
 I w tym smutku się pociesza
 Jedyne wspomnieniem chwały;
 Albo słysząc krwawe boje,
 Zgasłe oko znowu błyska,
 Bicie serca się odradza,
 Zapał się na twarzy zdradza,
 Prawica za pałasz ściska —
 Tak też i oko żeglarza
 Za każdym morza wspomnieniem,
 Błyska dzielne uniesieniem,

Już pomyslny wiater wieje,
 Trzeszczą maszty, skrzypią reje,
 Prężą się kotwiczne liny,
 Chorągwie z wiatrem igrają.
 A w niedomknięte szczeliny
 Szumiące wiatry świstają;
 I rozwinięta bandera
 Szeleszcząc w powietrzu pływa,
 Dumne zwoje rozpościera,
 I pokład cieniem przykrywa;
 Żaglów skrzydła wiatr nadyma:
 Okręt kołysany wały
 Szarpie łańcuch uciążliwy,
 Co go na uwięzi trzyma;
 Jako rumak zapieniały
 Gonić z wiatrem niecierpliwy
 Daremnie wędzidło żuje,
 Próżno się wspina i zżyma,
 Zawsze zaporę znajduje.
 Zagrzmiały paszcze ogniste,
 Zagrzmiały odjazdu hasło;
 I nie jedno oko czyste
 W łzach pożegnania przygasło.
 Grzmią armaty — szumią fale —
 Głuszą jęki — głuszą żale.
 Szedł powoli majtek młody,
 Przy nim żona zapłakana,
 Żona przecudnej urody,
 U piersi maleńkie dziecię;

Tuż przy nim matka stroskana,
 Piękna siostra w wieku kwiecie,
 A za niemi ojciec siwy
 Tonął we łzach nieszczęśliwy;
 A za ojcem pies domowy
 Smutnej nie podnosił głowy.

Młody majtek w wieku wiosnie,
 Poglądał na nich żałośnie,
 Mimowolne rozkliwienie
 Mężkie serce poruszyło,
 Piersi wydały westchnienie,
 Łez się kilka potoczyło.

— Bywaj zdrowa żono droga!
 Bywaj zdrowy synu mały!
 Matko, ojczy ukochani,
 Bywaj zdrowa siostrzo miła!
 Już armaty hasło dały
 Rozstania co serce rani,
 Straszna godzina wybiła.
 Oby tylko ręka Boga
 Nad wami ciągle czuwała!
 Czuwała w każdej godzinie,
 Gdy majtek od was odpłynie.
 O gdyby Opatrzność dała,
 Żebym wam został wrócony;
 By po długiej poniewierce,
 Obiegłszy dalekie strony
 Znalazł przywiązane serce.
 By garstka rodzinnej ziemi
 Przyjazną ręką rzucona,

Pośmiertne moje prochy
 Do swego przyjęła łona,
 Żeby wróg nie igrał niemi,
 Lub los nie pomiatał płochy.
 Żegnam was drogie istoty!
 I w najdalszej świata stronie,
 Wasz obraz wraz ze mną będzie
 Ah, tak jest, zawsze i wszędzie
 On się w mem sercu odnowi....
 Znowu hasło!.... bądźcie zdrowi! —

Rzekł, i tuląc ich do łona
 — Mężkie lica łzami rosi,
 I pierś smutkiem udręczona
 Smętnem westchnieniem się wznosi.
 Stary ojciec z siwym włosem,
 Tłumiąc w sercu srogie żale,
 Wznosi nad nim ręce drżące,
 Tak mówi wzruszonym głosem
 Ocierając oczy lśniące:
 — Oby ciebie wichry, fale,
 Srogie burze oszczędzały!
 Płyn mój synu, płyn szczęśliwy,
 Oby los sprzyjał ci zawsze!
 Obyś mógł dobieć się chwały
 Porzuc oddalone wody
 Nieznanej od nas półkuli.
 Lecz jeśli nieba wyrzeka
 Wyroki dla nas łaskawsze,
 Zwiedziwszy stronę daleką
 Powróć zdrowy, powróć żywy.

Do twój ojczystej zagrody,
 Tam, gdzie ciebie ojciec siwy
 Do łona swego przytuli.
 Powróć, nim moje żrenice
 Na zawsze światłu zagasną;
 Powróć, gdyż srogie tęsknice
 Ostatnią chwilę przyspieszą.
 O! powróć, nim moją trumnę
 Na wieki wieków zatrzasną,
 A może pieśczoty twoje
 Konającego pocieszą.
 Bądź zdrow! Niechaj morze szumne
 Odda wszystkie skarby moje. —

Gdy tak mówił ojciec siwy,
 Tulił go do swego łona;
 Z rzewnym płaczem go ściskają,
 Dobra siostra, czuła żona;
 Biedna matka tłumiąc łkania,
 Przedłuża chwilę rozstania:
 — Już odjeżdżasz nieszczęśliwy!
 I zostawiasz tych w żałości,
 Tych, którzy cię tak kochają!
 Gdzież twoja żądza ulata?
 W jakież nieznanym kraje?
 Gdzież cię wiedzie szal młodości?
 I czegoż żądasz od świata?
 Czyż co żądać pozostaje,
 Komu los udzielił tyle,
 Iż ma spokojną zagrodę,
 Czułe serce przywiązane,

Dostyc chleba, czystą wodę, —
 I sumienie nieskalane?
 O! usłuchaj matki synu!
 Zostań przy nas spędzać chwile;
 Ah, czyliż wieńce z wawrzynu,
 I odgłosy próżnej chwały,
 W takiej są u ciebie cenie,
 Że im poświęcasz ochotnie
 Szczęście co nieba nam dały,
 Domowe uszczęśliwienie?
 Zostań! błagam cię stokrotnie!

Tak mówiąc, rzewnymi łzami
 Powiedle rosi jagody.
 Żona, siostra, go ściskają,
 Żeby został, zaklinają:
 — Pogardź chwałą i morzami,
 Zostań drogi! zostań z nami! —
 Ojciec spokojny pozornie,
 Z suchemi stoi oczami,
 I pies smutnie patrzy w kolo;
 A synek igra wesoło.
 Niecierpliwy majtek młody,
 Żegna się z niemi upornie.

— Synu! — krzyknie matka stara —
 Zbyt już krótkie moje chwile;
 Czyż to tak wielka ofiara?
 Niedługo legnę w mogile,
 Synu! ja umrę po tobie!
 Chceszże widzieć matkę w grobie? —

— Ah przestań! na miłość Boga!
 Przestań matko nielitośna,
 Czyliż ta chwila rozstania,
 Nie dosyć jeszcze jest sroga?
 Troska mię dręczy nieżnośna,
 Lecz powinność zostać wzbrania!
 Puściecie mię! czy nie słyszycie
 Grzmotu co mię ztąd odrywa?
 Puściecie! powinność mię wzywa,
 Powinność droższa nad życie!

Rzekł, wrywa się z objęcia,
 I uścisków ich unika,
 Unika żony, dziecięcia,
 Ojca, matki zapłakanej,
 Wsiada do łodzi przysłanej,
 — Bądźcie zdrowi! — krzyknął.... znika.

Jako rumak popuszczony
 Nie czując więcej zawady,
 W bystre rzuca się przegony,
 Ledwie zostawując ślady;
 Jak orzeł w klatce więziony
 Gdy wolność odzyskać zdoła,
 Napowietrzne kreśli koła:
 Tak dumny ruszył się statek,
 Skoro pozbył się wędzidla,
 Wolnem czołem niebo kraje,
 Chmury zajmuje pod skrzydła,
 I ulatywać się zdaje.

Grzmot już ucichł. Każdy bada
 W gronie ojców, żon i matek
 Czy postrzeże przedmiot drogi.
 Nasz majątek ponury, smutny,
 Na wzniosłym brzegu okrętu
 W cichem zamyśleniu siada;
 Topi oczy śród odmętu,
 Piersi ciśnie ciężar srogi.
 On myśli, że może zada
 Swym odjazdem cios okrutny
 Tym, których kocha nad życie;
 I łza zrosiła powieki,
 Pierś często szybko się wznosi,
 Wiatr mu do uszu donosi:
 — Bądź zdrów! żegnam cię na wieki! —
 I pomieszane psa wycie.



W IMIENNIKU S. W.

Pamięć kobiety — mydlana bańka,
Co chwilę tylko tęczą zapłonie,
I załni oku, i znów jak pianka,
Co szybko wzrosła, tak szybko wionie.

Na tchnieniach wiatru, na wzdętej fali
Osnute, łącniej ziścić marzenie,
Niżli potrafić, by tam, w oddali
O tobie u niej tkwiło wspomnienie.

Pajęczą tkanką pamięć kobiety,
Ją lada powiew w pyłki rozwieje;
A my składamy nie raz, niestety!
Na takiej tkance szczęście, nadzieje!

I ja marzyciel! ja zapaleniec!
Choć tyle razy gorycze piłem,
Jeszcze nie dosyć, jeszcze szalenięc,
Śnię znów i marzę, jak wpierw marzyłem:

Że na tej wątlěj, a lśniącėj bańce,
Co młode oczy tak mile nęcą,
Że na tej wątlěj, pajęczėj tkance,
Zawisnę chwilę, przetrwam w pamięci!

Marzeniem szczęście; — niech więc w marzeniu
 Śnię jak najdłużej — a chociaż potem
 Zniknę, jak inni w twem zapomnieniu;
 Pozwól, niech marzę! niech nie wiem o tem!



BARABADA

POWIEŚĆ

W DZIAWIZIOWEGO ZDARZENIA BARABADA

X. Y. Z.

Marzeniem szczęście — niech więc w marzonym
 Śnić jak najdłużej — a chociaż potam
 Znikną, jak innaj w twą zapojenię
 Pozost, niech marzy, niech nie wiać (to)

Pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Co chwila, pamięć łoboz
 I pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Co chwila, pamięć łoboz

Na tablicach wiatru, na wędznej fili
 Ojciec, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Niech pamięć, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 O tablicach wiatru, na wędznej fili

Pamięć łoboz, pamięć łoboz,
 Ja łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 A my łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Na łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz

I ja łoboz, pamięć łoboz,
 Co łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Pamięć łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz
 Łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz

Za łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz,
 Co łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz,
 Za łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz,
 Łoboz, pamięć łoboz, pamięć łoboz

EDYTOWI

ALEKSANDROWSKIEMU

MASKARADA

TOWARZYSTWI AKOBYM

POWIEŚĆ

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA NAPISANA

PRZEZ

PRZEZ

X. Y. Z.

MAKARADA

POWIEŚĆ

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA KAPISA

TRZY

X. Y. Z.

LEONOWI

ALEKSANDROWSKIEMU

TOWARZYSZOWI SZKÓLNEMU

PRETYCZKOWI

Wielki Prosto!... jak pan Karol...
Kościelni obrotach...
na piśmie...
myśla się...
jego namiar...
go przerwał...
zapan...
i wesoła...
Autor.

POŚWIĘCA

Autor.

— Ah!... — zawołał...
— pan Karol...
— jak...
— tylko...
— Na...
—

WYDZIAŁ

ALEXANDROWSKIEMU

TOwarzystwa Szkołnic

WARSZAWA

Wydawca

Wydawca

MASKARADA.

Fortiter malum qui patitur,
idem post patitur bonum.

Plantus.

Kto mężnie zniósł nieszczęście,
szczęścia potem doznaje.

Biedna Ernesto! biedna Ernesto! — już pół godziny minęło, jak pan Karol X* napisał te słowa, ku końcowi zebranych wspomnień swojej młodości; — na piórze atrament zasechł, ręka drżała, po licach toczyła się łza poświęcona nieszczęśliwej ofierze jego namiętności, i niezastanowienia. Dumania jego przerwało szybkie drzwi otwarcie, w których zasypany śniegiem, ukazał się młody, przystojny, z wesołą twarzą mężczyzna.

— Ah! wujaszku! — zawołał rzucając się w objęcia pana X* — niespodziewaną mam ci rzecz oznajmić: pewny jestem, że niezawodnie przyłożysz się zechcesz do wyborniej intrygi, której plan usnułem; tylko proszę o sekret: Na jutrzejszą maskaradę

wybiera się wujenka z Kornelcią, Wikoią i moją matką; jakkolwiek to starannie przedemną ukrywają; przecież potrafiłem odkryć ich tajemnicę następującym sposobem: przed pół godziną, widziałem jak wstąpiły do magazynu; zdjęty ciekawością coby tak rano tam robiły, gdy czas ten zwykle w kościele trawia, niepostrzeżony wśliznąłem się za nimi, i byłem świadkiem, jak wujenka pytała o owsik. Wybornie! pomyślałem — to nic innego znaczyć nie może jak tylko: przygotowanie na maskaradę jutrzejszą. Jak wszedłem, tak i wysunąłem się nieznacznie, i pospieszyłem donieść ci o tem kochany wujuszk, bo jutro, mimo wszystkich twych opierań się, musisz być ze mną na tak wesołej zabawie, jak reduta!

Próżno pan X* chciał się wymawiać; wesoły Oleś póty go prosił, zaklinał, nalegał, aż wymuszone dawszy zezwolenie, przestał myśleć o Ernestynie i swoim dzienniku, te tylko dopisawszy słowa: „dotychczas nie wiem co się z nią dzieje“

— Po owsiku je poznamy! — zacierając ręce wołał Oleś, i wyprowadził wuja do salonu, gdzie pani X* wesoło rozmawiała z córkami. Zapytane czy pójdą na maskaradę, jednozgodnem odpowiedziały przeczeniem; a Oleś z panem X* uśmiechnęli się do siebie, przewidując, jak rachuby kobiet zawiedzionemi zostaną.

Na dwadzieścia lat przedtem, nim pan X* kończył opis swojej młodości, chcąc go dzieciom na pamięt-

kę zostawić, po równym gościńcu pędził elegancki koczyc, w którym niedbale spoczywał dwudziestokilko-letni młodzieniec, znużonem rzucając okiem na okoliczne góry i niknące za nimi słońce. Wystrzał z kilku moździerzy, głucho rozległ się po okolicy, i powtórzone kilkokrotnie echo, doszło uszu młodzieńca, który dumnie się uśmiechnął, i mruknął półgłosem: — ach! domyślam się: to moi dobrzy poddani, chcą wspaniale obchodzić powrót swego pana.

Woznica zaciął koni. Pojazd spuszczać się zaczął z pagórka, na obszerną dolinę, po której rozrzucone były piękne domostwa, między lasem ogrodów. Wszystko było świeże i piękne; domy wieśniacze czysto wybielone, płoty nowo zagrodzone, a nad drogą wznosiły się tryumfalne bramy, z kwiatów i ziela splecione, pod którymi jak bohater z pola walk wracający, przejeżdżał młodzieniec. Wszystko wielką zapowiadało uroczystość. Jakoż zaledwie minął bramę dziedzińca dworskiego, i ujrzał gromadę wieśniaków, potrójne wystrzały z moździerzy, znowu słyszeć się dały; do stopni przystąpił starzec z odkrytą siwą głową, kłaniając się do ziemi.

Rrzeżko wyskoczył młodzieniec i ujrzał się otoczony wieńcem poddanych, którzy zgromadzeni przez starego ekonoma, głośnemi okrzyki, radość swą oznajmiali.

Ekonom Wincenty, łyż z oczu ocierał, przypominając jak panicza na ręku piastował: — a teraz — dodał — niepodniósłbym go z ziemi. Dziedzic ścisnął rękę wiernego sługi, i rzekł z przyjaznym uśmiechem:

— Na mnie kolej przychodzi, abym cię podniósł kochany Wincenty; od téj chwili nie należysz do liczby sług moich, ale prawdziwych przyjaciół; folwark za górą niech będzie nagrodą za twoje przywiązanie i dobre rządy w czasie méj nieobecności. Wam, kochani włościanie, daruję tydzień pańszczyzny, i pięć beczek piwa, obchodźcie wesolo mój powrót. —

Pan X* wszedł w progi rodzicielskiego domu, którego od kilkunastu lat bawiąc za granicą, nie widział; aż do łez się rozczulił, poznając przedmioty, wiążące z sobą wspomnienia rodziców, i ubiegłych lat dziecinnych; nie mógł bez mocnego wzruszenia znajdować się w pokoju, gdzie pierwszy raz ujrzał światło dzienne, i gdzie ostatnie westchnienia ojciec, matka i jego siostra wydali.

Szedł dalej z Wincentym, wszędzie znajdując czystość, porządek i też samość przedmiotów, jak przed wielu laty, jak było wtenczas, gdy opuszczał rodziców, aby ich nie ujrzał już więcej.

Gdy stanął przed drzwiami pokoju, który zajmowała jego siostra, w szesnastym roku życia zmarła, gwałtownem zdjęty rozczuleniem, zakrył swe oczy chustką, powtarzając śród łez i ciężkich westchnień: — droga Ernestyno! moja siostro! — Ciało jój od wielu lat spoczywa w familijnym grobie; za nią poszli jój matka i ojciec; z całej rodziny pozostał jeden tylko Karol, z smętną radością obejmujący w posiadłość swe dobra.

A jednak przeszedł próg, i zdziwił się widząc wszystko w takim stanie, jak za życia siostry— ozy

duch jój przebywa jeszcze w tem miejscu? to zwierciadło, które tylokrotnie wdzięczne jój odbijało rysy, stoi jak niegdyś, w rogu pokoju — też świętych obrazy, przed któremi tyle godzin, na modlitwie pędziła, wiszą nad dziewiczem łóżem; ulubione jój kwiaty niezwiędłe, kwitnące, stoją w oknach, dziś przeżyły swoją właścicielkę, i w świetnym jak ona niegdyś znajdują się stanie — czyż to ręka je hoduje? kto zastępuje Ernestyny miejsce? — tenże sam między oknami zielony stolik, a na nim nuty, rysunki, rozwarta książka, i te ołówkiem podkreślone wyrazy: *Niekroć znajdujemy się sami, tylekroć bliżej jesteśmy naszej części moralnej, bliżej natury i Boga.* — niedokończony widok wioski, od strony przyjazdu gościńcem; pęzle i farby roztarte już zaschłe — w rogu nawet stoi milcząca arfa o stolik oparta — wszystko tak było nietknięte, jak gdyby Ernestyna żyła jeszcze, jak gdyby dopiero co opuściła swoje mieszkanie — a jednak, już kilkanaście lat minęło, jak ztąd wyniesiono ją bladą i bez duszy....

Zdziwiony Karol, gdy nawet pyłu na sprzętach nie mógł dojrzeć, zapytał Wincentego, kto tak starannie jego siostry utrzymuje mieszkanie? Wincenty kłaniając się odrzekł:

— Panie, to moja córka, Ernestyna.

— Ty masz córkę?

— Mam JW. Panie; urodziła mi się w sam dzień pogrzebu panny Ernestyny, i dla tego też z pozwoleniem ś. p. rodziców pańskich, nosi to imię; nieboszka mama, bardzo z nią bawić się lubiła, i często nad nią płakała; wszystko co moja córka umie,

z łaski to pani dziedziczki, której Bóg niech da wie-
kuisty w niebie spoczynek.

— Twoja córka codziennie bywa w pokoju mojej
siostry?

— Przed świtem nawet niekiedy.

— Gdzież ona jest?

Na te słowa, z drugiego pokoju wybiegła hoża
siedmnasto-letnia dziewczyna, biało i w kwiaty ubra-
na; zarumieniła się z początku, lecz wesołym spoj-
rzeniem ojca uspokojona, pochyliła się ku ziemi, ja-
koby ukłęknąć chciała przed swym panem, i jego
uściskać kolana. Karol podniósł ją, i uściskał mó-
wiąc:

— Nie, Ernesto! nie panem, lecz bratem chcę być
twoim; pierwej już, nim cię ujrzałem, pozyskałaś mo-
ją przychylność i przywiązanie. Prosić cię tylko
będę, abys i nadal mojej siostry pokoik w takim jak
dotąd chciała utrzymać stanie. —

Ernesta znowu się pochyliła, Karol uściskał ją, i
pocałował w czoło, mocnym szkarłatu rumieńcem
oblane.

Obejrzał resztę pokoi; potem przebiegł cały ogród
z Ernestą trzymając się za ręce, i dobrze ciemno już
było, gdy powrócili.

Wieczерzę natychmiast podano; Karol mimo opie-
rania się Wincentego, który nie chciał przy jednym
stole usiąść z panem, tak jego jak i córkę obok sie-
bie posadził. Niezmiernie był rozmówny, potem
zrobił się wesołym, żartował, śmiał się, opowiadał
wydarzenia podróży, i ta rozmowa do późnej prze-
ciągnęła się nocy — poczem odprowadził ojca i cór-

kę do osobnych w oficynie pokoi, które ciągle, nawet w jego nieobecności zajmowali, niechcąc we dworze zamieszkać.

Przebudziwszy się równo z świtem natychmiast pobiegł do oficyny, chcąc obudzić Wincentego i Ernestę; ale z zdumieniem, nie zastał już ich w domu. Wincenty wyszedł w pole, Ernesta była zapewne w pokoju siostry Karola; tam więc pobiegł; znalazł ją pochyloną nad stołem, przeglądającą rysunki; długi strumień łez płynął po rumianem jej licu; czarne włosy szeroką podjętą stążką, odsłaniały białe czoło i niebieskiego koloru oczy. Karol ścisnął jej rękę, i rzekł:

— Czego płaczesz luba Ernesto?

— Ach! to nic..... Panie — odrzekła zarumieniona, poprawiając chusteczkę, która przez uściśnienie Karola opadła jej z ramion — myślałam o siostrze pańskiej; jak wszystko nietrwałem jest na ziemi, może być że i ja wkrótce....

— Zasmucasz mnie Ernesto — zawołał przyciskając ją do piersi — ja nie pozwolę ci umierać — dodał uśmiechając się z słów, które tak dziecinnymi były. Ernesta uśmiechnęła się także, zapomniała o nicestwie życia, i wesoło z młodym przyjacielem do ogrodu pobiegła.

Dzień upłynął wesoło, równie jak wszystkie następne. Wincenty chciał do darowanego mu wyprowadzić się folwarku; Karol widząc, że rozłączyć się musi z Ernestyną, postanowił codzien bywać u niej na śniadaniu. Zaledwie świt rozwidnił zmrok nocny, na dzielnym koniu pędził już ku folwarkowi,

we drzwiach którego, już nań oczekiwała Ernesta. Wincenty powszechnie znajdował się wtenczas w polu, sami więc bawili się z sobą.

Tak upłynęło lato; w jesieni zaszły wielkie zmiany. Karol nie codziennie już bywał u Wincentego, lecz coraz częściej jeździł do pobliskiego miasta, narzekając na wiejskie nudy. Rumieniec znikł z twarzy Ernestyny, codziennie łzy napępniały jej oczy, unikała Karola, ten zaś rzuciwszy się w towarzystwo młodych ludzi, oddał się biesiadom i kartom. Dochody ze wsi, nie były wystarczające na pokrycie wydatków, trzeba było zaciągać długi, a nareszcie i wieś sprzedać.

Pewnego dnia zimowego, a był mróz silny, słońce z po za chmur napróżno wybić się usiłowało, jednokonnemi saneczkami powoli jechał Wincenty z swojego folwarczku do wsi Karola; wszedł do jego pokoju, i znalazł go przy kominku z głową na ręku opartą, pogrążonego w zamyśleniu. Na widok siwych starca włosów, Karol zarumienił się i powstał; po chwili dopiero zdołał wymówić słów kilka, którymi prosił starego aby usiadł, i oznajmił powód przybycia. Wincenty składając ręce na piersiach, słumionym rzekł głosem:

— Wybawić cię przychodzę, Panie; znam dokładnie stan twoich interesów, i dla tego, wybacz że cię proszę ażebyś raczył nie pogardzić moją ofiarą; przez kilkadziesiąt lat méj służby, uczciwym sposobem potrafiłem sobie uzbierać małą kwotę, która niech służy memu dobroczyńcy i panu, dla oczyszczenia choć w części tych dóbr z długów.

Karol zadrzał na tę wspaniałomyślność wiernego sługi, i uderzając się w czoło, poszepnął:

— Och gdybyś wiedział starcze, ile przygotowałem ci męczarni, nie litowałbyś się nademną, ale raczej nienawidził....

— Zbierałem te pieniądze na posag dla mojej córki, lecz teraz.....

— Nie potrzebuję! — dumnie i surowo odparł Karol; lecz potem, jakby wstydząc się dopiero co wymówionego wyrazu, łagodniejszym dodał tonem: — idź, idź mój starcze, nie jestem tak biednym, abym czyjejkolwiek potrzebował... pomocy. — Nim ostatni wymówił wyraz, zatrzymał się chwilę, bo chciał już wyrzec: — jałmużny. — Zachowaj twoje pieniądze dla Ernestyny; wydaj ją jak można najspieszniej za mąż, bo od tego zależeć będzie moje i jej szczęście.

Wincenty nie rozumiał tych słów młodego dziedzica, który wyrzekłszy je, podał wiernemu słudze rękę, i wyszedł do drugiego pokoju.

Wincenty, smutny powrócił do swego folwarczku. Ernestyna oczekiwała nań w oknie, wyglądając przez szybę, na której stopił się szron gorącym jej oddechem; zaledwie próg przestąpił, szybko zapytała:

— I cóż? i cóż? przyjął mój ojciec?

Stary pokiwał głową, i rzekł:

— Niepotrzebuję! oto jego odpowiedź.

Ernesta spuściła głowę.

— Mówił mi także, prawie rozkazywał, ażeby cię jak najspieszniej wydać za mąż.

Ernestyna wlepiła w ojca oczy, nareszcie rzekła:

— On? on to mówił mój ojciec?

TOM I.

— Jego własne wyrazy.

Ernesta znowu spuściła głowę, i usiadła przy oknie, wyglądając na drogę, do wsi Karola wiodącą.

W wieczór dnia tegoż, Wincenty siedząc przy kominie z córką, zaczął wyliczać wszystkich młodzieńców z okolicy, którzy jej zalecali się dawniej, dając zupełną wolność wyboru; milczała; a gdy ojciec ponawiał zapytania, smutnie odpowiedziała: —

— Muszę zapytać się jego.

— Kogo?

— Karola.

— Złe robisz Ernesto, że go po imieniu nazywasz; on jest panem X*.

— Tak mi kazał nazywać siebie, jak go siostra nazywała; — ach! jakże trudno przyjdzie mi przyzwyczaić się, nazywać go panem..... lecz mniejsza oto..... jutro więc, niech wyda wyrok. —

Nazajutrz pojechała do wsi; długo czekać musiała, zanim się obudził; stała w pierwszym pokoju, oparta o kominek jak marmurowy posąg. Nareszcie niewyspany ziewając ukazał się we drzwiach.

— Ah! — zawołał — jak się masz Ernesto?

Biedna dziewczyna nisko się ukloniła, nie podnosząc oczu.

— Przecieżeś sobie przypomniała o mnie — rzekł z uśmiechem, chcąc ją przycisnąć do piersi; twarz Ernestyny oblał rumieniec, z wolna odsunęła go od siebie, i te cichym głosem wyrzekła słowa:

— Panie! jakie masz względem mnie zamiary?

— Co? co?

— Co mówiłeś wczoraj mojemu ojcu? jestże to prawdą, że chcesz ażebym za męża poszła?

— Tak... bo to widzisz... raczej... lepiejby było... lecz skoro inaczej być nie może... chciałem powiedzieć — coraz bardziej wikłał się w swych odpowiedziach, nakoniec — rób co ci się podoba — zawołał wykręcając się na pięcie.

Ernestyna stała nieporuszona, wpatrując się w bezczelnego zwodziciela; znikła już w jej sercu miłość ku niemu, sama tylko pogarda i obrzydzenie, były uczuciami w tej chwili nią miotającymi.

— Za kogóż więc chcesz ażebym poszła? — zapytała po chwili milczenia.

— Twojemu zostawiam to wyborowi.

— Ja chcę ciebie nikiemny! — groźnym zawołała głosem, na dźwięk którego jak uderzony, cofnął się przestraszony Karol; nareszcie przyszedłszy do siebie, odrzekł z śmiechem:

— Ale ja ciebie nie chcę.

— Domyślałam się; na toż więc zrywacie owoc, ażeby wyjąwszy ziarno, niepożyteczną odrzucić łupinę? na toż moją skruszyłeś cnotę, aby mnie wydać na pośmiewisko ludzi, okryć wieczną sromotą, wycisnąć na dziewiczym czole piętno wstydu i hańby? na toż nikiemnymi słowy i pochlebstwy, usiłowałeś pozyskać moje przywiązanie, aby łatwowieczniej nadużyć ufności? nikiemny! oby ci Bóg przebaczył, za tyle złego któreś mi wyrządził... ale ode mnie, nigdy nie spodziewaj się przebaczenia; moja dusza spragniona zemsty; teraz bym ją miała, w tej nawet chwili, bo ty nie wiesz, że śmierć o dwa tylko kroki jest od ciebie... zginąłbyś razem ze mną... lecz wstrzymuje mię tylko pamięć na nieczcześliwą

istotę, która mię przywiązuje do życia; dla niej, usłucham twych rozkazów, aby mogła znaleźć ojca, choć przybranego tylko — kogóż więc obierasz za ojca twojego dziecka?

Karol myślał długo, aż nareszcie zdobył się na odpowiedź pustą i nierozsądną:

— Któryż ci się podoba?

Ernestyna znowu pokiwała głową, zanim odpowiedziała:

— Już w mojem sercu umarła miłość; jedna jej tylko była iskierka tobie poświęcona, ale dziś... i ta zagasła.

— Wybierz więc Stefana; to najpociesznniejszy w swoim rodzaju filozof; z zimną krwią przyjmie wiadomość, że o kilka miesięcy wcześniej nad przepis, zostanie ojcem.

— Ponieważ tak chcesz, niech i tak będzie; teraz mi tylko pozostaje pożegnać... pana... może się jeszcze spotkamy w drodze życia, a może po raz... ostatni.

Niski oddała ukłon, i już wyjść chciała, gdy głowa jej raz jeszcze zwróciła się ku swemu tyranowi, wyciągnęła ręce, i padła bez zmysłów na posadzkę.

W kilka godzin po przyjsciu do zmysłów, znalazła się w swoim łóżku, przy ojcu, który jej oddał list Karola, te zawierający słowa:

— „Przebaczenia, tylko przebaczenia u ciebie zebrać..... nie ujrysz mnie już więcej..... dziś opuszczam tę okolicę, nigdy nie chciej dowiedzieć się o mnie“.

Pan X* napisawszy ten bilet, pojechał do miasta,

sprzedał resztę wioski, i wzięwszy pieniądze, udał się do stolicy, gdzie wszedł w służbę rządową. Poznał dzisiejszą swoją żonę, otrzymał jej rękę, i od lat dwódziestu szczęśliwym jest małżonkiem, i ojcem dwóch pięknych córek Kornelji i Wiktorji. Stryjezna siostra jego, matka Aleksandra, zawarła ścisłą z żoną jego przyjaźń, a tak, wśród grona familji i nas przyjaciół, zapomniał w części, o błędach młodości.

Przed kilku dniami, zdało mu się ujrzeć zdaleka jakąś kobietę, bardzo do Ernestyny podobną; szła prędko, i wkrótce znikła w tłumie przechodzących.

Pan X^a chciał wmówić w siebie, że to nie była ofiara jego lekkomyślności, ale w sercu bolesne zostało wrażenie, i odnowiona pamięć smutnej przeszłości. Przedsięwziął napisać swoją bijografią, i już miał ją kończyć bardzo pięknemi uwagami, gdy Aleksander doniósł mu o owsiku i o maskaradzie.

Świat li to zaczarowany? czy kraina fantazji stworzona w umyśle poety? czy elizejskie pola, gdzie wszystkich wieków i stanów znajdują się ludzie?....

Tysiące światła goreje, odbija swe promienie w kryształowych zwierciadłach, milion razy zwiększając liczbę i omamienie; pieszczące słuch tony, rozlegają się i nikną, to znowu rosną i grzmia, z coraz to powiększoną mocą i pięknnością; posłuszne ich brzmie-

niu, jak marjonetki skaczą, tańczą, latają, ukazują się i nikną, coraz to nowe postacie, a wszędzie zgiełk, pisk i śmiechy.

Pan X* z Aleksandrem wśród tłumu rozmaitych masek szuka swej żony, która niezawodnie tam znajdować się musiała, chociaż odesławszy swe córki do matki Olesia, została w domu i położyła się w łóżko pod pozorem mocnego bólu głowy. Pan X* najpewniejszym był odkrycia, wiele bowiem liczył na owsik, po którym spodziewał się łatwo rozróżnić swą żonę, od innych masek. Lecz na nieszczęście, żadna z masek mających owsik na głowie, ani z wzrostu, ani koloru włosów nie była do jego żony podobną — cała więc nadzieja ubawienia się jej kosztem znikła. Znużony nareszcie długim a bezskutecznym poszukiwaniem, gdy i Oleś go opuścił, upędzając się za maseczkami, uwierzył słabości żony, i usiadł by spocząć i przypatrzeć się tańczącym w tej chwili córkom, które od pierwszego wejścia na salę, z łatwością poznał.

Gdy taką poi się przyjemnością, słyszy obok siebie westchnienie, a po niem wyraźnie, lecz nieco przytłumionym głosem wymówione swe imię — ogląda się, i widzi siedzącą obok siebie góralkę. Czerwony gorsecik złotym obszyty galonem, krępował zgrabną jej kibić, a ciemnego koloru włosy wiły się po szyi, i prawie do pół ramion spadały.

— Czy znasz mię powabna maseczko? — zapytał przysuwając się do niej.

— Tak; — była krótka odpowiedź, której znowu westchnienie i spuszczenie głowy towarzyszyło.

— Od jak dawnego czasu?

— Dawno, bardzo dawno się znamy.

— Na honor! w żaden sposób poznać cię nie mogę; bądź więc tak grzeczną i racz mi chociaż swe imię powiedzieć.

— Moje imię? znasz je dobrze.

— Być może; jednakowoż... żadnej z młodych panien nie znam, któraby do ciebie tak z koloru włosów, jak figury i drobności rączki była podobna.

— Był czas, kiedyś mię po chodzie, po szeleście sukni nawet poznawał; takie to przeznaczenie biednych nas kobiet, że dziś najdroższymi, a jutro wzgardzonymi i zapomnianymi się stajemy. Po tych słowach głębokie zachowała milczenie; okropne podejrzenie powstało w umyśle pana X*.

— Ta maska..... nie jestże Ernestyną, z którą tak niegodziwie postąpiłem? ach! ten kolor włosów... ta postać..... ta ręka, ruch, głos nawet lubo nieco zmieniony.... to ona! ona! — tak myślał, z ukosa patrząc na maskę, która w pełnej smutku siedziała postawie; po chwili namysłu, chwyta się najpewniejszego środka — ucieczki; ale maska szybko swoje opuszcza miejsce, porywa go za rękę, i namiętnie przyciskając do piersi, mówi:

— Luby Karolu! poznałeś mię więc?

— Jesteś ty Ernestyną?.....

— Przecie nie zapomniałeś o mnie! jak to słodko dla serca wzgardzonej istoty.... pójdź kochany, spocznij przy mnie.... i dla czegoż się wzdragasz?—

Pan X* usiadł.

Maska mówiła dalej tuląc się do jego piersi i zbliżając czarne swe loki do siwych jego włosów:

— Już tyle lat upłynęło, jak moja dusza niedoznała szczęścia, abym cię mogła oglądać, przycisnąć do wiernego serca; — ten upływ czasu zmienił cię bardzo, i piękne jasne włosy zupełnie posiwiały, i mój ojciec w grób wstąpił naszymi wtrącony rękami, i dziecko nasze za swoim poszło dziadkiem — co tu zmian! ile straszliwych wydarzeń! a jednak, ja zawsze tak silnie cię kocham, jak wówczas, gdy zamieniając pierwszy pocałunek miłosny, nazwałeś mnie: najdroższą! — a dziś, jestem nią dla ciebie? Karolu! Bóg nas osądzi, kto lepiej umiał swoich dotrzymać przyrzeczeń.

— Moja pani — rzekł pan X* z miejsca powstając — od lat kilkunastu jestem już ojcem familji, którą mocno kocham, mężem żony której przysiągłem wiarę; możesz być zatem pewną, iż najmniejszego nawet w sercu mem nie pozostało śladu dawnych uczuć, które aż nazbyt płochemi nazwać wypada; dziś inne obowiązki, inne, nierównie szlachetniejsze zajmują me serce uczucia; bardzo zatem byłbym zadowolony, gdy żadne między nami zajść nie mogły stosunki, abys mię opuściła.

— O nie! kochany! ja się nie puszcę ciebie; jak zgrzyota sumienia uczepię się, i jak upiór krew twą ssać będę — z samego serca wysączę ją aż do ostatniej kropli, i nie zawołam: dosyć! aż wtenczas kiedy ją aż z duszą twoją wypiję!

— Pani... panno Ernesto! muszę odejść....

— Nie puszcę cię ztąd, nie, Karolu! póki publicznie nie uznasz mię godną twego przywiązania, póki nie wrócisz mi wydartego honoru, nie nazwiesz mię twoją prawą małżonką.

Pan X* na tak szaloną propozycję, w tył z przestachu odskoczył; lecz nieszczęśliwa maska wciąż była przy nim; zbliżyła swe usta do jego ucha, i z ogniem, te słowa mówić zaczęła:

— Nie lękaj się, bo w mojem sercu zawsze ta miłość goreje....

Gdy przechodzące w téj chwili obok nich córki pana X* spojrzwały po sobie, i zatrzymały się przed ojcem, który widząc jak zły przykład daje im z siebie, chciał je wiaść pod ręce, mówiąc:

— A więc moje dzieci, przejdźmy się trochę po sali, a gdy ochłoniecie, każe wam przynieść lodów.

Na te słowa obie córki głośnym parsknęły śmiechem, a starsza z miłym rzekła przekąsem:

— Mój papo! nie chcemy cię tak miłego pozbawiać towarzystwa, same się przejdziemy, a potem... przyręczone lody....

To mówiąc, pożegnały go skinieniem ręki i znikły w tłumie.

Na chwilę odsunięta góralka znowu schwyciła go pod rękę.

— Karolu! — mówiła — gdybyś wiedział ile cię kocham, ile jeszcze w zetlonem mem sercu dla ciebie goreje miłości, nigdybyś tak okrutnie nie postępował ze mną. Przetrwałam burzę nieszczęść, tysiące gromów z twojej wypadłych ręki, rozszarpało me serce; cierpienia fizyczne wyrównyujące moralnym, zniszczyły moje ciało i piękność, nie poznałbyś mię nawet, chyba po jednym sercu, które żadnej nie uległo zmianie. W niem zachowałam wszystkie odłamki uczuć wzniosłych, radośnych i bolesnych. Ty

wiesz, że przysięgłam pomścić się na tobie, a tę przysięgę uświęcają cierpienia, których doznałam....

— Ależ pani — rzekł drżącym głosem pan X* korzystając z chwili odpoczynku, podczas której nowych sił zdała się maska nabierać — ależ pani.... ja.... zawsze myślę o tobie.... i nieraz łzy skropiły moje policzki, gdym wspomniał o tobie.... musiałaś zapewne wiele cierpieć.... ale to już dawno.... powinnaś byś zapomnieć....

— Karolu! nie znałeś mojego serca; ja nigdy raz wyrzeczonej zapomnieć nie mogę przysięgi. Przyrzekłam kochać cię, Kocham więc, i kochać będę aż do ostatniej mojego życia chwili; lecz.... pomnisz.... postanowiłam pomścić się mych łez, méj hańby, a tę zemstę, lat tyle doznawanemi podniecaną cierpieniami, teraz dopiero do skutku doprowadzić mogę; będzie ona tak straszną, jak gniew Boga, tak powolną jak konanie zbrodniarza. Pytałeś mię czym wiele wycierpiała? i mógłżeś takie uczynić zapytanie? czyż własne serce nie daje ci odpowiedzi? hańba, łzy, śmierć ojca i dziecka, sieroctwo, tułactwo, najokropniejsza nędza, oto są zarysy mojego życia; dodaj do tego cieniowanie ogniste, mocne.... ujrzysz obraz mego życia.

Umilkła zwiesiwszy głowę na jego ramię; napróżno usiłował się jój pozbyć, tak silnie uczepiła się jego ręki, że chyba nadludzka siła mogła ich rozłączyć.

Pan X* przechodzi się po sali; maska idzie obok niego; jój krok jest powolny i ciężki, jak osoby której siły stargane pasmem cierpienia i niedostatku; — sercem Karola najsprzeczniesze miotały uczucia:

litość, gorycz, wstyd, wszystko to w niem się przesuwalo, mieszało i tak mocne czyniło wrażenie, że zimny pot oblał mu skronie, twarz powlokła się bladeścią i zadrżał.

— Dobry Boże! — znów mówić zaczęła maska — co ci się stało Karolu? co znaczy to pomieszanie, drzenie? jaż mam być tego przyczyną? przypomnij sobie upłynione lata: dawniej, ja młoda, niedoświadczona, drżałam w twoich objęciach, a teraz ty znowu lękasz się, drżysz, gdy się do ciebie przyciskam; dawniej ja drżałam z niespokojności gdym na cie oczekiwała, potem drżałam z boleści, gdy ty w objęciach innėj, lub w gronie rozpustnych przyjaciół poiłeś się nowemi roskoszami, zapominając o nieszczęśliwėj ofierze swych namiętności; drżałam z zimna na grobie ojca, płacząc noc całą, gdy nowy dziedzic wypędził mnie z folwarku, przez ciebie darowanego — noc całą spędziłam na smentarzu, mogiła ojca była mi poduszką, kości umarłych, zimny deszcz i wilgotne powietrze przykryciem, a nocną lampą błyskawice; — gdym jęczała w boleściach porodzenia, bez pomocy, ratunku, w leśnej opuszczonej chacie, pozbawionėj drzwi i okien, ujrzało świat ten nasze dziecię; — urodzenie jego jak przyjście na świat dziedzica tronu, więcej niż ziemia, bo niebiosa obchodziły; huki piorunów i grzmoty, od których ziemia jęczała, były salwującemi wystrzałami; illuminacją błyskawice rozdzierające niebiosa; moje krzyki i jęki miasto odgłosów radości przez przywiązanych wydawanych poddanych..... A ty! ty ojciec nieszczęśliwėj istoty, którėj dając życie, uczyniłeś zarazem

sierotą, może wśród uczy balowej, pędziłeś rokoszne godziny. —

Nagle umilkła, jakby wycieńczona zbytciem uniesienia i okropnością wspomnień; pochyliła głowę na ramię pana X*, którego boleść równała się rospaczy: cierpienia przez nią opowiadane, wzbudziły w sercu jego litość, a ta połączona z wyrzutami sumienia, których doznawał czując się być sprawcą nieszczęść Ernesty, uciskała mu duszę. Zapragnął przynieść jej pomoc, zapewnić byt spokojny; lecz inne były żądania maski; wyraźnie mu oświadczyła: że pragnie jego tylko wyłącznie posiadać osobę. Chciał ją odepchnąć, lecz litość dotknęła serce; chciał więc jakim wybiegiem pozbyć się prześladowającej, którą tak niespodzianie, po tylu latach rozłączenia, w takim tłumie znalazł.

Pan X* postrzega córki siedzące nie daleko buffetu, spieszy ku nim z zapytaniem czy zechcą lodów? — przyjęto orszadę. — Dobra Kornelcia odstąpiła swój szklanki dla góralki, która zdawała się być niezmiernie znużoną. Szybko ją spełniła.

— Już pierwsza dochodzi, pójdziemy do domu moje dzieci — rzekł pan X*.

— Ach! drogi papo! jeszcześmy się nie ubawiły tak jak zamierzamy; pozwól nam zostać z ciocią, która nas do domu odwiezie, a sam jeżeli czujesz się być znużonym, powróć. —

W tej chwili przybiegł zamaskowany Aleksander z innym i porwali Kornelcię i Wikcię do tańca, a pan X* znowu sam na sam pozostał z maską, która zdawała się usypiać — opuszcza ją cichaczem, i zmie-

rza do drzwi.... ale zaledwie uważał się ocalonym, nagle zastępuje mu drogę taż sama góralka; osłupiał; zdało mu się, że kilka takich samych jest masek; nie — to była taż sama; schwyciła go za rękę i zawołała:

— Gdzie idziesz Karolu? bezemnie?

— Powracam do domu, jestem osłabiony nieznośnem gorącem panującym w sali.

— Pójdę z tobą.

— Ależ ja idę do domu.

— I ja pójdę do domu.

Wyszli na miasto, pan X* chce wziąć sanki, lecz maska wstrzymuje go, mówiąc:

— Czemu nie mamy iść pieszo? wszak dawniej tak lubieś zemną biegać po łąkach i zbierać niezapominki, lub piąć się po górach, żeby zerwać dla mnie dojrzałą malinę; a nieraz z dreszczem, który przejmował me żyły, spuszczaeś się w głęboką jaskinię, by przynieść mi kilka ożyn wlokących swe lodygi po ścianach przepaści. Pójdźmy pieszo.... ach! jak okropne zimno.... mój Karolu okryj mię swem futrem.... bo wskrós przeziębnię.

Dobroduszny pan X* otula ją płaszczem, ona obejmuje go w pól, przyciska się do jego piersi — idą. Księżyc świeci jasno, śnieg trzeszczy, wiele osób i sanek kręci się po ulicy — pan X* drży z obawy by kogo ze znajomych nie spotkać.

W téj chwili tuż koło nich przesuwają się sanki, a głośnie śmiechy jadących, głośzą nawet brzęk dzwonka.

— Przyjemnej zabawy! — zawołało nań kilka gło-

sów, między którymi zdawało się panu X', że rozróżnia głos swego kuzyna; był w rospaczy, po futrze łatwo go poznać mogli.

Nakoniec, osłabiony bojaźnią i utrudzeniem, gdyż prawie niósł mdlejącą na ręku jego Ernestynę, doszedł do bramy swojego domu.

— Czy nie pójdziesz do siebie? — zapytał.

— Weź mię z sobą

— Czego żadasz! szalona kobieto? — zawołał odpychając ją i biegnąc po schodach tak szybko, o ile mu zwątlone osłabieniem pozwoliły siły. Maską dogoniła go, lecz przy drzwiach przedpokoju, gdy już chwycił za sznurek od dzwonka.

— Na Boga! czy ty szalejesz bezrozumna kobieto! pnszczaj mię! nie zakłócaj spokojności rodziny, która ci nigdy nic niewyrządziła złego, odejdz precz, zaklinam cię na wszystkie świętości! powróć do domu, każę cię odwieść, gdzie ty mieszkasz?

— Ja pragnę w twojem mieszkać sercu — smutnie odpowiedziała.

— O Boże! czegóż mię tak okropnie za błędy młodości, w starym wieku tą kobietą karzesz! — zawołał pan X* zakrywając twarz rękami; lecz później zapytał nieszczęśliwej, która stała o poręcz oparta, a wdzierające się przez okno światło księżyca, oświecało jej głowę ku piersiom spuszczoną, i długie ciemne rozpuszczone włosy: — czy chcesz przenocować u mnie? a więc pójdz do mego gabinetu, znajdziesz tam wygodną sofę i spokojność przez noc całą; a jutro, o której tylko zechcesz wypuszcę cię godzinie; wystaram ci się o sposób utrzymania życia,

wynajmę pomieszkanie, zaspokoję twoje potrzeby, na niczem zbywać ci nie będzie, bylebyś tylko porzuciła szaloną ku mnie namiętność, i nigdy nie dała poznać się mojej żonie, dzieciom, lub komukolwiek z rodziny.

— Nikczemny człowiecze! tak podłą ofiarą chcesz sobie kupić spokojność? o nie! dopóki serce w moich biednych piersiach kołatać będzie, dopóty jęj nie znajdziesz na ziemi. Wróć mi swą miłość, porzuć tych, których nienawidzę, pójdź ze mną na koniec świata, a wtenczas.....

— Ależ na Boga! czy myślisz, że usłucham bezrozumnych rad twoich? ja mam żonę.... dzieci.... najśłodsze obowiązki....

— Najśłodsze.... dla nich; zapominasz o najpierwszych! Karolu! we mnie i w mojej miłości znajdziesz w dwójnasób to wszystko, co tu utracisz.

Oboje przez kilka chwil milczeli, nakoniec maska pierwsza rzekła z czułością:

— Wszak prawda, ty zezwolisz mój aniele?

— Puszczaj mnie! szalona kobieto! moja żona jest chorą! — i szarpnął za sznurek, który mocnym brzękiem rozbudził służących; otworzono mu, wszedł do salonu, nieszczęśliwa maska była przy nim. Służący postawił na stoliku dwie świece i oddalił się w milczeniu.

Tyłu przygnębiony udręczeniami, pan X* upadł na krzesło, i zwiesił głowę na piersi: rozmyślał co ma zrobić z kobietą, której widać nieszczęście pomieszało rozum; przewidywał niesnaski domowe, jakie między nim a żoną z tego powodu wynikną; zgorzenie

dzieciom, wstyd przed przyjaciółmi, krewnymi! cóż mu pozostało czynić? co przedsięwziąć?... nie! nie! coby go uratować mogło!

Porywa się z miejsca i bieży ku drzwiom, gdzie jego spoczywa małżonka; przykłada ucho, nasłuchuje, wszystko spokojnie w sypialnym pokoju.

— Co tam takiego? — zapytała maska naigrawającym tonem.

— Tam moja żona! — zawołał w rozpacz, uderzając się w czoło rękami.

— Twoja żona! cha! cha! cha! przyjemnie mi będzie poznać tę, co wydziera mi serce mojego Karola. Pójdźmy do niej! — jedną ręką porywa świecę, a drugą pana X* za ramię.

— Szatanie w kobiecój postaci! — zawołał pan X* padając na kolana między maską i drzwiami sypialnego pokoju — nie masz że ani jednej kropli miłości w tygrysiem twem sercu? tam moja żona, niewinny anioł, dzieci, jedyne skarby, chceszże zatruć całe ich życie rozpaczą, boleścią; chceszże okrywając mię hańbą, zgubić i nieszczęśliwe istoty, pozabawiając ich ojca, męża...

Wtenczas śmiech rozległ się w sypialni, śmiech ten powtórzyła maska; drzwi sypialni otwarły się, przez nie wbiegł Oleś z swoją matką i kuzynkami, które łzy ocierały z wzruszenia; wszystko to było dziełem jednej chwili, i skoro pan X* porwał się z ziemi, chcąc udusić z rozpacz Ernestynę, maska z jój twarzy opadła, a on ujrzał w objęciach swych... przywiązaną żonę w ubraniu góralki.

— Wybornie udała się intryga! — zawołali wszy-

sey prócz zdumionego pana X*, który domyślając się zwolna jak się pomylił na maskaradzie, otworzył swojej żonie pole do prześladowania go przez noc całą.

— Czy mi przebaczysz to podejście, kochany mężu? — zapytała góralka tuląc się do jego piersi, której teraz nie odepchnął już od siebie.

— Z całego serca; niegodziło się jednakże tak okropnie i długo mię udęczać.

Wszyscy przed nim ukłękli, prosząc o przebaczenie, a pan X* roniąc łzy radości, całował ich i ścisnął.

Nastąpiły objaśnienia: intryga była dziełem pani X*, która przeczytawszy tajemnie dziennik młodości swego męża, wciągnawszy do spisku kuzynkę, córkę i wesołego Olesia, wymyśliwszy okropne eierpienia, prześladowała męża, który dał dowody tklivego przywiązania i miłości dla swjej rodziny.

W kilka miesięcy później pan X* spotkał w Warszawie i prawdziwą Ernestynę; jej historia nie miała w sobie nic tak okropnego, jak pani X* opisywała na maskaradzie. Po odjeździe Karola, zgodnie z wolą ojca i jego, oddała swą rękę Stefanowi. Po jego śmierci, która w miesiący kilka po ślubie nastąpiła, została matką ładnego chłopczyka, któremu dała imię Karol, bo jeszcze o przyczynie swych cierpień zapomnieć nie mogła.

Zostawszy wdową w 19 roku życia, a zarazem panią kilkotypięcznego majątku, wielu znalazła wielbi-
cieli; długo zwłóczyła ostateczne swe postanowie-
nie, karmiąc się nadzieją, że X* zmieni swe postępo-
wanie, i powróci do niej; lecz widząc w końcu pró-
żnemi swoje nadzieje, oddała rękę Porucznikowi N.,
który stojąc w domu jęj kwatery, oświadczył swą
miłość i nalegał o oddanie ręki.

Czas, miłość Porucznika N., starania około małe-
go Karolka i odmiana miejsca, wygładziły w jęj sercu
pierwszą tak namiętną i nieszczęśliwą miłość. Po-
rucznik N. wkrótce awansował na Kapitana, a w koń-
cu zostawszy Majorem, wziął uwolnienie od służ-
by i przybył do Warszawy z żoną i młodym Karol-
kiem (liczącym już wtenczas lat 24), kornetem hu-
zarów.

Pan X* najściślejszą zawarł przyjaźń z Majorem N.
Pani X* z całego serca pokochała Ernestynę, a Karol
dziarski huzar, ściska Kornelcię i Wikcię, nie wie-
dząc, że są jęj siostrami. —

Kielce — 8 Lipca 1841 r.



DO TEODORA S.

w dzień Imienin.

Rok to właśnie dziś mija Teodorze drogi
Jak szczerzy przyjaciele w dzień twego imienia
Wróżąc to szczęście, zdrowie, los w przyszłości błogi,
Nie usta, lecz ci sercem składali życzenia.

I jam nie był ostatnim; i ja z mej kolei
Życzyłem tobie szczęścia, spokojnej zagrody,
Życia bez wielkich wrażeń i losu zawiei,
Ale za to czynnego srod wiejskiej swobody.

Lecz to rok już upłynął! a jak z każdym rokiem
Drzewo liść swój odmienia, tak myśli osnowę
Ludzie inisi co chwila, za czasu potokiem
Zmieniają — ztąd co chwila, to życzenia nowe.

Więc dziś, już ci nie życzę tej marzonej ciszy,
Bo cisza, to zazwyczaj grom z siebie wyradza;
Tak pod lodu pokrywą wulkan nie raz dyszy,
Z ust słodkich piorun strzela i w serce ugadza.

Wszakże i tobie pewno w ciągu tego roku
Nie jeden kwiatek opadł z drzewa wiosny życia,

Nie jedna łza obeschła, znów zalśniła w oku,
 Nie jeden pąk nadziei, uwiądl bez rozwicia.

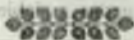
Wszak gwiazdka co na niebie twej duszy świeciła,
 Łudząc urodą, wdziękiem i zwodniczą cnotą,
 Poznałeś, że czczym blaskiem oczy, twoje zemiła,
 Że to coś mienił złotem — było tylko.... błoto.

Tak z dniem każdym, co marnie tutaj nam upływa,
 Więcej liczym zawieżeń, więcej doświadczenia,
 Więcej zmarszczek na lice, ran w serce przybywa,
 I skielełów odartych z szaty urdzenia.

A w ciągłej takiej walce wyczerpawszy siły,
 I nigdzie nie znajdując współczucia oddźwięków,
 Marzym tylko o szczęściu śród zimnej mogiły,
 Gdzie kres szczęścia i cierpień, wesela i jęków.

Więc, abys tak smutnego unikł doświadczenia,
 Nie doznał więcej w życiu cierpkości zawodu,
 Niosę ci przyjacielu dwa tylko życzenia:
Miej złoto w twej kieszeni — w piersiach serce z lodu!

Radom — 9 Lutego 1847 r.



DO RODZENSTWA BĘDĄCEGO W PODRÓŻY.

Wracajcie już, wracajcie! spieszcie goście mili,
O! dłużyliśmy się do was tęsknotą stęsknili,
Wracajcie z dźwięcznym śpiewem, śmiałym wolnym lotem.
Tu was drzewa zielonym osłonią namiotem,
Tu dla was miękkim puchem gniazdo się wyściele,
Tutaj was czeka miłość, swoboda, wesele.
Bez was tu wasze domy, drzewa, wśród tęsknoty
Stały nagie i puste — smutne jak sieroty.
Dzisiaj się każdy w barwę nadziei odziewa;
Lecz nie wszystkie znajome znajdziecie tu drzewa.
O! nie jedno wichrami wyszło zimowami,
I nie jedno runęło obalone niemi.
Ale na każdym krzewie gościnę znajdziecie,
Każdy, każdy was przyjmie jakby własne dziecię!
Wracajcie już, wracajcie! spieszcie goście mili,
O! dłużyliśmy się do was tęsknotą stęsknili.

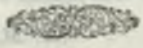
(M. M.)]



DO WIOSKI.

Wędrowcze! co dalekie oblatujesz kraje,
Stopami pył zamiatasz, lub na Alpów szczycie
Głowę tłuczysz o chmury, jeśli ci się zdaje
Że wszystkim co jest piękne zbogaciłeś życie,
Po mozolnej wędrowce przyjdź w rodzinne strony,
Między wody domowe, umajone góry,
Między brzozy wysmukłe, rozłożyste klony,
Pod nieba ojczyzniego pogodne lazury: —
A witając ze łzami rodzinne dąbrowy,
Przyznasz, że nie widziałeś piękniejszej natury,
Że nigdzie chętniej stariej nie położysz głowy.
Jak w tej ziemi, co imię przybierając matki,
Dzieciństwu i młodości, siała pierwsze kwiatki.

(M. M.)



PIERWOCZYNE TRUMNIA.

Noc już — ustała ciżba ciekawego mrowia,
Blask gromnic w walce z cieniem gaśnie zwyciężony,
Grób śle trumnie jak ślubne dary narzeczony.
Pierwociny milczenia, zadatki ciemności.....
W tem leciuchno, bez szmeru, siada u węglowia
Gienjusz ludzkości.

Gienjusz o czole mędrca, a licu dziewicy,
Z pożywnem łonem matki, i sercem rodzicy,
W niebiańskich oczach żalu błyszczą się paciorki,
Jego dech, duszę życia, w piersiach ból przyspiesza,
Macierzyńskie, sieroce spojrzenie zawiesza
Na bładem licu córki.

„Trumna!.... i znowu trumna! czyż zawsze na trumnie
Kręgiem w ludzkość puszczone oko spocznąć musi?
Czyż me dzieci, me cząstki, zawsze mają ku mnie
Jak ból ku sercu, zewsząd zlewać swe cierpienia?
Mamże nieśmiertelnie konać? rodzić dla zniszczenia?
Ten widok oddech mi dusi!“

Widząc żal brata swego, drugi gienjusz spływa,
Jak winowajca w oczy spojrzeć mu się lęka,

I lży gwałtem ciekące z trudnością wstrzymywa,
 Cicho, niepostrzeżony, w nogach trumny klęka;
 Zwieńczony zwiędłym wieńcem z pączkami świeżemi,
 A blade lice strzela oczy ognistemi —

To gienjusz śmierci....

Co! gienjusz li to śmierci? Gminnym pęzlem strachu
 W nienawistny, złośliwy skielet ustrojony, —
 Otoczony atmosferą trupiego zapachu?....

Jak to? nie masz on szponów i skrzydeł wampira?

Ni pałki islamitów, czarnego Monhira?

Jako! przy trumnie uśmiech jego nieskrzywiony

Szyderskim śmiechem tryumfu?

Oni — bracia rodzeni, a bracia bliźnięci,

Jednym zapłodem myśli u Twórcy poczęci,

I na wieki spojeni nierostopnym nitom;

Obaj konieczni. — Ludzkość dopóty jest bytem.

Choć wrogi, jednak zatrzeć braterstwa pieczęci

Żadna siła nie zdoła.

Gienjusz ludzkości podniósł zapłakane oczy.....

Promienne jego skrzydła łez skropione deszczem

Nagłym i niespokojnym szelestnęły dreszczem,

Jak dreszcz matki, dziecięcia gdy zabójcę zoczy;

Macierzyńskim instynktem skrzydłami otoczy

Przed ognistym wzrokiem trumnę.

— „Już jest zapóźno bracie! Patrzaj ja sam płacę,

Nie nad tą co śpi w trumnie — ale twe rozpaczę

Ranią mię — jak jęk Abła wnętrzości Kaina.
 Ja sługa konieczności; wysłuchaj mię bracie:
 Pośrednik tajemnicy wielkiej przeradzenia,
 Gdy materja już stare zużyła postacie,
 Ma ręka znów je wraca w chaos przetrawiania,
 I znów życiem tchnie twoja kraina“.

— „Okrutny! niszcząc dzieła przezemnie kształcone,
 Pielęgowane, wielkie, wyrosłe w olbrzymy,
 Chlubisz się, że obracasz w massy prze trawione
 Które żywotnych gazów nie skrapiają dymy
 To tak, jakbyś się szczycił, że ścierając w pyły
 Oddychające głowy Galatei, Gracji,
 Znów im przywracasz istność chropowatej bryły
 Wiekami petryfikacji“.

-- „Niesprawiedliwy jesteś, kochany mój bracie,
 (Bo nie bratniej miłości we mnie nie wyziębi)
 Gdy się równia smętarza grobowcami wżębi
 Z prochów ludzkość w feniksa wstaje majestacie,
 Twój duch w nowe istoty wpływa niepodzielny,
 Bogaty półwiecznością udoskonalania!...
 Nie bój się — choć grób codzien tve dzieci pochłania,
 Tyś nieśmiertelny!

Kielce — 1840 r. —

MIEJ MIĘ W PAMIĘCI.

Miej mię w pamięci! Gdy w dalekiej stronie
 Żyć los mi każe, posłusznym być trzeba,
 Niech nie ostyga miłość w twojem łonie;
 Nas sobie jeszcze wrócą kiedyś nieba.

Niech doświadczenie codzienne,
 Że ludzkie dole są zmienne,
 Do stałości cię zachęci.

Gdy ja, gdziekolwiek losy mię zagnały,
 I jestem tobie, i zostaną stały,
 Aniele, miej mię w pamięci!

Miej mię w pamięci w balowym natłoku,
 Gdzie wszystkich twoje urzekają oczy;
 Gdzie tłum młodzieży do twojego boku
 Zewsząd się garnie, ciśnie się i tłoczy.

Gdy klnąc się ta zgraja płocha
 Przysięga, że ciebie kocha,
 Że tobie życie poświęci;

Gdy inni różnie ludzą cię, o droga!
 Ja z oddalenia błagam cię na Boga,
 Aniele, miej mię w pamięci!

Miej mię w pamięci, gdy opona śniegu
 Pokrywa ziemię, łono jej nie żyje,

Nie mruczy strumyk, mróz go trzyma w biegu,
I tylko w lasach wiatr północny wyje.

Gdy zielenią pola, drzewa,
Znowu wiosna przyodziewa,
Ptak śpiewaniem ptaka nęci;
Gdy promień słońca w lecie i jesieni
Tu kłosa złoci, tam grona rumieni,
Aniela, miej mię w pamięci!

Miej mię w pamięci, gdy w wieczornej porze
Zmrok na świat ciszę, spokój w serce leje,
I śpiew słowika brzmi w przyległym borze,
I lekki wietrzyk wonią kwiatów wieje.

Gdy gwiazdy świecą z obłoka,
I czułą z twojego oka
Melancholją łzę kręci:
Gdy księżycowi tor chmura zabiega,
I coraz więcej ziemię noc zalega,
Aniela, miej mię w pamięci!

Miej mię w pamięci, droga! póki parka
Snuć twego życia pasma nie przestanie;
Niech, gdy mych nieszczęść przebierze się miarka,
Nie klnę przynajmniej twego serca zmianie.

A gdy po życia obiegu
Na grobowym stanę brzegu,
Chwila ta prośbę uświęci:
Tu gdy sprężyna życia mego pęknie,
Po raz ostatni słaba pierś wyjęknie:
Aniela, miej mię w pamięci!



DO A. A.

(AKROSTYCHON).

Ah, gdy sercem mem badam twego serca drżenia,
 Lubą dłoń twoją pieszczą mej dłoni ściśnienia,
 Edeńska wtedy rokosz duszę mą owionie!
 Kiedy zaś cię nie widzę: łza tęsknej rozpaczy
 Szalonem mi przekleństwem każdą chwilę znaczy,
 A serce obumiera w pałającym łonie.
 Najmilsza! wszystkie chęci w tem mieszczę życzeniu:
 Duszą tonąć w twój duszy, okiem w twojem oku,
 Razem żyć, razem cierpieć lub w szczęścia natłoku,
 Oddychając twem tchnieniem.... skonać w twem ściśnieniu!



DO A. S.

Krótkośmy się widzieli, lecz i owe chwile
W życiu nudą przesystem, działały wrażenie,
Tak brzmiące w mojem sercu rokosznie i mile,
Jak dźwięk twojego głosu, jak szczęścia wspomnienie.
O! chwil tych przypomnieniem ciągle zmysły pieszczę.
A choć nas przeznaczenie, odległość, rozdziela,
Mam przecucie, że one powrócą się jeszcze,
Że i ty, choć w oddali wspomnisz przyjaciela.



SONET.

Kiedy po latach wielu znów ciebie ujrzałem,
Ze ciebie pokocham i stale i szczerze,
Ze życie ci poświęcę, serce dam w ofierze,
Nigdy o tem nie marzył, nigdy nie myślałem.

A dziś, gdy z całym uczuć młodzieńczych zapalem
Kocham, i każdej twojej ulegam chimerze,
Ty się śmiejesz niewdzięczna, i mówisz: „nie wierzę“!
Choć tyle mej miłości dowodów ci dałem.

Nie wierzę — i twe usta szydersko się śmieją,
A ten śmiech jako piorun do duszy mi wlatą,
I tkankę słodkich marzeń znów w nicość rozmiata.

Lecz głos jakiś tajemną cieszę mię nadzieją,
Ze skoro ty zapragniesz przyjaciela, brata,
On podobną ci za mnie odplaci koleją.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPROSTOWANIE.

Na stronnicy 72 w przypisku pierwszym zamiast
Szydłowca czytaj Szydłowa.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

	Stronica
Wiadomość historyczna o mieście Radomiu	1
Odwrot z nad Dunaju za Ren Generała Moreau w r. 1796	13
Napoleon drugi. Oda Wiktora Hugo	43
Czasem (fantazja)	53
Wiersz do....	55
Do Matki w Wigilją Bożego Narodzenia (sonet)	59
Do Sonetu (Sonet)	60
Do W. odpowiedź z pewnej okoliczności	63
Akrostychon	65
Obrona Sandomierza roku 1287, powieść na historji i po- daniu osnowana	67
Przedśmiertna pieśń poety	125
Duch złego	128
Do fajki	132
Dziennik zarażonego dżumą, z pism Marlińskiego	135
Wyjątek z poematu Lorda Byrona „Dziewica z Abidos	147
Dziewczę o którym myślę, z Bürgera	154
Bajki Szymona Zajęzkowskiego: 1) Pająk i pszczoła	157
— — — 2) Roguty	158
— — — 3) Krople deszczu i błoto —	
— — — 4) Bańki z mydła	159
— — — 5) Osieł w sutym rzędzie —	
— — — 6) Statua	160
Z poematu „Majtek“ pieśń I.	161



1848

N.R.T. 640